



Maggie Shayne

ZAPACH  
FIOŁKÓW

---

**Zach Ingram** - profesor ekonomii, oddany do adopcji w wieku dwunastu lat, porwany przez pomyłkę zamiast swojego brata bliźniaka

**Maisy Dalton** - terapeutka specjalizująca się w hipnozie, zwabiona przez porywaczy w celu wydobycia prawdy od Zacha

**Jake Ingram** - finansowy geniusz, który został oddany do adopcji w wieku dwunastu lat i zupełnie nie pamięta swego dzieciństwa

**Agnes Payne i Oliver Grimble** - przestępcza para, która wiele lat temu dopomogła w genetycznym eksperymencie powołania na świat Superpiątki, czyli dzieci o wybitnych zdolnościach intelektualnych, potem straciła z nimi kontakt, a obecnie gwałtownie ich poszukuje.

# RODZINNE SEKRETY

Henry Bloomfield (t) i Violet Vaughn, poślubiła potem Dalea

Ingramowie

Clayton Ingram i Carolyn Cook

Zach Ingram

Superpiątka

Connor Quinn (t)

Susannah Hobbs

Jake Ingram

Evansowie

Russell (Russ) Evans

Lynn Van Allen

Seth Evans

Laura Evans

Holt Evans

Charles Evans

Sarah Alexander

Drew Evans

Honey Evans

Gretchen Wagner

Marcus Evans

Faith Martin

Gideon Faulkner

„Wujek” Oliver Grimble  
i „Ciocia” Agnes Payne

- Rodzina biologiczna

- Rodzina adopcyjna

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wolnym krokiem opuścił salę imienia Tannera na uniwersytecie Greenlaurel i wpadł prosto w zastawione na siebie sidła. Studenci, niektórzy świeżo wypoczęci, jako że przespali niemal cały wykład, czuli w powietrzu zapach wiosny. Trzymając się za ręce, spacerowali po kampusie, szczęśliwi, weseli, roześmiani.

On nikogo nie trzymał za rękę, z nikim nie spacerował, do nikogo się nie uśmiechał. Równie znudzony życiem jak studenci jego wykładami, westchnął ciężko i ruszył po betonowych schodach na parking, na którym stał jego srebrzystoszary niezawodny ford taurus. Zdaniem fachowców, był to najlepszy samochód w tej klasie i za tę cenę. A że ten konkretny model ma mniej dodatków niż inne - droższe - auta? No to co? Komu potrzebne jakieś tam bajery? Klimatyzacja jest, radio z magnetofonem jest, elektrycznie opuszczane szyby też. Nie ma centralnego zamka, szyberdachu, spoile-rów, foteli z pamięcią ani odtwarzacza CD. Owszem, chętnie miałyby jeszcze to i owo, ale jak na pieniądze, które wydał, naprawdę nie może narzekać.

Wsunąwszy kluczyk w zamek, otworzył drzwi. W tym samym momencie usłyszał niski gardłowy pomruk. Uniósł głowę i obejrzał się za siebie. Obok przejechał czerwony porsche boxer, tak lśniący, że słońce odbijające się o chromowane zderzaki niemal oślepiło Zacha.

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, profesorze Ingram! - zawołał przystojny muskularny młodzian za kierownicą.

W fotelu pasażera siedziała śliczna studentka. Radio grało na cały regulator.

- Miłego weekendu, Derek! - odpowiedział Zach Ingram, machając przyjaźnie do pary w samochodzie.

Przez chwilę, dosłownie przez ułamek sekundy, poczuł dziwne klucie, jakby wezbrała w nim zazdrość albo tęsknota. Szybko jednak wziął się w garść. Był nudnym profesorem. Przeciwnieństwem wysportowanych, pewnych siebie facetów, którzy ciągle prężą mięśnie. Czasem kobiety się za nim oglądały, ale właściwie rzadko coś z tego wynikało. Nie, nie odstręczał ich wyglądem. Z wyglądu był bardzo podobny do swojego brata - ludzie często ich mylili - a brat nigdy nie narzekał na brak powodzenia. No ale Jake był silnym, męskim typem, odważnym, uwielbiającym przygody, niebojącym się ryzyka, w dodatku niezwykle bogatym.

Natomiast on, Zach... cóż, po prostu był Zachem. Nie wiedział, jak by się zachował w sytuacji zagrożenia, bo nigdy się w takiej nie znajdował. Ilekroć coś się działo, zawsze do akcji wkraczał Jake.

Wsiadł do samochodu, zapiął pasy i przekręcił kluczyk w stacyjce. Akurat wrzucił wsteczny bieg, zamierzając się wycofać, kiedy tuż za nim zatrzymało się jakieś auto. Zach wcisnął hamulec; gdyby tego nie zrobił, uderzyłby w bok niebieskiej limuzyny. Zerknął przez ramię. Za kierownicą siedziała, kręcąc bezradnie głową, drobna, poczciwie wyglądająca kobieta w wieku około sześćdziesięciu lat.

Zaciskając usta, Zach wysiadł z auta i podszedł do zawalidrogi.

- Może mógłbym pani w czymś pomóc? - spytał uprzejmie.

- Nie wiem, co się stało - odparła starsza pani. - Samochód nie chce mi ruszyć.

Spojrzawszy do środka, Zach uśmiechnął się lekko.

- Drażek biegu jest w pozycji neutralnej - wyjaśnił. - Musi pani przesunąć go w prawo.

Kobieta uniosła brwi.

- Ojej, jaka ze mnie gapa! A pan taki miły. Czy... czy mogłabym pana prosić o jeszcze jedną przysługę?

- Oczywiście.

- Gdyby był pan łaskaw otworzyć tylne drzwi...

- Tylne drzwi? - spytał Zach, spoglądając w prawo.

- Tak, właśnie te. Może je pan otworzyć? Wzruszywszy ramionami, przesunął się dwa kroki w bok. Myślał, że drzwi będą się zacinać, że trzeba je mocniej szarpnąć, ale nie, otworzyły się bez problemu.

- O, świetnie! - ucieszyła się kobieta. - A teraz proszę wsiąść.

- Słucham? Mam wsiąść... - Na widok chudej, poczciwej kobiety trzymającej wycelowaną w niego broń Zach urwał w pół słowa.

- Wsiadaj!

To jakiś dowcip, pomyślał. Studenci postanowili zrobić mu kawał. Przecież to nie może się dziać naprawdę.

Nagle zorientował się, że ktoś za nim stoi, ale zanim zdołał się odwrócić, poczuł dźgnięcie w udo.

Cholera, został ugodzony nożem!

Nie. To nie był nóż. To była igła. Dosłownie sekundę po tym, jak to skojarzył, zakręciło mu się w głowie. Nogi się pod nim ugięły, jakby były z plasteliny. Kiedy zaczął osuwać się na siedzenie, stojący za nim wysoki blondyn wepchnął go głębiej do środka, sam usiadł obok i zatrzasnął drzwi. Niebieskie auto ruszyło z piskiem opon.

- Nie denerwuj się, Jake - powiedziała kobieta, zanim stracił przytomność. - Wszystko będzie dobrze.

Była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

Doktor Maisy Jane Dalton zakleiła dużą brązową kopertę i westchnęła z zadowoleniem, że wreszcie skończyła pracę. Cieszyła się na myśl, że po raz pierwszy od pół roku ma wolne popołudnie. Nagle jej błogi nastrój przerwał ostry terkot telefonu.

Zamknęła oczy; nie zamierzała odbierać. Ktokolwiek dzwoni, niech się nagra na sekretarkę. Codziennie od ponad roku pracowała nad swoją drugą książką. Pierwsza, „Hipnoza i pamięć”, została uznana przez środowisko psychiatryczne za przełomowe dzieło. Na drugą, „Przeprogramowanie umysłu ludzkiego”, wszyscy czekali z ogromną niecierpliwością. Przez jakiś czas Maisy żyła w stresie, bojąc się, że nie zdąży w ustalonym z wydawcą terminie. Ale zdążyła. Ostatnie poprawki naniósła godzinę temu.

Telefon zadzwonił po raz drugi.

Marzyła o odpoczynku. Jedyne, co dziś koniecznie musiała zrobić, to pójść na pocztę i nadać przesyłkę. Resztę popołudnia

zamierzała się byczyć. Korciło ją, aby do końca miesiąca leżeć do góry brzuchem, pozwolić, aby jej umysł wypoczął.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

A może lepiej mieć głowę stale zaprzątniętą? Wtedy człowiek ma mniej czasu na rozpamiętywanie przeszłości.

Modląc się w duchu, aby nie dzwonił kolejny dziennikarz z zaproszeniem do programu telewizyjnego lub prośbą o wywiad, ani przedstawiciel jakiejś agencji rządowej poszukujący konsultanta, podniosła słuchawkę.

- MJ. Dalton, słucham.

- Doktor M.J. Dalton? - spytała kobieta na drugim końcu linii. -  
Lekarz psychiatra?

- Tak.

- Dzięki Bogu! Nawet sobie pani nie wyobraża, jaka to ulga słyszeć pani głos. Rozpaczliwie potrzebuję pani pomocy!

Maisy zmarszczyła czoło. Tak nie mówiłaby dziennikarka; mówiłaby tak osoba chora, pragnąca umówić się na wizytę. Ale wszyscy wiedzieli, że ona, Maisy, nie prowadzi już praktyki prywatnej. Służy radą kolegom po fachu, pisuje książki i artykuły na tematy, w których okrzyknięto ją ekspertem, i od czasu do czasu daje wykłady. Lecz nie odbywa indywidualnych sesji.

- W czym mogłabym pani pomóc, pani...?

- Chodzi o mojego siostrzeńca. Mojego cudownego, kochanego siostrzeńca. On nas nie poznaje, nie wie nawet, kim sam jest. Musi nam pani pomóc, doktor Dalton. Pani jest naszą jedyną nadzieją.



Maisy przygryzła wargi.

- Już od kilku lat nie przyjmuję, pani...?

- Smith. Agnes Smith - przedstawiła się dzwoniąca. - O wszystkim wiem. Czytałam, że zrezygnowała pani z praktyki prywatnej. Ale błagam panią, niech pani zrobi dla nas wyjątek. To jest szczególna sytuacja...

Maisy wzięła głęboki oddech. Nie chciała nic mówić, dopóki nie miała starannie przygotowanej odpowiedzi.

- Jeżeli nieco dokładniej wyjaśni mi pani, na czym polega problem, postaram się skierować państwa do najlepszego specjalisty...

Kobieta westchnęła, wyraźnie zawiedziona.

- Otóż mój siostrzeniec należał do jednej z tych sekt, o których tyle się ostatnio słyszy.

- Do której? - spytała Maisy. Sekty i stosowane przez nie sposoby wpływania na umysł ludzki leżały w jej sferze zainteresowań.

- Boże, co za różnica! Ważne, że go odzyskaliśmy. Nie było to łatwe.

Maisy zacisnęła zęby; wiedziała, jak to się zwykle odbywa.

- Porwaliście go, tak? Wyciągnęliście wbrew jego woli?

- A czy mieliśmy inne wyjście, pani doktor? Kochamy tego chłopaka. Chcieliśmy, żeby do nas wrócił. Ci ludzie... oni zrobili mu sieczkę z mózgu. Biedak w ogóle nas nie poznaje - dokończyła Agnes Smith, pociągając cicho nosem.

Maisy pokiwała głową; rozumiała pobudki rodziny. Współczuła zarówno indoktrynowanym przez przywódców sekt młodym ludziom, jak i ich bliskim.

- Ile czasu tam spędził? - Podniosła ołówek i zaczęła notować coś na kartce.

- Dużo - odparła Agnes. - Ale dokładnie ile, to nie wiem. Znikł nam z pola widzenia ponad dziesięć lat temu. Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się, gdzie przebywa.

- Ile ma lat teraz?

- Trzydzieści pięć.

Ręka z ołówkiem zawisała w powietrzu.

- Trzydzieści pięć?

- Tak. Bo co? To źle?

- Nie, nie. Po prostu jestem zdziwiona. Ludzie, którzy trafiają do sekt, na ogół są znacznie młodsi.

- Przywieźliśmy go do domu na ranczo trzy dni temu.

Myśleliśmy, że na widok znajomych rzeczy szybciej dojdzie do siebie. Że wróci mu pamięć. Ale tak się nie stało. Nie wiemy, co robić.

Maisy westchnęła. Sprawa ją intrygowała. Trzydziestopięcioletni mężczyzna całymi latami poddawany praniu mózgu... Tak, to byłoby nie lada wyzwanie.

Jednakże instynkt samozachowawczy mówił jej, żeby nie ulegała pokusie, żeby przekazała sprawę innemu lekarzowi. Może mu służyć radą, telefonicznie lub drogą elektroniczną, ale absolutnie nie

powinna angażować się osobiście. Lubiła pracować w domu i być zdana wyłącznie na siebie. Do świata zewnętrznego miała dystans. To, co chciała ludziom powiedzieć, mówiła podczas wykładów lub, co bardziej jej odpowiadało, pisała w książkach. Do bliższych kontaktów interpersonalnych nie dążyła.

Ale nie oszukiwała się; znała psychikę ludzką, zatem swoją również, i dobrze wiedziała, dlaczego po stracie, jaką przeżyła, postanowiła ogrodzić się murem. Trzy lata temu podjęła całkiem świadomą decyzję. Kiedy będzie gotowa, sama opuści swój kokon. Na razie nie była gotowa.

Głos kobiety na drugim końcu linii wyrwał ją z zadumy.

- Pani doktor? Halo?

- Tak, jestem. Przepraszam, właśnie zastanawiałam się, którego z moich kolegów mogłabym państwu polecić.

- Nie chcę żadnego innego lekarza. Chcę, żeby pani zajęła się moim siostrzeńcem.

- Przykro mi, ale...

- Błagam panią. Zebrałam dokładne informacje. W tej dziedzinie nie ma lepszych specjalistów od pani. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, radzili nam, abyśmy się skontaktowali z panią. Że pani zajmuje się leczeniem ludzi wyrwanych z rąk sekty. Tylko pani może przywrócić pamięć naszemu kochanemu Jake'owi.

Maisy przygryzła wargę.

- Pani Smith, niestety...

- Proszę, niech pani do nas przyjedzie. Niech pani zobaczy, w jakim Jake jest stanie. Jeżeli wtedy uzna pani, że nie może nam pomóc, trudno, pogodzę się z pani decyzją. Ale chociaż niech pani na własne oczy zobaczy, dlaczego tak bardzo nalegam...

To byłoby fascynujące, szepnął wewnętrzny głos. Bądź co bądź, takie przypadki nie zdarzają się często. Mogłaby obejrzyć pacjenta, zorientować się, co i jak. Miałaby lepszy obraz sytuacji, a co za tym idzie, łatwiej byłoby jej znaleźć właściwego terapeutę. Po chwili wahania spytała:

- Czy mogłaby pani przywieźć tu swojego siostrzeńca?

- Nie. Obawiam się, że to całkiem niemożliwe -odparła Agnes Smith i zaczęła tłumaczyć, którądy trzeba jechać, żeby dotrzeć do nich na ranczo.

W trakcie zapisywania wskazówek Maisy uświadomiła sobie, że przecież nie powiedziała, że przyjedzie.

No dobrze, podjęła decyzję. Nie była pewna, czy słuszną, ale postanowiła zaufać swojemu instynktowi. Nigdy dotąd jej nie zawiódł. Trzy lata temu podpowiedział jej, by zamknęła się w swoim małym świecie; może teraz delikatnie dawał jej znać, że czas wrócić do społeczeństwa. Niekoniecznie na stałe i niekoniecznie od razu, ale powoli, krok po kroku. Akurat ma wolne popołudnie, zatem nic nie stoi nie przeszkodzie, by kilka godzin spędziła na ranczu.

- Zgoda - oznajmiła. - Przyjadę i obejrzę pani siostrzeńca. Ale to nie znaczy, że podejmę się leczenia.

- Dziękuję, pani doktor. Bardzo pani dziękuję. Maisy zerknęła do notatek.

- Jak daleko od Austin leży państwa ranczo?

- Dwie godziny drogi - odparła Agnes Smith. - Wiem, że to spory kawałek, ale jest tu tak pięknie... i mamy pokoje gościnne, jeśli zdecyduje się pani zostać. Mogłaby pani przyjazd do nas potraktować jako mały urlop. To co, kiedy możemy się pani spodziewać? Dziś wieczorem?

Maisy zawahała się. Powiodła wzrokiem po gabinecie, popatrzyła na kopertę z maszynopisem czekającą na wysłanie, na pojemnik z długopisami i wreszcie na zegar. Dochodziła trzecia.

- Potrzebuję dwóch godzin na uporządkowanie swoich spraw. Jeśli nie zabłądzę, powinnam dotrzeć około siódmej.

- Świetnie, akurat na kolację - ucieszyła się Agnes. - Dziękuję, doktor Dalton. Nawet pani nie wie, co to dla mnie znaczy. Po raz pierwszy odkąd Jake wrócił do domu, wstąpiła we mnie nadzieja.

Odłożywszy słuchawkę, Maisy zacisnęła powieki: czy jest gotowa zmierzyć się ze światem? Po chwili wzięła z biurka kopertę i przeszła do salonu. Wcześniej, przed rozmową z Agnes Smith, zamierzała nalać sobie kieliszek wina, usiąść wśród zieleni na tarasie, poczytać gazetę. Po prostu odpocząć.

Kusił ją widoczny za rozsuwanymi drzwiami pusty taras, na którym stał komplet mebli z sekwoi. Kusiła też gazeta, która leżała nietknięta na stoliku w salonie. Artykuł na pierwszej stronie informował, że Jake Ingram, sławny finansista, będzie pomagał FBI w

rozwikłaniu sprawy zuchwałej kradzieży dokonanej w Banku Światowym.

Oby tylko wykryto sprawców, pomyślała Maisy, albowiem wydarzenie to miało ogromne reperkusje w całym świecie finansowym. Wartość akcji spadła niemal do zera. Ona sama straciła większość swoich oszczędności, z których zamierzała żyć na emeryturze, a także pieniądze z polisy ubezpieczeniowej Michaela. Na razie jednak nie miała czasu na lekturę gazety.

Wzdychając głośno, złożyła ją na pół i wsunęła pod pachę. Może wieczorem znajdzie chwilę, żeby poczytać o Ingramie, o rynkach finansowych i własnej przyszłości.

Ruszyła schodami na górę; na wszelki wypadek postanowiła spakować piżamę i szczoteczkę do zębów.

Jake Ingram siedział przy biurku, zastanawiając się, czy naprawdę jest tak utalentowany, jak się wszystkim wydaje. Zwrócono się do niego, aby pomógł FBI znaleźć ludzi odpowiedzialnych za największy w historii skok na bank. W dawnych dobrych czasach zamaskowani złodzieje wpadali do banku i grożąc bronią kasjerom, żądali, by wydano im zawartość kasy. Albo włamywali się nocą, wysadzali sejf i uciekali z gotówką. Niestety, współcześni złodzieje stosują znacznie bardziej wyrafinowane metody. Bank ogołociono za pomocą dziesiątek skomplikowanych transferów komputerowych; tylko geniusz mógłby wykryć, gdzie pieniądze w końcu trafiły.

Niestety, geniuszem, którego wybrano do tej roboty, był on. Czeka go prawdziwe wyzwanie.

Miał nadzieję, że zdoła mu sprostać, że się nie ośmieszy i nie narazi na szwank swej opinii. Problem w tym, że będzie musiał - po raz kolejny - przesunąć termin ślubu. Tara będzie niepokieszona. Przyszło mu do głowy, że on też powinien smucić się z tego powodu.

Na biurku leżała popołudniowa poczta. Sięgnął po zaklejone koperty, starając się odwlec dwa ponure zadania, jakie go czekają: szukanie skradzionych pieniędzy i rozmowa z Tarą. Przejrzenie korespondencji wydawało mu się miłym, niegroźnym zajęciem.

Zerknął na ponure analizy rynku papierów wartościowych, na jeszcze bardziej ponure raporty finansowe i kolejne reakcje na wiadomość, że przestępcy zdołali pokonać najlepiej zabezpieczone komputery na świecie i wyprowadzić z banku miliony, jeśli nie miliardy dolarów. Wszystkich ogarnęła panika; na gwałt podejmowano gotówkę, sprzedawano akcje. Jeżeli pieniądze trzymane w Banku Światowym nie są bezpieczne, to nigdzie nie są.

Nagle Jake dojrzał kopertę zaadresowaną ręcznie, bez adresu zwrotnego, bez znaczka. Dziwne, pomyślał. Wcisnął przycisk w telefonie, wzywając asystenta. Fred, młody geniusz finansowy, natychmiast pojawił się w drzwiach.

Jake wskazał na kopertę.

- Skąd się wziął ten list?

Fred poprawił okulary na nosie.

- Leżał na podłodze, kiedy rano przyszedłem do biura. Ktoś musiał go wsunąć pod drzwi. Widziałeś, szefie? - Uniósł gazetę. - Znow trafiał na pierwszą stronę. Czwarty dzień pod rząd.

Widząc swoje nazwisko wydrukowane dużymi literami, Jake skrzywił się.

- Chciałem, żeby mój udział w tej sprawie zachowano w tajemnicy. Albo FBI zignorowało moją prośbę, albo ktoś świadomie puścił przeciek do prasy. Teraz już wszyscy wiedzą, że współpracuję z policją.

- To źle?

- Dobrze na pewno nie.

- Szefie, będę ci jeszcze potrzebny? - spytał Fred.

- Nie, możesz iść do domu - odparł Jake. Kiedy został sam, rozerwał kopertę. W nozdrza uderzył go intensywny zapach. Wydał mu się dziwnie znajomy. Hm, zapach fiołków.

Poczuł ucisk w gardle, jakby z trudem panował nad wzruszeniem. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Po chwili opanował emocje i zajrzał do koperty.

W środku znajdował się pojedynczy arkusz papieru pokryty tym samym charakterem pisma, jaki widniał na kopercie.

*Najdroższy Jake'u!*

*Wszystko to, co wiesz o sobie i swoim życiu, jest jednym wielkim kłamstwem. Istnieje wiele rzeczy w twojej przeszłości, których nie pamiętasz - których nie pozwolono ci zapamiętać. Ale wreszcie nadszedł czas, abyś poznał prawdę. O tym, kim jesteś i skąd pochodzisz. Grozi ci niebezpieczeństwo, Jake, dlatego powinieneś odkopać swą pogrzebaną przeszłość. Spróbuj ją sobie przypomnieć.*



*To bardzo ważne. Postaram ci się pomóc, Jake. Wkrótce znów się do ciebie odezwę.*

*List podpisany był literą „V”.*

Przez kilka długich chwil Jake siedział bez ruchu, wpatrując się w kartkę, tak jakby czekał na wyjaśnienie. Żadne się oczywiście nie pojawiło. Oblizwał wargi. Ktoś pewnie postanowił zrobić mu głupi kawał. Ten list nie może przecież być na serio. Bardzo niewiele osób zna tajemnice z jego przeszłości, które do dziś go prześladują.

Nie pamiętał nic ze swojego życia, zanim w wieku dwunastu lat trafił do Ingramów, którzy go zaadoptowali i pokochali jak syna. Jego biologiczni rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Trauma spowodowana śmiercią ojca i matki była tak ogromna, że wykasował to zdarzenie ze swojej pamięci. Zdaniem lekarzy, czasami się tak zdarza.

Męczyło go jednak, że nie pamięta, jaki był i co robił, kiedy miał lat dziewięć, dziesięć lub jedenaście. Że nie pamięta swojej szkoły podstawowej ani żadnych kolegów z czasów dzieciństwa. Że nie pamięta, jak kopał piłkę lub jeździł na rowerze.

Najgorsze było to, że nie pamiętał rodziców. Tych biologicznych. To sprawiało, że czuł się wobec nich nielojalny. Jakby ich zdradził. A przecież to im zawdzięczał życie, to oni troszczyli się o niego i wychowywali go przez pierwszych dwanaście lat. Lecz w jego głowie nie pozostało ani jedno wspomnienie z tego okresu. Nic tylko pustka.

Rodzice adopcyjni i nowy brat Zach byli jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli o spowodowanej traumą amnezji i o tym, jak bardzo cierpi z tego powodu. Tylko oni wiedzieli o dziwnych snach, które niekiedy nawiedzały go w nocy. Ale oni nikomu nie zdradziliby jego sekretów. Miał do nich całkowite zaufanie.

Ktoś jeszcze musiał wiedzieć o jego przeszłości. O tym, że jej nie pamięta. Ale kto? W dodatku ów nieznany mu człowiek postanowił to wykorzystać. Ale po co?

Nic z tego nie rozumiał. Chociaż... Zatrzymał wzrok na leżącej na biurku gazecie. Wydrukowany tłustym drukiem tytuł artykułu informował wszystkich o zaangażowaniu Jake'a Ingrama w śledztwo dotyczące największej kradzieży w historii bankowości.

Hm, czyżby o to chodziło?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Po dwóch i pół godzinach jazdy Maisy doszła do wniosku, że ranczo Agnes Smith mieści się na kompletnym odludziu. Wiedziała jedno: że jeszcze nie opuściła Teksasu, poza tym jednak nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje ani jak się nazywa najbliższe miasto. Zgodnie z instrukcją była już prawie u celu. Skrzyła w prawo, w drogę tak wąską, że dwa samochody by się na niej nie zmieściły; modliła się, by żaden nie pojawił się z naprzeciwka. Wokół nie było nic. Żadnych znaków, żadnych tablic informacyjnych, żadnych świateł. Jedynie wąska droga wijąca się przez gęsty las i leżące odłogiem pola.

Zapadał zmierzch. Maisy poważnie zastanawiała się, czy nie zawrócić, kiedy nagle las się skończył, a jej oczom ukazał się wyschnięty trawnik, który aż się prosił o podlanie, i stary, obłazący z farby dom, który należałoby porządnie odmalować. W oknach paliło się światło.

Nie wiedziała, czy dotarła do celu, czy nie, ale w tym momencie było jej wszystko jedno. Pragnęła odpocząć, zorientować się, gdzie dokładnie się znajduje. I może skorzystać z telefonu. Czuła się jak żeglarz podczas burzy, który po wielu godzinach wreszcie dopływa do portu.

W blasku reflektorów ujrzała prymitywny oszalowany dom z pochyłym, jakby lekko przekrzywionym gankiem. Nie, pomyślała, to nie może być ranczo Agnes Smith. Kobieta twierdziła, że zależy jej na najlepszym specjaliście dla swojego siostrzeńca; musiała zatem

wiedzieć, chociażby w przybliżeniu, ile może ją kosztować prywatna wizyta doktor M.J. Dalton. Ludzi mieszkających w tej ruderze nie byłoby na nią stać.

Może liczą na jej dobre serce? Że się nad nimi zlituje? Że za darmo podejmie się leczenia? Najwyraźniej dokładnie przebadali grunt i wiedzą, że czasem zdarza jej się machnąć ręką na honorarium.

Zgasła silnik, otworzyła drzwi i obróciwszy się, postawiła nogi na ziemi.

Ni stąd, ni zowąd ogromne, wściekle ujadające psi-sko rzuciło się w kierunku auta. Ostry, przenikliwy jazgot, niskie głębokie powarkiwanie, wielka, chapiąca paszcza pełna długich zębów, rozpryskująca się na wszystkie strony ślina - wszystko to sprawiło, że czym prędzej cofnęła nogi do środka i zatrzasnęła drzwi. Serce waliło jej młotem. Potwór, obnażając kły, zatrzymał się mniej więcej metr od maski samochodu. Dopiero wtedy Maisy spostrzegła napięty łańcuch, którego jeden koniec przymocowany był do obroży, drugi zaś do suchego drzewa. Pod drzewem stała rozpadająca się buda.

W porządku. Maisy odetchnęła z ulgą; pies jej nie dosięgnie, przynajmniej póki łańcuch trzyma. Nie odrywając wzroku od rozjuszonych bestii, przesunęła się na miejsce pasażera. Uznała, że bezpieczniej jest wysiąść z tej strony. A najlepiej to włączyć z powrotem silnik i odjechać. Zrobiłaby tak, gdyby ze zdenerwowania nie dygotała na całym ciele. Akurat gdy zacisnęła palce na klamce, drzwi same się otworzyły.

Obejrzawszy się przez ramię, ujrzała pomarszczoną męską twarz o jasnoniebieskich oczach. Przeżona, o mało nie krzyknęła.

- Doktor Dalton? - zapytał mężczyzna. Przyciskając dłoń do serca, jakby chciała spowolnić jego bicie, Maisy skinęła głową. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. Jestem Oliver Smith. Już nie mogliśmy się z żoną pani doczekać.

Stał obok, z ręką na drzwiach. Maisy wzięła głęboki oddech, tłumacząc sobie, że nie ma się czego bać. Oliver Smith wcale nie wyglądał groźnie; przeciwnie, może był lekko zdenerwowany, ale uśmiechał się serdecznie i zachęcająco.

Wysiadła z samochodu i wygładziła ubranie.

- Nie byłam pewna, czy dobrze trafiłam - rzekła, wyciągając na powitanie dłoń. - Miło mi pana poznać, panie Smith.

Podał jej rękę. Była jak zimny, mokry ochłap.

- Proszę się nie bać psa. Lubi szczekać, ale nie gryzie.

- Nie będę sprawdzała - powiedziała z uśmiechem Maisy, ale gdy zerknęła na bestię, serce znów jej za- 1 łomotało.

Był to kundel, z umaszczenia podobny do rottwei- i lera, tyle że pysk miał węższy, a uszy długie i opadające. Już nie szczekał, jedynie warczał groźnie. Łańcuch miał tak mocno napięty, że obroża wrzynała mu się w szyję. Jakim cudem oddychał, nie mówiąc już o warczeniu, przechodziło jej pojęcie. Całe jego ciało dygotało z nagromadzonej furii.

Drzwi domu zaskrzypiały lekko. Obejrząwszy się, Maisy zobaczyła zarys stojącej w progu kobiety o przeraźliwie chudej sylwetce i krótkich kręconych włosach. Domyśliła się, że to Agnes.

- Zaproś panią do środka, Oliver, zanim to głupie psisko ją wystraszy.

- E tam, on by muchy nie skrzywdził - oznajmił Oliver, ale posłusznie ujął Maisy za łokieć i obchodząc zwierzę szerokim łukiem, ruszył w stronę ganku. Choć starał się to ukryć, najwyraźniej sam również bał się psa.

- Jak ma na imię? - spytała Maisy, kiedy wchodzili po schodkach.

Pytanie nie wydawało się jej skomplikowane, lecz Oliver popatrzył na ciemnowłosą kobietę w drzwiach, jakby czekając, że mu podpowie.

- Rufus - odparła Agnes. - Słowo daję, Oliverze! Znów nie wzięłaś witamin?

Mężczyzna milczał, jakby nie wiedział, o co chodzi.

- Uparciuch ciągle się ze mną kłóci, że nie ma naukowych dowodów potwierdzających, że ginko biloba poprawia pamięć. A ja mu mówię, że może nie poprawia, ale na pewno nie szkodzi. Proszę, złotko. Niech pani wejdzie. - Agnes odsunęła się, robiąc przejście.

Maisy rozejrzała się z zaciekawieniem. Salon był nie za duży, dość skromnie urządzone i - sądząc po unoszącym się w powietrzu zapachu - niedawno pomalowany. Brązowy dywan wyglądał tak, jakby był kupiony zaledwie parę dni temu; obita kwiecistą tkaniną

kanapa i fotele też sprawiały wrażenie nowych. Zasłony w oknach miały identyczny kwiecisty deseń co obicie mebli.

- Chciałabym, pani doktor, ustalić jedno, zanim zaprowadzę panią do Jake'a...

Zaskoczyło Maisy, że Agnes od razu, bez żadnego powitania, przechodzi do sedna. Nie podobał się jej ton kobiety, władczy, rozkazujący, zupełnie inny niż przez telefon, kiedy to niemal ze łzami w oczach błagała o pomoc. Dziwne, pomyślała; prości farmerzy rzadko mówią w taki sposób.

- Wcale nie chcemy, żeby go pani leczyła - kontynuowała Agnes. - Nie chcemy, żeby została pani jego terapeutką ani żeby grzebała mu pani w głowie. Chcemy tylko jednego: żeby odblokowała pani jego pamięć.

Maisy miała ostrą ripostę na końcu języka, ale w porę się pohamowała. Po co wdawać się w dyskusję? Przecież i tak nie zamierza nikogo leczyć. Przyjechała rzucić okiem na Jake'a, to wszystko.

Siląc się na spokój, co nie było łatwe, zważywszy na to, że była zmęczona podróżą, a potem o mało nie zjedzona żywcem przez wściekłe bydło, zwróciła się do swojej gospodyni:

- Proszę pani, lekarz, który zajmie się terapią pani siostrzeńca, będzie musiał mieć pełną swobodę działania. To on, kierując się dobrem pacjenta, będzie decydował o metodzie leczenia, a nie pani.

Agnes skrzywiła się. Miała taką minę, jakby chciała się sprzeciwić, ale po chwili zmieniła zdanie.

- Chyba nie ma sensu rozmawiać w ciemno. Zaprowadzę panią do Jake'a.

Obróciwszy się, przeszła przez salon i wąskimi schodami skierowała się na górę.

Maisy, nie mając wyboru, ruszyła za nią na piętro, a potem do pokoju na końcu długiego korytarza.

Starsza kobieta otworzyła drzwi. Na szpitalnym łóżku, które musiało być zakupione specjalnie dla niego, leżał na plecach mężczyzna. Na jego widok Maisy poczuła cały wachlarz emocji: przerażenie, złość, współczucie i coś jeszcze, czego nie potrafiła rozpoznać, a nie miała czasu, aby to analizować.

Nie była pewna, czy mężczyzna śpi, czy jest nieprzytomny. Miał czarne włosy, twarz ocienioną kilkudniowym zarostem. Jednakże pomimo potarganych włosów i nieogolonych policzków był niezwykle przystojny.

Dziwne uczucie, którego Maisy nie potrafiła rozpoznać, nasiliło się. Nie mogła oderwać oczu od mężczyzny w łóżku. Coś ją do niego ciągnęło. Widywała w swoim życiu atrakcyjnych mężczyzn, lecz nigdy nie czuła potrzeby zbliżenia się do nich. A w tym wypadku... Nie, na pewno nie chodzi o jego urodę, raczej o bezbronność. Chciała go chronić, osłaniać przed złem.

- Dlaczego on jest przywiązany? - spytała ostro.

Była tak skupiona na leżącym mężczyźnie, że nie zauważyła drugiego, o jasnych włosach i szerokich ramionach, który niczym wartownik siedział obok na krześle. Po chwili blondyn wstał.



- To nie jest ich wina - oznajmił niskim głosem.

- Jake bywa agresywny. Próbuje atakować każdego, kto się do niego zbliży.

Maisy z powątpiewaniem popatrzyła na olbrzyma. Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Jestem Bob - przedstawił się. - Jake to mój kuzyn.

Wychowywaliśmy się razem, dopóki nie zniknął.

- Mówiąc to, zerknął ponad ramieniem Maisy na Agnes, która skinęła nieznacznie głową.

Uwolniwszy z uścisku dłoni, Maisy pochyliła się nad związanym mężczyzną. Co pewien czas jego ciałem wstrząsały dreszcze. Ręce mu drżały, napinając sznur.

- Dobry wieczór, Jake - powiedziała łagodnie. - Nazywam się Maisy Dalton. Jestem lekarką. Przyjechałam tu, żeby ci pomóc.

Przyłożyła dłoń do czoła mężczyzny. Było spocone. Pod opuszczonymi powiekami zauważyła ruch gałek ocznych.

- Przyjechałam tu, żeby ci pomóc - powtórzyła cicho. -

Słyszysz? Chcę ci pomóc. Dobrze?

Nagle uniósł powieki i przeszył ją wzrokiem.

- Pomóż - szepnął.

Wyraz błagania w jego oczach i błagalny ton sprawiły, że przeszył ją dreszcz, tak potężny, że miała ochotę uciec. Psiakrew, zbyt długo nie pracowała z pacjentami. Nie powinna od razu skakać na głęboką wodę.

Wzięła się w garść. Jej własne odczucia nie są ważne. Musi skupić się na chorym.

- Tak, pomogę ci. Po to tu przyjechałam. Żeby ci pomóc.

- Pomóż. - Oddychając coraz szybciej, zacisnął rękę na jej przegubie. - Proszę...

Zamknął oczy, rozluźnił uścisk, ale nie cofnął ręki. Maisy skierowała na nią spojrzenie. Przedramię miał zaczerwienione od sznura. Pochyliwszy się, delikatnie oswobodziła dłoń, po czym zacisnęła ją na nadgarstku mężczyzny. Patrząc na zegarek, zmierzyła mu tętno.

- Czy coś mu państwo dają? - spytała. - Jakież leki?

- Ależ skąd! - oburzyła się Agnes. - Jest w takim stanie, odkąd go znaleźliśmy.

Maisy zmarszczyła brwi. Dziwne, pomyślała; to się kupy nie trzyma. Po chwili zaczęła rozplątywać więzy.

- Nie powinna pani tego robić - rzekła Agnes. - On tylko czeka, żeby się nam wymknąć.

- Tak? Mówili państwo, że go wiążą, bo jest agresywny.

Kobieta zmrużyła oczy.

- Bo jest. Sama się pani przekona. Ale uciec też próbuje.

- Proszę się nie obawiać. W obecnym stanie na pewno nie rzuci się do ucieczki. - Rozwiązała sznur. - Moim zdaniem powinni go państwo zawieźć do szpitala.

- Nie. Ledwo go odzyskaliśmy, nie chcę go znów stracić.

Ponieważ on sam nie może za siebie decydować, a ja jestem jego

najbliższą krewną, decyzja należy do mnie. I nie zgadzam się na żaden szpital.

Miała rację. W przypadku, gdy chory nie może podejmować decyzji, lekarz wszystko musi konsultować z najbliższą rodziną. Zdumiało Maisy, że Agnes tak dobrze się w tych sprawach orientuje.

- Jako lekarz wiem, co jest najlepsze dla pacjenta

- rzekła, patrząc ciotce Jake'a w oczy. - Obawiam się, że nie zdołam państwu pomóc, jeżeli będą się państwo sprzeciwiać moim zaleceniom.

- Spróbujmy najpierw w domu - poprosiła Agnes.

- Jeżeli stan zdrowia Jake'a się nie poprawi, wtedy zastanowię się, co dalej. - Ze stojącej w rogu komody wyjęła książkę z wierszykami dla dzieci, którą podała lekarce. - To była jego ukochana książeczka, kiedy był dzieckiem. Codziennie przed pójściem spać chciał, żebym mu ją poczytała. Może te wierszyki pobudzą jego pamięć?

W jej oczach zakręciły się łzy.

Maisy zadumała się. Agnes stanowiła dla niej zagadkę. Raz była twarda, zimna, oschła, a po chwili błagała o ratunek dla siostrzeńca. Jedno nie ulegało wątpliwości. Z całego serca pragnęła, aby człowiek, którego kochała jak syna, odzyskał pamięć.

- Pani doktor, uczynię wszystko, co pani zaleci. Słowo honoru. Ale po pięciu minutach nie może pani podejmować decyzji. Proszę spędzić z Jakiem dzisiejszy wieczór. Przygotowaliśmy dla pani pokój... Biedak tyle się wycierpiał. Szpital to kolejne nowe miejsce,

kolejne nowe twarze... nie chcę go jeszcze bardziej stresować. Boję się, że to by jedynie pogorszyło jego stan. - Położyła rękę na ramieniu Maisy. - Jeżeli uzna pani, że nie obejdzie się bez szpitala, zawieziemy go tam jutro. Kilka godzin nie zrobi chyba różnicy? Teraz już jest ciemno, a pod wieczór Jake zawsze się gorzej czuje.

Maisy westchnęła. Współczuła tej rodzinie. Głos Jake'a błagający o pomoc wciąż dźwięczał jej w głowie. Nadal widziała przed oczami jego prośące spojrzenie. Nowe miejsce oznacza nową traumę. Może faktycznie lepiej poczekać do jutra, zwłaszcza skoro, jak twierdziła jego ciotka, wieczorami gorzej się czuł.

- Bob, tak? - upewniła się, spoglądając na barczystego blondyna.  
- W bagażniku zostawiłam dwie torby, jedną małą podróżną, drugą lekarską. Mógłby je pan przynieść?

Bob zerknął na Agnes, która skinęła przyzwalająco głową. Wybiegł. Agnes ociągała się z wyjściem, jakby nie chciała zostawić Maisy samej z pacjentem. Maisy nie zwracała na nią uwagi; ponownie skupiła się na Jake'u.

- Powiem Bobowi, żeby zaniósł pani rzeczy do pokoju gościnnego.

- Torba lekarska będzie mi potrzebna tutaj. Delikatnie uniosła powieki chorego.

- Czekaliśmy na panią z jedzeniem. Zejdzie pani na dół?

- A co jest na kolację? - spytała Maisy, zajęta oględzinami pacjenta.

Żrenice miał nienaturalnie rozszerzone. Wsunęła palce w gęste czarne włosy i zaczęła obmacywać głowę, szukając ran, cięć, guzów, jakichkolwiek śladów skaleczeń.

- Kurczak z różną, kartofle piure z sosem...

- Nie, to się nie nadaje. Pani siostrzeniec jest mocno odwodniony. Wydaje mi się, że brał jakieś psychotropy i że wciąż znajduje się pod ich wpływem. Trzeba wypłukać je z jego organizmu. Czyli potrzebujemy dużej ilości płynów. Może być woda, rosół, sok... Chociaż najlepsze byłyby te napoje dla sportowców; mają sporo elektrolitów. - Wzdychając ciężko, potrząsnęła głową. - Jeżeli okaże się, że pani siostrzeniec nie może przyjmować napojów doustnie, wtedy nie obejdzie się bez szpitala i kroplówki.

- Ależ nie, on potrafi samodzielnie pić.

- Tak, potrafi nawet jeść - poparł żonę Oliver. - Nie zawsze jest taki otumaniony jak teraz. Czasem sprawia wrażenie prawie całkiem normalnego.

Normalnego? Jakoś Maisy w to wątpiła.

- Przy łóżku muszą ciągle stać płyny - powiedziała. - Trzeba je choremu stale podawać. Zachęcać go, żeby pił jak najwięcej.

- Zaraz coś przyniosę. - Zanim Agnes wyszła z pokoju, poklepała książkę, którą położyła na materacu. - Proszę pamiętać o wierszykach. One na pewno pomogą.

Zmarszczywszy czoło, Maisy odprowadziła kobietę wzrokiem. Wiedziała, że dom na wsi nie jest odpowiednim miejscem dla Jake'a.

Powinien trafić do szpitala. Jutro rano przekaze jego ciotce swoją decyzję.

Ładna pani przyjechała ci pomóc, powtarzał w myślach, usiłując wyzwolić się spod oparów mgły, które spowijały jego umysł.

Przyjechała pomóc. Sama tak powiedziała. Gładziła go po klatce piersiowej, po czole, ścisnęła za nadgarstek, macała po głowie.

Powiedziała, że jest lekarzem, dobrym lekarzem. I że mu pomoże.

Nie wyglądała jak lekarz. Była zbyt łagodna, zbyt kobieca.

Przypominała mu łasicę, może z powodu dużych okrągłych oczu w kolorze mahoni i upiętych w kok ciemnych jedwabistych włosów.

Tak, skórę chyba też miała jedwabistą jak sierść łasicy.

- Jake, obudź się. Otwórz oczy. Musisz się napić. Słyszysz, Jake?

Jej głos. Och, jak mu się podoba. Inne były ostre, gniewne, warczące. Przestał ich słuchać, zwłaszcza głosu tej wstrętnej baby, która bez przerwy nalegała, żeby przypomnieli sobie przeszłość i ciągle czytała mu dziecięce rymowanki, jakby miał trzy lata.

Głos lekarki... Tak, jej głos brzmi zupełnie inaczej. Ciepło, kojąco. On, Zach, gotów był uczynić wszystko, co mu każe. Więc zmusił się, by unieść powieki, a potem odszukał wzrokiem twarz lekarki. Z początku obraz był zamazany, ale powoli zaczął nabierać ostrości.

- Dobrze, Jake. Bardzo dobrze. Zaprotestował. Chciał powiedzieć: Nie jestem Jake.

Jestem Zach, ale zanim słowa pokonały drogę z jego głowy do jego ust, uległy dziwnemu przekształceniu. Usłyszał coś jakby: „Nee Jaak”. Był też pewien, że ślina pociekła mu po brodzie, ale nie mógł nic na to poradzić.

Boże, musi porozmawiać z tą kobietą. Musi jej opowiedzieć o tym, co...

- Nee Jaak? - powtórzyła, przysuwając mu słomkę do ust.

Posłusznie otworzył usta, zacisnął je na słomce i zaczął łapczywie ssać. Boże, ależ chciało mu się pić! Po chwili poczuł na języku wodę, zanim jednak zdołał ją przełknąć, zaczął się krztusić. Miał wrażenie, że przełyk mu się zamknął.

Anioł, bo ta śliczna lekarka musi być aniołem, zabrał szklanekę, a jego samego przewrócił na bok. Masowała mu plecy i lekko klepała po łopatkach. Po chwili zaczął normalnie oddychać. Wtedy poprawiła poduszki i położyła go z powrotem na wznak.

- Musisz pić małymi łydkami. Dobrze? I bardzo powoli.

Usiłował skinąć głową na znak zgody, ale nie był pewien, czy mu to wyszło.

Kobieta zbliżyła szklanekę. Zach ponownie zacisnął usta na słomce. Najwyższą siłą woli zmusił wargi i gardło, aby ze sobą współpracowały. Udało się. Pił powoli, sekundy mijały, a on wciąż czuł niedosyt.

Wreszcie puścił słomkę i wciągnął gwałtownie powietrze. Brakowało mu płynów, brakowało powietrza.

- Spokojnie - powiedziała kobieta. - Mój Boże, ależ ty jesteś spragniony. Całe szczęście, że możesz samodzielnie pić. To dobrze, Jake.

- Nee Jaak - wydusił z siebie. Zmarszczyła czoło.

- Niiee Jaak.

- Co usiłujesz mi powiedzieć? Że nie masz na imię Jake?

Zacisnąwszy powieki, skinął głową.

- Rozumiem. Masz jakieś inne imię?

Ponownie skinął głową. Próbował powiedzieć, że nazywa się Zachary Ingram, ale nie potrafił ułożyć języka i ust tak, aby powstał dźwięk „Z”. Jedyne opluł się. Spróbował po raz drugi, trzeci, czwarty, aż wreszcie kobieta pogładziła go dłonią po twarzy. Nie był pewien, ale chyba starła mu z policzka łzę.

- Spokojnie, nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze. Musi minąć trochę czasu, ale odzyskasz siły. Zobaczysz, będziesz mógł normalnie rozmawiać, wróci ci pamięć... Naprawdę. Przyrzekam ci.

Wzdychając cicho, zamknął oczy i ponownie skinął głową. Pamięci wcale nie stracił, wszystko doskonale pamiętał, tylko tym ludziom, którzy go porwali, wydawało się, że coś jest z nim nie tak.

- Jestem najlepszą specjalistką w tej dziedzinie -oznajmiła. - Nie zostawię cię. Musisz mi wierzyć, słyszysz? Pomogę ci.

Z trudem otworzył oczy. Była piękna. I była jego aniołem. Jego ratunkiem i wybawieniem.



- O nic się nie martw - kontynuowała. - Staraj się wyciszyć, odpocząć. To bardzo ważne. Kiedy będziesz odprężony, łatwiej mi będzie ci pomóc. Rozumiesz?

Kolejne skinięcie. Pogładziła, go po włosach. Podobało mu się, że tak często i tak czule go dotyka.

- Na dobry początek... ponieważ widzę, że to cię denerwuje... przestanę mówić do ciebie Jake.

Westchnął zadowolony.

- Ale jakoś muszę się do ciebie zwracać. Nie, ciii... - powstrzymała go, kiedy znów usiłował wydobyć z siebie dźwięk „Z”.

- Później, już niedługo, powiesz mi, jak masz na imię. Zobaczysz, to samo przyjdzie. A na razie sama cię jakoś ochrzczę. Dobrze?

Uśmiechnął się; przynajmniej miał nadzieję, że zdołał ułożyć wargi w uśmiech.

- To co, Przystojniaku? Napiłbyś się jeszcze? Tym razem udało mu się uśmiechnąć. Wiedział, ponieważ odwzajemniła uśmiech.

- Co, podoba ci się twoja nowa ksywka? Tak myślałam. Mojemu mężowi też się podobało, jak go tak nazywałam.

Wyjęła ze szklanki starą słomkę i po chwili wsunęła świeżą. Zach pociągnął jeszcze kilka łyków. Potem kobieta odstawiła szklankę na stół, a jemu usta i brodę wytarła miękką ściereczką.

- No dobra, Przystojniaku. Starczy na razie. Jesteś zmęczony. Najlepiej utnij sobie małą drzemkę.

Cofnęła się od łóżka. Wykazując się refleksem, o jaki by się w obecnej sytuacji nie podejrzewał, chwycił ją za rękę. Kobieta

popatrzyła na niego zdziwiona. Spojrzeniem próbował przekazać jej wiadomość.

- Nie zostawię cię samego - rzekła z powagą. -Będę tu, kiedy się obudzisz. Obiecuję.

Dzięki Bogu, pomyślał. Jestem uratowany.

Scandalous

## ROZDZIAŁ TRZECI

Dlaczego obiecała mu, że zostanie? Znaczyło to, że musi skorzystać z oferty Smithów i przenocować na ranczu. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie składałaby takiej obietnicy, gdyby wcześniej, może podświadomie, nie powzięła decyzji o tym, że zostanie do rana.

Decyzję zaś powzięła, gdy mężczyzna po raz pierwszy uniósł powieki i popatrzył jej głęboko w oczy. Już wtedy zrozumiała, że nie chce wracać do domu w Austin. Jadąc tu, była pewna, że nie podejmie się leczenia; zamierzała zorientować się w sytuacji, po czym polecić Smithom któregoś ze swoich kolegów. Sądziła, że będzie rwała się do powrotu. Tak się nie stało. W dodatku obawiała się, że decyzję o pozostaniu powzięła z niewłaściwych pobudek.

Rozum mówił jej, że jest to fascynujący przypadek, że możliwość leczenia takiego pacjenta zdarza się niezwykle rzadko. Sumienie nakazywało jej, aby nie opuszczała chorego, nie zostawiała go bez fachowej opieki.

Ale nie kierowała się rozumem, nie kierowała się sumieniem czy poczuciem przyzwoitości, lecz sercem, emocjami. Postanowiła spędzić noc na ranczu z powodu wpatrzonych w nią błagalnie oczu, pięknych i smutnych, oraz z powodu dziwnego klucia w żołądku, jakiego doznała, kiedy leżący na łóżku mężczyzna się uśmiechał.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi. Zanim zdążyła zareagować, drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Bob, niosąc jej torbę lekarską. Dopiero teraz przyjrzała mu się uważniej. Był to wysoki, solidnie zbudowany facet, na oko w wieku Jake'a.

- Czekamy na panią z kolacją - rzekł. - Agn... mama już wszystko podgrzała.

Maisy skinęła głową, po czym otworzyła torbę i zaczęła w niej grzebać. Wydobywszy ze środka strzykawkę, usunęła z niej celofanowe opakowanie.

- Co pani robi? - zainteresował się olbrzym, pochylając się nad jej ramieniem.

Maisy przewiązała Jake'owi rękę nad łokciem kawałkiem gumy, po czym potarła watą miejsce, w które zamierzała się wkłuć.

- Pobieram krew do analizy. Chcę się zorientować, czym go faszerowano.

- Myśli pani, że go czymś faszerowano?

- Jestem tego pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- I co? Na miejscu przeprowadzi pani testy?

- Nie. Będę musiała zawieźć próbkę do jakiegoś szpitala, w którym wykonują badania laboratoryjne. Może nawet do Austin, jeśli nie ma jakiegoś bliżej. Za dzień, góra dwa powinnam otrzymać wyniki. - Wbiła igłę w żyłę. Zauważyła mimowolną reakcję pacjenta na ukłucie. Po chwili zdjęła gumę oplatającą mięsień, aby krew mogła swobodnie napełnić strzykawkę. - Bob, nie orientuje się pan, czy będąc w sekcji, Jake używał innego imienia?

- Takiego jak Promień Księżycy albo Tęcza? Maisy zerknęła na blondyna, który uśmiechał się do niej zalotnie... Boże, pomyślała; czyżby z nią flirtował?

- Zważywszy na powagę sytuacji, dobrze, że zachował pan poczucie humoru - rzekła.

Mężczyzna lekko się stropił.

- Staram się, choć nie jest mi łatwo. Martwię się o Jake'a.

Byliśmy jak bracia.

Miał jasne, niebieskie oczy w kolorze lodu, nabrzmiące wargi i krótko przystrzyżone jasne włosy. Oraz szyję grubości damskiego uda. W jego twarzy nie sposób było dojrzeć niepokoju czy zatroskania. Nic dziwnego, pomyślała Maisy; pewnie taki twardziel nie lubi okazywać emocji. Wiedziała, że każdy ma inne metody radzenia sobie z bólem. Przypuszczalnie Bob woli dowcipkować albo podrywać lekarki. Nie powinna go zbyt surowo oceniać.

- Obiecuję, że stan zdrowia pańskiego kuzyna wkrótce się poprawi - rzekła. - Na razie jest pod wpływem jakichś narkotyków czy środków odurzających. Kiedy ich działanie ustąpi, Jake'owi przejaśni się w głowie i będę mogła przystąpić do pracy. - Wyciągnawszy igłę, przytknęła choremu do skóry kawałek waty, po czym zgięła mu rękę w łokciu, aby zatamować krwawienie. - Niech pan przytrzyma, dobrze? - poprosiła Boba.

Spełnił jej prośbę. Maisy tymczasem odłączyła strzykawkę od igły i odłożyła ją na bok. Następnie zakleiła plastrem maleńki ślad po ukłuciu.

- To co, idziemy? - spytał Bob.

Zerknęła na swego pacjenta. Nie chciała zostawić go samego, nawet na krótko. Z drugiej strony musiała odbyć rozmowę z jego bliskimi, poinformować ich o swojej decyzji i planach na jutro.

Słyszając burczenie w brzuchu, pomyślała sobie, że nie zaszkodzi się też posilić. No i próbkę z krwią powinna wstawić na noc do lodówki.

Razem z Bobem opuściła pokój. Widząc, że olbrzym zamierza zamknąć drzwi, zaprotestowała:

- Zostawmy otwarte. Jeśli się obudzi, przynajmniej go usłyszę.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, to zbyt ryzykowne. Mógłby spróbować zejść na dół, a wtedy spadnie ze schodów.

Zamknął drzwi, po czym przekręcił zasuwę. Zamek był nowy, lśniący, pewnie zamontowany specjalnie ze względu na Jake'a. Oczywiście Smithowie mają rację, Jake faktycznie może spaść ze schodów i się połamać, mimo to pomysł ryglowania drzwi bardzo się Maisy nie podobał.

Pokonując wewnętrzny opór i błagając Jake'a w myślach, aby pospał chociaż pół godziny, ruszyła na dół za blondynem. Idąc przez spartańsko urządzonego salon, w którym nawet nie było telewizora - Boże, co oni tu robią całymi dniami, przemknęło jej przez myśl - nagle poczuła dobiegające z kuchni kuszące zapachy. Przyśpieszyła kroku.

Na stole stał półmisek z pokrojonym na części kurczakiem z różną. Drugi półmisek był po brzegi wypełniony kartoflami piure. W

trzecim znajdowały się warzywa, zaś czwarte naczynie zawierało gęsty brązowy sos. Obok leżała drewniana deska do krojenia pieczywa, a na niej świeżo wyjęty z pieca chrupiący chleb oraz masło.

- Boże, co za uczta! Mam nadzieję, że nie zadała sobie pani tyle trudu z uwagi na mnie?

- Oczywiście, że nie - oznajmiła chuda jak patyk Agnes Smith, siadając u szczytu stołu. - Jesteśmy ranczerami. Zawsze tak jadamy.

Maisy zerknęła na Olivera, który tuszą dorównywał żonie. Najwyraźniej oboje mieli doskonałą przemianę materii. Tylko masywnie zbudowany Bob sprawiał wrażenie, jakby nie żałował sobie dokładek. Zwróciła uwagę, że jego ubranie - czyste dżinsy i świeżo wyprasowana kraciasta koszula z podwiniętymi rękawami - wyglądają tak, jakby miał je na sobie po raz pierwszy w życiu.

- Hodujecie państwo bydło? - spytała, wciąż stojąc.

- Nie, już nie - odparła gospodyni. - Właściwie dość dawno temu pozbyliśmy się większości krów. Zostawiliśmy dosłownie kilka sztuk, no i ze dwa byki rozplodowe. Żyjemy ze sprzedaży cielaków i opieki nad cudzymi końmi. Kiedyś to była wielka posiadłość, teraz liczy najwyżej ze sto hektarów. Ale nam tyle wystarcza. Więcej nie potrzebujemy.

- Człowiek i tak się sporo naharuje - wtrącił z uśmiechem Bob. - Ale teraz, jak Jake wrócił...

Nie dokończył. Pełne nadziei spojrzenie, które skierował na rodziców, a potem na Maisy, było dostatecznie wymowne. Tak, Bob liczy na to, że kuzyn odciąży go trochę w pracy. Agnes skinęła głową,

jakby przyznawała synowi rację, po czym zaczęła przesuwac pól miski.

- Pani doktor, czy już coś pani zdecydowała? - zapytał Oliver.

Otworzywszy lodówkę, Maisy wstawiła do środka strzykawkę z próbką krwi do badania.

- Tak. Postanowiłam, że zamiast przekazywać sprawę któremuś z kolegów, sama podejmę się leczenia waszego siostrzeńca.

- Och, to wspaniale - ucieszyła się Agnes. Maisy zamknęła drzwi lodówki, umyła pod kranem ręce, po czym zajęła miejsce przy stole.

- Rano będę musiała wyjechać, ale na krótko. Pobrałam krew Jake'a do analizy. Muszę ją zawieźć do najbliższego szpitala.

- Na tej podstawie doktor Dalton zorientuje się, czym Jake'a faszcerowano - wytłumaczył rodzicom Bob.

- Rozumiem. - Agnes nałożyła sobie porcję piure, następnie podała miskę gościowi. - Oliver i ja też musimy rano wyjechać.

Maisy popatrzyła na nią pytająco.

- Nagły problem rodzinny - wyjaśniła kobieta. - Wrócimy najdalej za kilka dni, więc... - Zmarszczyła czoło, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiała. - Hm... Chociaż nie. Jestem pewna, że Bob da sobie radę. Przez godzinę czy dwie może się zaopiekować Jakiem.

- Raczej przez pół dnia - zauważył blondyn. - Pani doktor wybiera się z tą próbką aż do Austin.

- Do Austin? Tak daleko? - zdziwiła się Agnes.



- Tak, chyba że gdzieś bliżej jest szpital z laboratorium analitycznym?

- Obawiam się, że nie. - Agnes podała Maisy półmisek z kawałkami kurczaka; sama najwyraźniej nie miała ochoty na drób. - Ale wie pani co? Oliver i ja mijamy po drodze Austin. Moglibyśmy panią wyręczyć.

Maisy zamyśliła się. Nie bardzo chciała zostawiać Jake'a na pół dnia samego, bez opieki. Bob na pewno przejmuje się stanem zdrowia kuzyna, ale nie wygląda na człowieka, który godzinami warowałby przy boku chorego. Prędzej zająłby się pracą, a Jake'a przywiązał do łóżka.

- No dobrze - zgodziła się. - Napiszę list do laboratorium z wyszczególnieniem konkretnych badań, jakie bym chciała mieć wykonane. Mogłabym nawet zadzwonić wcześniej i uprzedzić, że podrzucą państwo krew do analizy.

- Tak naprawdę będzie lepiej. Po co ma pani tracić czas na jazdę tam i z powrotem?

- Słusznie - przyznała Maisy. - Aha, tylko jest pewien problem. Krew powinno się przewozić w jakimś pojemniku z lodem albo w termosie...

Bob strzelił palcami.

- Mam coś w sam raz! - Odsunąwszy krzesło, wstał od stołu i podszedł do szafki. Po chwili wyciągnął niedużą torbę izolacyjną. - Pasuje?

- Idealnie - powiedziała Maisy, nakładając na talerz łyżkę warzyw. - Jeszcze dziś napiszę Ust, a jutro o ósmej rano zadzwonię.

- O wszystkim pani pomyślała... Nawet pani sobie nie wyobraża, jak bardzo jesteśmy wdzięczni za pomoc.

Nagle Agnes wstała od stołu i wyszła z kuchni. Wróciła po chwili z wypchaną białą kopertą, którą położyła przed Maisy. Ta zrobiła zdziwioną minę.

- Jeśli to za mało, proszę powiedzieć. Zapłacimy każdą cenę, aby odzyskać naszego Jake'a.

Gotówka. Maisy uświadomiła sobie, że koperta jest tak wypchana, ponieważ zawiera mnóstwo banknotów. Wzięła ją do ręki i zajrzała do środka.

- Boże kochany! Muszę przyznać, że... że to dość niekonwencjonalna forma płatności.

- Staramy się unikać przelewów czy czeków. Po prostu mój mąż nie ufa bankom. Chyba że gotówka stanowi dla pani problem?

Przyglądając się kobiecie, Maisy miała niejasne przeczucie, że coś jest nie w porządku.

- Nie, nie stanowi - odparła wolno.

Nagle ogarnęła ją przemożna chęć, aby opuścić małżeństwo Smithów i wrócić na górę do swojego pacjenta.

- Jeśli państwu nie przeszkadza, zjem kolację w pokoju Jake'a. Chciałabym przy nim być, kiedy się obudzi.

Odsunęła krzesło od stołu. Obaj mężczyźni wstali. Usiedli dopiero wtedy, gdy Maisy wzięła talerz z jedzeniem do jednej ręki,

kopertę z pieniędzmi do drugiej i wyszła z kuchni. Idąc po schodach, wsunęła kopertę pod pachę. Po chwili wolną ręką odsunęła zasuwę.

Jake leżał na podłodze, usiłując się doczołgać do drzwi.

Usłyszał, jak kobieta - jego anioł - woła:

- O Boże!

Sprawiała wrażenie autentycznie przejętej. Weszła do pokoju, zamknęła drzwi, po czym szybko postawiła coś na stoliku nocnym. Nie widział, co to było. Ogarniał wzrokiem jedynie jej nogi i biodra. Nie potrafił utrzymać wyżej głowy; wymagało to zbyt dużego wysiłku. Ale nie szkodzi, bo już po chwili anioł kucnął przy nim i delikatnie ujął go za ramię.

- Pomogę ci. No chodź, położysz się z powrotem do łóżka.

Głos kobiety, cichy, kojący, omywał go; oddziaływał na jego zmysły, a oddech leciutko muskał go po policzku. Łatwo byłoby jej ulec, zrobić to, co mówiła. Ale mimo fascynacji nią nie mógł wykluczyć, że jest w zmowie z porywaczami.

- Nie - wymamrotał.

Próbował się dalej czołgać, lecz nie dał rady; był zbyt słaby. Głowa opadła mu w dół. Opierając się czołem o podłogę, wyczerpany - a może zawiedziony - sapał ciężko.

- Już dobrze - szepnęła lekarka, ponownie muskając go swym oddechem. - Spokojnie. Zaraz ci pomogę. No...

Tym razem pozwolił, aby obróciła go na wznak. Przez moment leżał bez ruchu, wpatrując się w przykucniętą obok postać. Kobieta

pochyliła się nad nim. Ich spojrzenia się spotkały. Miał wrażenie, że anioł z trudem odrywa od niego wzrok.

Zacisnąwszy dłonie na jego ramionach, usiłowała podciągnąć go do pozycji siedzącej. Nie było to proste; miał na sobie jasnoniebieską piżamę z atlasu, więc ręce ciągle się jej ześlizgiwały. Ale wreszcie się udało. Była tak blisko. Czuł zapach jej skóry. Ciepły, wonny.

Uniósł głowę i ponownie napotkał jej wzrok. Tak blisko... Miał ochotę ją pocałować. Głupi pomysł, skarcił się w duchu. Musiał skupić się na ważniejszych sprawach. Tak, powinien wyjaśnić jej, co się dzieje; przekonać ją, że rzeczywistość jest inna, niż jej się wydaje.

Wodząc oczami po twarzy kobiety, znów zatrzymał spojrzenie na jej ustach. I nagle przemknęło mu przez myśl, że może ona też chce go pocałować.

Zamknął oczy, bo inaczej dalej snułby swe marzenia o pieścizotach, i skoncentrował się, próbując w miarę wyraźnie wypowiedzieć słowa, które cisnęły mu się na usta:

- Nie... tak... jak... myślisz.

- Wiem, Przystojniaku. Wiem, że nie jesteś teraz sobą - powiedziała łagodnie. - Nie przejmuj się, widywałam ludzi w znacznie gorszym stanie. No chodź, przysuń się trochę bliżej łóżka.

Wstała, po czym wsunęła ręce pod jego pachy. Ciągnęła, on zaś odpychał się od podłogi to jedną piętą, to drugą, i tak wspólnymi siłami, centymetr po centymetrze, przysuwali się do łóżka. Po chwili był cały zlany potem.

Kobieta ponownie kucnęła, tak by ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Mężczyzna oparty plecami o krawędź łóżka, dyszał ciężko.

- Odpocznij sobie - rzekła. - A ja poproszę Boba, żeby nam pomógł...

- Nie! - zaprotestował. Zabrzmiało to niemal jak krzyk, choć wcale nie zamierzał krzyczeć. - Bob... kłamca.

Zdziwiona, zamrugła oczami.

- Twój kuzyn Bob jest kłamcą? - spytała, uważnie obserwując twarz siedzącego na podłodze mężczyzny.

- Nie... kuzyn.

Sapał głośno. Mówienie sprawiało mu ogromną trudność.

- Bob nie jest twoim kuzynem, tak? - spytała, jakby chciała się upewnić, czy dobrze zinterpretowała jego wypowiedź. - Rozumiem.

Ale faktycznie nie rozumiała. No bo co mogła zrozumieć? Musiał ją przekonać, że dzieją się tu złe rzeczy.

- Por... porwanie - wydukał.

Dlaczego nie zareagowała przerażeniem czy szokiem? Dlaczego na jej twarzy odmalowało się jedynie współczucie? Nie był w stanie tego pojąć.

- Och, biedaku - szepnęła, gładząc go delikatnie po policzku. - Wiem, wszystko wiem. Ci ludzie są dla ciebie kimś obcym. Przyjechali i wbrew twojej woli zabrali cię do siebie na wieś. Zmusili cię, żebyś porzucił życie, jakie dotąd wiodłeś. W dodatku nazywają cię imieniem, którego nie rozpoznajesz, i próbują zmusić do tego,

abyś przypomniiał sobie rzeczy, które twoim zdaniem nigdy nie miały miejsca. Jedyne zaś, czego ty pragniesz, to wyrwać im się i wrócić do swojego dawnego życia.

Czyli jednak ona wie? Wie, co się dzieje?

Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Z całej siły modlił się o to, aby ta kobieta, ten anioł, nie była częścią spisku.

- No widzisz, Przystojniaku? Ja wszystko rozumiem. I nie zostawię cię. Z moją pomocą przypomnisz sobie, kim są ci obcy ludzie. To twoja rodzina, Jake. Która bardzo się o ciebie martwi i bardzo cię kocha.

- Nie...

- Tak, Jake. Wiem, że teraz trudno ci w to uwierzyć, ale zaufaj mi. Pomogę ci odkryć prawdę. Razem ją odkryjemy. Sama nie dam rady, wiesz? Musisz ze mną współdziałać, wykazać dobrą wolę.

Boże, to straszne, pomyślał. Sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana. Kobieta nie była częścią spisku, ale święcie wierzyła we wszystko, co jej mówili porywacze. Że są jego rodziną. Że on, Zach, stracił pamięć. Rany boskie, co robić?

- Pomożesz mi, Przystojniaku?

Starął się zdusić uczucie zawodu. Przynajmniej ona ma dobre intencje, nie zalicza się do wrogów. Może jakoś zdoła ją przekonać, może zdoła otworzyć jej oczy na prawdę. Skinął głową.

- Doskonale - ucieszyła się. - A teraz spróbujmy położyć cię do łóżka.

Ponownie ujęła go pod pachy, tym razem od przodu, nie od tyłu, on zaś zgiął nogi w kolanach, oparł stopy o podłogę i zaczął się podnosić. Kiedy już był w pozycji pionowej, nagle stracił równowagę i poleciał do tyłu. Maisy nie zdążyła uwolnić rąk i poleciała razem z nim. Opadł na łóżko. Ona na niego.

Leżeli tak, wpatrując się sobie w oczy. Czas się zatrzymał. Zach zapomniał o tym, że jeszcze parę minut temu był ospały, odurzony jakimiś prochami i przymierający głodem. Teraz już nie czuł się chory, osłabiony czy zmęczony. Czuł się wspaniale. Jak młody bóg.

Była piękna. Szlachetna i delikatna. Zdumiało go, że osoba tak drobna może wywoływać tak silne pożądanie. Miał w życiu ileś tam kobiet, ale żadnej nie pragnął tak bardzo jak tej.

Wreszcie kobieta opamiętała się. Zerwała się z łóżka, następnie pochyliła się, objęła go za kolana i ułożyła mu nogi na materacu. Po chwili wsunęła mu pod głowę dodatkową poduszkę. Zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Zauważył jednak, że unika kontaktu wzrokowego, że policzki ma zaczerwienione, a oddech szybki i urywany.

- Świetnie. A teraz, skoro jesteś obudzony, to może byś coś zjadł? Twoja ciotka przyniesie ci później zupełę, ale... hm, skoro potrafisz się czołgać, pewnie potrafisz też żuć. - Uśmiechnęła się. - Może masz ochotę posilić się moją kolacją?

Obrócił głowę. Niechętnie, bo nie chciał odrywać wzroku od kobiety, ale na samą myśl o jedzeniu poczuł potworne ssanie w żołądku. Popatrzył na talerz i nagle zaburczało mu w brzuchu.

- Twoją? - spytał, rad, że jest w stanie wydobyć z siebie chociaż jedno słowo.

- Tak, moją.

Podniosła talerz. Wtem spostrzegła przewrócone krzesło oraz dzbanek z rozlaną wodą, która już prawie cała wsiąkła w dywan.

Odstawiła talerz, podniosła krzesło, dzbanek i szklankę, następnie przeszła z dzbankiem do łazienki.

Obserwował ją przez otwarte drzwi. Odkręciła kran i umyła dzbanek, pewnie ze względu na kurz, który mógł osiąść na dywanie. To samo zrobiła ze szklanką. Po czym napełniła dzbanek, nalała wody do szklanki i pociągnęła łyk.

- Jaka pyszna - powiedziała. - Słodka, zimna. Podejrzewam, że źródłana. Bez żadnych dodatków typu chlor. - Wróciwszy do sypialni, postawiła dzbanek na stoliku nocnym, szklankę podała Zachowi.

Przysunął ją wolno do ust. Ręce tak bardzo mu drżały, że cały się ochlapał.

Maisy zakryła jego ręce swoimi i przytrzymując szklankę, pomogła mu ją ponownie zbliżyć do ust. Nie wiedział, co mu się bardziej podoba: dotyk jej dłoni czy smak zimnego płynu. Był głodny, gardło miał wyschnięte na wiór. Ponieważ nie ufał porywaczom, nie brał do ust niczego, co mu przynosili. Bał się, że zarówno jedzenie, jak i picie może być naszpikowane jakimiś narkotykami lub trucizną. Ale ta woda była czysta. Bezpieczna. Boże, jak strasznie chciało mu się pić!



Sącył ją powolutku, stopniowo opróżniając szklanę. Kiedy wypił wszystko do dna, kobieta zabrała puste naczynie.

- Widzę, że twój stan szybko się poprawia. -Usiadłszy na łóżku, postawiła sobie na kolanach talerz, następnie odkroiła kawałek mięsa od kości. - Spróbuj, Pachnie przepysznie.

Potrząsnął głową. Niby mówiła, że to jej kolacja, ale czy nikt niczego nie dosypał? Czy mógł być pewien, że jedzenie nie jest zatrute?

- No, Przystojniaku. Podejrzewam, że wkrótce zaśniesz, bo oczy ci się kleją, a chciałabym, żebyś coś zjadł, zanim pójdziesz spać.

Przyszło mu do głowy, że powinien być w szpitalu, podłączony do kroplówki. Nie wiedział, czym go porywacze faszerują, ale cokolwiek to było, rozmiękczało mu umysł. Coraz bardziej tracił zdolność logicznego myślenia.

- Co się dzieje? Nie lubisz kurczaka? Uniósł rękę i wskazał palcem na kobietę.

- Chcesz, żebym zjadła pierwszy kęs? Westchnął z ulgą. Domyśliła się, o co mu chodzi.

- Czy dlatego, że jesteś dżentelmenem? Czy może podejrzewasz, że ktoś próbuje cię otruć, co? – Włożyła kawałek mięsa do ust. - Całkiem niezłe. Chociaż... hm, wiesz, chyba skądś znam ten smak. - Sięgnęła ochoczo po kolejny kawałek.

Obserwował ją z zafascynowaniem: to, w jaki sposób zaciskała usta na widelcu, jak przeżuwała jedzenie, jak się oblizywała. Ogarniał

go coraz większy głód, coraz większe pragnienie. Zaczynał rozumieć, co to znaczy pożerać kogoś i coś wzrokiem.

Starając się skupić, nie odbiegać myślami od tego, co najważniejsze, mruknął:

- Tru...cizna.

Maisy zmarszczyła czoło.

- Słucham? Trucizna? - Przełknęła to, co miała w ustach: - Co usiłujesz mi powiedzieć, Jake? Że rodzina dodaje ci do jedzenia jakieś środki odurzające?

Skinął głową, po czym wskazał na dzbanek z wodą.

- Do wody też? - spytała. - Dlatego straciłeś dzbanek? Boże, nic dziwnego, że jesteś taki słaby. Posłuchaj, od tej chwili ja będę nakładać ci posiłki. Dobrze? Przypilnuję, żeby nikt ci niczego nie dosypywał. Będziesz mógł bez obaw wszystko jeść. Rozumiesz?

Ponownie skinął głową. Ufał jej. Dlatego, że nie miał wyjścia. Po prostu musi komuś zaufać. Jeżeli się mylił, jeżeli ona jest po stronie jego prześladowców, to koniec, wkrótce umrze. Ale jeżeli będzie głodował, to również umrze. Tak to sobie tłumaczył. Podświadomie jednak czuł, że sam się oszukuje. Wierzyłby jej nawet wtedy, gdyby mu powiedziała, że na Saharze spadł śnieg.

Uniosła palcami następny kawałek kurczaka i podała mu do ust. Zjadł ze smakiem. Razem opróżnili talerz. Piękna pani doktor wszystkiego próbowała pierwsza: ziemniaków, sosu, warzyw. Po raz pierwszy od dawna najadł się do syta, po czym znów sięgnął po szklanekę wody.

Powieki mu ciążyły. Wiedział, że musi się przespać, nabrać sił. Świństwo, którym go porywacze faszerowali, próby ucieczki, jakie podejmował, cały ten cyrk, jaki prześladowcy urządzali mu w nocy, wszystko to nie pozostawało bez wpływu na jego organizm. Z coraz większym trudem trzymał oczy otwarte.

Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Może byś mi powiedział, jak mam się do ciebie zwracać, hm?

Najwyższym wysiłkiem woli wyszeptał swoje imię:

- Z-zach.

- Zach? Dziwne... - Zamyśliła się. - Na ogół członkowie sekt mają bardziej wymyślne imiona. No nic. - Wzruszyła ramionami. - A ja jestem Maisy. Chociaż mało kto mnie tak nazywa. Znajomi zwykle mówią M.J., a nieznajomi doktor Dalton.

Pochyliwszy się, podciągnęła mu kódrę pod brodę. Zaciśniętą rękę na jej nadgarstku. Zaskoczona odwróciła głowę. Miała wrażenie, że błaga ją wzrokiem, aby wzięła sobie do serca to, co za chwilę jej powie.

- Nie... mów... nie... im.

- Mam im nie mówić, tak? - spytała. Przymknąwszy powieki, opadł na poduszkę.

- Czego mam im nie mówić, Zach? Tego, jak masz na imię? Czy tego, że zacząłeś jeść?

Nie otwierając oczu, wydukał:

- Nic. Nie mów nic.

- No dobrze. Niczego im nie powiem. To ty jesteś moim pacjentem, Zach. Nie oni. Jeśli pacjent mnie prosi o zachowanie tajemnicy, to jako lekarz muszę go posłuchać. Możesz mi zaufać, niczego im nie zdradzę.

Usiłował skinąć głową, choć nie za bardzo mu to wyszło. Wierzył, że Maisy Dalton dotrzyma obietnicy, i to wcale nie dlatego, że składała przysięgę Hipokratesa. Może jest naiwny, że tak ślepo jej ufa, a z drugiej strony, na co ma liczyć w swojej obecnej sytuacji? Że dzięki własnej przebiegłości pokona wroga?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Powoli zapadał w sen. Maisy westchnęła z ulgą. Dobrze, przynajmniej odpocznie; poza tym sen to zdrowie. Szkoda, że nie poznaje rodziny, że nie pamięta przeszłości i że tak stanowczo wypiera się swojej tożsamości. Imię i nazwisko „Jake Smith” budziło jego zdecydowany sprzeciw. Biedaczysko. Nikomu nie ufa, ani ciotce, ani wujowi; wręcz podejrzewa, że usiłują go otruć, że dosypują mu coś do jedzenia.

Oczywiście to typowa reakcja. Ludzie, których rodzina podstępem lub siłą uprowadza z sekty, długo odnoszą się nieufnie do swych wybawców. Potrzeba wiele czasu, by odwrócić proces indoktrynacji, jakiemu zostali poddani przez charyzmatycznych przywódców sekty. Nietrudno kontrolować umysł człowieka, który ma słabą wolę lub łatwo ulega sugestiom. Co prawda Zach, jak sam siebie nazywał siostrzeniec Agnes i Olivera Smithów, nie sprawia wrażenia osoby chwiejnej czy bezwolnej. Jednakże musiał mieć poważne problemy natury emocjonalnej lub psychicznej, skoro uległ namowom obcego faceta obdarzonego siłą perswazji.

Swoją drogą to dziwne, że ani razu o nim nie wspomniał, o tym przywódcy. Większość pacjentów bez przerwy opowiada o swoim mistrzu; traktują go niemal jak boga.

Poprawiła kołdrę, ignorując dreszczyk emocji, jaki wzbudzał w niej ten pacjent. Była na siebie zła; lekarz powinien pozostawać neutralny, nie angażować się uczuciowo. Kto jak kto, ale ona najlepiej powinna to wiedzieć.

Sięgnąwszy po talerz i sztućce, ruszyła z powrotem na dół. W kuchni nie było nikogo.

Nie miała pojęcia, gdzie się Smithowie mogli podziać. Wyteżyła słuch. Wokół panowała głucha cisza. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Stół uprzątnięto, naczynia umyto. Wszystko lśniło czystością. Maisy rozejrzała się, szukając kosza na śmieci, do którego mogłaby wrzucić ogryzione kości. Z dwóch powodów wolała nie wyrzucać ich za drzwi. Po pierwsze, bała się spotkania z psem Smithów, a po drugie - chociaż nie lubiła potwora - nie chciała mieć go na sumieniu, gdyby ostre kości stanęły mu w gardle.

Po chwili dostrzegła w kącie duży niebieski pojemnik z białą pokrywką. Wcisnęła nogą pedał; kiedy pokrywka się uniosła, zsunęła z talerza resztki jedzenia. Nagle zawahała się. Na wierzchu leżało opakowanie w czerwono-białe paski, ze znakiem firmowym słynnej w całych Stanach sieci restauracji specjalizujących się w daniach z drobiu. Nic dziwnego, że smak potrawy wydał się jej znajomy. Dziesiątki razy zamawiała tam kurczaka. Ziemniaki z sosem i warzywa również.

Zadumała się. Po jakie лихо Agnes udawała, że sama przyrządziła kolację? Dlaczego nie zostawiła jedzenia w styropianowych pojemnikach, tylko wszystko przełożyła na eleganckie półmiski?

Może nie potrafi gotować i wstydzi się do tego przyznać? Pewnie w głowach mieszczuchów istnieje stereotyp żony ranczera,

która uwielbia krzątać się po kuchni i przyrządzać dla swojej rodziny obfite, wysokokaloryczne posiłki. Ale może nie wszystkie to lubią?

Wzruszywszy ramionami, Maisy zmyła po sobie talerz, nóż i widelec, następnie papierowym ręcznikiem wytarła dłonie i wróciła na górę.

Zajrzała do Zacha, po czym ruszyła na poszukiwanie pokoju gościnnego. Z tego, co mówił Bob, sąsiaduje on z pokojem Zacha. A zatem miała do wyboru drzwi na prawo i drzwi na lewo. Spróbowała te po lewej stronie. Jej oczom ukazało się ciemne, ponure wnętrze. Wszędzie panował brud. Spod zwisających z sufitu kawałków tynku wyzierały gołe deski. Tynk leżał również na podłodze. Okno było umyte, zasłony powieszzone, ale reszta pokoju wyglądała tak, jakby od lat nikt z niego nie korzystał.

Maisy wzdrygnęła się, ale po chwili skarciła się w duchu: czy to takie dziwne, że w starym wiejskim domu są nieużywane pokoje? Wprawdzie można by je utrzymywać w czystości; szkoda, żeby niszczały, ale...

Wróciło niejasne przeczucie, że coś jest nie tak.

Wycofała się na korytarz i zamknęła za sobą drzwi, po czym podeszła do drzwi po prawej. Stała z ręką na klamce, bojąc się tego, co za moment może ujrzeć.

Ale kiedy otworzyła drzwi, odetchnęła z ulgą. Zobaczyła świeżo pomalowane żółte ściany oraz - sądząc po zapachu - całkiem nowy beżowy dywan na podłodze. Na wprost stało pojedyncze łóżko z baldachimem, z nieskazitelnie czystą pościelą, białą, w żółte

słoneczniki. Obok stał mały stolik nocny, na nim budzik. Zasłony w oknie pasowały kolorystycznie do leżącej w nogach łóżka narzuty. I to właściwie wszystko. W pokoju nie było telewizora. Na ścianach nie wisiał ani jeden obraz.

Weszła do środka. O tym, że pokój był przygotowany dla niej, świadczyła przyniesiona z jej samochodu torba podróżna. Po przeciwnej stronie łóżka mieściły się drugie drzwi, za którymi znajdowała się łazienka oraz drzwi prowadzące do pokoju Zacha. Maisy ucieszyła się: to dobrze, nawet bardzo dobrze.

Otworzyła jedne i drugie, by słyszeć, kiedy pacjent się zbudzi. Nagle uświadomiła sobie, że jest sama, że wykonała wszystko, co w obecnej sytuacji mogła wykonać, że domownicy gdzieś znikli, że nie musi już nic robić. Wreszcie może usiąść i odpocząć.

Przyciągnęła do siebie torbę. Zamierzała wyjąć gazetę, wyciągnąć się wygodnie na łóżku i sprawdzić, co się dzieje na świecie. Ale gazety nie było. Albo nie wzięła jej z domu - chociaż głowę by dała, że spakowała ją na drogę - albo ktoś ją wyjął z torby.

Ale kto? I co ważniejsze - dlaczego?

Robiło się coraz później. Czowała się zmęczona. Pomyślała sobie, że może pamięć płata jej figla. W każdym razie jako osoba, która zawsze wszystko dokładnie planowała i nie lubiła zdawać się na los, postanowiła napisać list do laboratorium, a potem położyć się i spokojnie zastanowić nad przebiegiem zdarzeń. Napewno do rana będzie miała nieco bardziej przejrzysty obraz sytuacji.



Rano obudził ją zapach parzonej kawy. Otworzywszy oczy, przeturlała się na bok i zerknęła na budzik. Siódma. Promienie słońca wpadały przez okno, zalewając pokój złocistym blaskiem. Zapowiada się piękny, pogodny dzień. Wczoraj wieczorem stan zdrowia Jake'a... to znaczy Zacha wyraźnie się poprawił. Gdyby dziś nastąpiła dalsza poprawa, byłoby wspaniale. Bardzo chciała rozpocząć terapię, terapia jednak polega na rozmowie z pacjentem, a trudno rozmawiać z kimś, kto jest w stanie wydukać dwa lub trzy słowa w odpowiedzi na zadane pytania.

Nadal skłamała się do myśli, aby przewieźć Zacha do szpitala. Skoro nie ufa bliskim, szybciej wróci do zdrowia, kiedy będzie z dala od nich. No ale ostateczną decyzję zamierzała podjąć po zbadaniu pacjenta.

Wstała z łóżka i przeszła do łazienki. Drzwi prowadzące do pokoju Zacha były zamknięte. A przecież pamiętała, że wczoraj wieczorem zostawiła je otwarte. Nacisnęła klamkę. Co, do diabła? Były zamknięte na klucz - od drugiej strony.

Zaniepokojona, zawróciła do swojego pokoju i wybiegła na korytarz. Drzwi z korytarza do pokoju chorego również były zamknięte. Odsunęła zasuwę i weszła sprawdzić, co się dzieje.

Zach leżał pogrążony w głębokim śnie. Twarz miał zroszoną potem, ręce przywiązane do ramy łóżka.

Dlaczego? Nie posiadając się ze złości, Maisy rozwiązała supły. Czerwone ślady na przedramionach wyraźnie świadczyły o tym, że próbował się oswobodzić. Zaczęła masować mu ręce, by przywrócić

w nich krążenie, a przy okazji wyładować własną wściekłość. Nie puści tego płazem! Nikt nie ma prawa wiązać jej pacjenta!

- Zach. Hej, obudź się. No, obudź się. - Starła się mówić spokojnie, żeby go niepotrzebnie nie denerwować.

Nie zareagował; nie otworzył oczu, nie zamrugał, nawet nie drgnął. Na szczęście oddychał. Zaciśnęła rękę wokół jego nadgarstka, by zmierzyć puls. Serce biło mu wolno, ale miarowo. Otwartą dłońią poklepała go po twarzy.

- Hej, Przystojniaku, Obudź się. Żadnej reakcji.

Z trudem tłumiąc gniew, Maisy zbiegła na dół i wpadła zdyszana do kuchni. Bob, który nalewał kawę do dwóch kubków, odwrócił się i uśmiechnął przyjaźnie. Zbyt przyjaźnie, jak na jej gust.

- Słyszałem, że pani wstała - oznajmił. - Napije się pani kawy?

- Bob, co u diabła stało się w nocy? Zmarszczył czoło.

Odstawiwszy jej kubek na stół,

do swojego wlał odrobinę śmietanki.

- Chodzi pani o Jake'a?

- Owszem, chodzi mi o Jake'a. Mówiłam ci, że nie chcę, aby go wiązano. A dziś rano widzę, że znów leży skrepowany, bez możliwości wyjścia z pokoju. Bob pokręcił wolno głową.

- Dziwię się, że pani nic nie słyszała. - Westchnął ciężko. -

Proszę, niech pani usiądzie i napije się kawy, a ja wszystko zaraz wyjaśnię.

Usiadła, pewna, że żadne wyjaśnienie jej nie zadowoli.

- Kiedy wczoraj wieczorem poszedłem na górę sprawdzić, jak się Jake miewa, łóżko było puste. Zobaczyłem, że drzwi do łazienki są otwarte, więc zajrzałem do środka. Jake siedł do pani pokoju, trzymając w ręce nóż. Nie wiem, skąd go wziął, ale proszę mi wierzyć: dobrze, że akurat w tym momencie się pojawiłem. Nie mam pojęcia, czym by się to zakończyło. Pewnie chciał panią zadźgać.

Przypuszczalnie mniej by ją zaskoczył widok Boba z diabelskimi rogami na czole niż wiadomość, którą przed chwilą jej przekazał. Siedziała bez słowa, zszokowana, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Wciągnąłem go z powrotem do pokoju - kontynuował blondyn - i zabrałem nóż. Pani doktor, ja naprawdę przywiązałem go do łóżka i zaryglowałem drzwi, bo bałem się o panią. Że Jake wyrządzi pani krzywdę. On nie jest sobą...

Maisy zmrużyła oczy.

- Mam bardzo lekki sen, Bob. Budzą mnie najmniejsze hałasy, więc nie bardzo rozumiem... - Zawiesiła głos.

- Jake nie próbował ze mną walczyć. Jest słaby i pewnie wiedział, że sobie z nim poradzę. Albo może nie chciał, żeby pani się zorientowała, co knuje. Diabli wiedzą.

- Czyli wszystko odbyło się po cichu, tak? Prawie bezszelestnie?

- No tak. Stał przy pani łóżku, z uniesionym nożem. Zabrałem mu nóż, po czym zacząłem go ciągnąć do jego pokoju. Szedł potulnie jak baranek. Położyłem go. Nawet się nie wyrywał, kiedy go przywiązywałem. Czyli hałasu to właściwie nie narobiliśmy. -

Westchnął ciężko, jakby wspomnienie o nocnym zdarzeniu przepełniło go smutkiem. - Tak się zastanawiałem... może powinna pani mu coś dać? Jakiś środek na uspokojenie? Chyba że to by spowolniło proces zdrowienia...

Potrząsnęła energicznie głową.

- Niektóre leki mogą nawet stymulować pamięć, ale nie zamierzam eksperymentować, dopóki nie otrzymam wyników z laboratorium. - Nagle zawahała się. - Bob, przyznaj się: niczego mu sami nie dawaliście?

- A skądże! - oburzył się blondyn. - Jesteśmy prostymi farmerami, a nie lekarzami.

Przyjrzała mu się badawczo. Mówi prawdę czy okłamuje ją? Ale jaki miałby w tym cel?

- Nie mogłam go rano dobudzić - rzekła. - Taki stan wywołują tylko środki nasenne czy odurzające. Nie zdołam pomóc Jake'owi, jeżeli ty i twoi rodzice nie będziecie ze mną szczerzy.

- Niczego mu nie dawaliśmy. Przysięgam.

- Chyba powinnam porozmawiać z Agnes i Oliverem. -

Rozejrzała się po kuchni, zdziwiona, że jeszcze się nie pojawili.

- Nie ma ich. Wyjechali.

- Już?

Blondyn wyszczerzył w uśmiechu zęby, zadowolony ze zmiany tematu.

- Kiedy czeka go długa droga, ojciec lubi wyruszyć skoro świt.

- Ale... mieli zabrać krew do laboratorium i list ze skierowaniem...

- Wszystko wzięli. List sam im dałem; zobaczyłem go u pani na stoliku nocnym, kiedy wszedłem po Jake'a. Chce pani zadzwonić do szpitala uprzedzić, że ktoś podrzuci próbkę krwi? Właściwie jak tylko zrobią analizę, będzie pani wiedziała, czym Jake'a szpikowano. I czy w ogóle.

Miał rację. Wcześniej powiedziała, że taki stan, w jakim znajduje się Zach, wywołują tylko środki nasenne lub odurzające, lecz nie do końca była to prawda. Powodem mogą być również urazy psychiczne lub zakłócona równowaga chemiczna. Popijając kawę, Maisy zastanawiała się, dlaczego jest bardziej skłonna wierzyć swojemu zamroczonemu pacjentowi, który gada bez sensu, niż jego zatroskanej i wystraszonej rodzinie.

- Wiesz, Bob, naprawdę uważam, że powinno się Jake'a odwieźć do szpitala.

- Tak, ale moi rodzice są temu stanowczo przeciwni - oznajmił blondyn. - A ponieważ on sam o sobie nie może decydować, na leczenie szpitalne musi pani uzyskać zgodę najbliższej rodziny, prawda?

- Niekoniecznie, choć wtedy procedura jest nieco bardziej skomplikowana. Ale... ty mógłbyś mi dać zgodę. Bądź co bądź jesteście kuzynami.

Pokręcił przecząco głową.

- Niestety. Nie mogę sprzeciwić się woli rodziców, a tym bardziej nie chcę działać za ich plecami.

- Mimo że pobyt w szpitalu mógłby ulżyć Jake'owi? Bob westchnął ciężko.

- Wie pani co? Rodzice zadzwonią wieczorem. Zawsze dzwonią, kiedy gdzieś wyjeżdżają. Wyjaśnię mamie sytuację i poproszę, żeby pozwoliła odwieźć Jake'a do szpitala. A przynajmniej powiem jej, że bez względu na to, czy wyrazi zgodę, czy nie, i tak to zrobimy.

- Naprawdę? - Maisy uniosła pytająco brwi.

- Jasne. Ze względu na Jake'a. Mamie pewnie się to nie spodoba, ale tu chodzi o zdrowie człowieka. Nie chcę jednak działać za jej plecami, więc zaczekajmy do wieczora. Albo matka sama się zgodzi, albo ja pani podpiszę zgodę.

Musiała przystać na propozycję Boba. Niby mogłaby pominąć rodzinę, ale zanim udałoby się otrzymać zaświadczenie, że Jake jest niezdolny do decydowania o sobie i przekonać sąd o tym, że chorego należy umieścić w szpitalu, minęłoby co najmniej kilka dni. Dłużej, gdyby rodzina zaczęła kwestionować jej opinię. Zresztą jeden dzień jej nie zbawi. Poza tym lepiej mieć Boba po swojej stronie.

- Zobaczymy, jak się Jake będzie czuł - ciągnął Bob. - Może jego stan się poprawi? Może laboratorium przekaże pani wyniki? Wieczorem, kiedy zadzwonią rodzice, wspólnie podejmiemy decyzję, dobrze? Maisy skinęła powoli głową.

- Ja już ją podjęłam, Bob - oznajmiła. - Dam ci czas do wieczora, żebyś przyzwyczał się do myśli o szpitalu i zastanowił, jak

powiedzieć o tym rodzicom, ale szpital jest absolutnie niezbędny. Jake musi tam trafić jeszcze dziś.

Na ścianie przy wejściu wisiał staromodny czarny aparat z tarczą zamiast przycisków. Maisy podeszła do niego i wykręciwszy numer centrali telefonicznej - nie pamiętała numeru szpitala, a nigdzie w pobliżu nie leżała książka telefoniczna - poprosiła, by połączono ją z laboratorium analiz w szpitalu Austin Memorial.

Po dwóch minutach w słuchawce rozległ się głos:

- Laboratorium. W czym mogę pomóc?

- Mówi doktor M.J. Dalton - przedstawiła się Maisy. - Niedługo powinna do was dotrzeć krew do analizy. Przywiezie ją wraz z wyszczególnieniem badań, które zleciłam, para o nazwisku Smith. Najbardziej mi zależy na badaniu toksykologicznym. Kiedy mogę liczyć na wyniki?

- Jeżeli dostaniemy próbkę rano, wstępne wyniki powinniśmy mieć późnym popołudniem. Czy to wystarczy, pani doktor?

- Musi wystarczyć, dziękuję. Czy mogłaby pani zanotować, żeby ktoś do mnie natychmiast zadzwonił?

- Oczywiście, pani doktor. Pod jaki numer? Odczytała numer zapisany na tarczy i na wszelki wypadek podała również numer swojej komórki. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że tu, na tym odludziu, komórka pewnie nie będzie miała zasięgu.

- Ale raczej proszę dzwonić pod pierwszy numer.

- Nazwisko pacjenta?

- Za... To znaczy, Jake Smith.

- Ubezpieczony?

Maisy popatrzyła na Boba.

- Czy jest ubezpieczony? Potrząsnął głową, że nie.

- Obawiam się, że nie - powiedziała Maisy do słuchawki. -

Proszę wystawić rachunek na mnie. Moje dane są w szpitalnym komputerze.

Osoba na drugim końcu Unii wcisnęła kilka klawiszy.

- Tak, zgadza się, pani doktor. Mamy wszystkie potrzebne informacje. Myślę, że mnie już nie będzie, kiedy nadejdą wyniki, ale zostawię informację dla drugiej zmiany, żeby ktoś się z panią skontaktował.

- Będę bardzo zobowiązana. Dziękuję.

- Drobiazg. Życzę miłego dnia.

- Ja pani również. - Maisy odwiesiła słuchawkę. Miała złe przeczucia.

- Śniadanie? - spytał Bob.

Przypomniała sobie, co mówił Zach: że Smithowie systematycznie go podtruwają. W normalnej sytuacji uznałaby, że pacjent przesadza, że ma jakieś urojenia, ale teraz zaczęła się poważnie zastanawiać nad tym, czy rodzina zbyt gorliwie nie stara pomóc swemu siostrzeńcowi.

- Nie, dziękuję - odparła. - Później zjem.

- W porządku, w razie czego proszę się obsłużyć.

A teraz przepraszam, ale muszę iść do swoich zajęć. Trzeba nakarmić konie i krowy.



- Idź, idź, ja sobie dam radę.

- Na pewno? A jeśli Jake się obudzi i znów stanie się agresywny?

Nie stanie się. Nie miała żadnych podstaw czy przesłanek, by w to wierzyć; opierała się wyłącznie na intuicji. Dziwne, pomyślała; woli ufać osobie cierpiącej na poważne zaburzenia psychiczne niż człowiekowi, który wydaje się zdrowy i całkiem normalny.

Leżący na górze Zach pociągał ją. Była tym faktem przerażona. Powtarzała sobie, że musi się mieć na baczności, uważać, aby fascynacja pacjentem nie wpłynęła na jej ocenę sytuacji i metodę leczenia. Między innymi z tego powodu chciała przewieźć Zacha do szpitala. Szpital jest miejscem znacznie mniej intymnym niż sypialnia.

- Dam mu coś na uspokojenie, jeżeli to będzie konieczne - oznajmiła. - Ale nie sądzę, żeby tak było.

- Jasne. Będę w zasięgu słuchu. W razie czego proszę głośno krzyknąć, a zaraz przybiegnę.

- Dobrze. Cieszę się, że mogę na ciebie liczyć - skłamała, bo wcale się nie cieszyła.

Bob wyszedł na dwór. Ledwo drzwi się za nim zamknęły, Maisy poderwała się od stołu. Wylała do zlewu kawę, i ze swojego kubka, i z dzbanka. Dzbanek dokładnie umyła pod bieżącą wodą, po czym zaparzyła świeżą kawę. Kiedy krople brunatnego płynu skapywały do szklanego pojemnika, wyjęła z lodówki jajka, pieczywo, masło. Przygotowała śniadanie dla dwóch osób; dla siebie jajko na twardo i

grzanek z masłem, dla Zacha płynny posiłek, czyli koktajl z dwóch surowych jajek, mleka i cukru.

Następnie umyła, wytarła i odłożyła na miejsce wszystkie sztućce, garnki i naczynia, jakich używała. Starła się zostawić kuchnię w idealnym porządku, tak by nikt nie poznał, że cokolwiek ruszała.

Odwiesiwszy ściereczkę do rąk, zaczęła ją poprawiać, tak by paski układały się w ten sam wzór co przedtem. Nagle uświadomiła sobie, co robi. Boże, zachowuje się, jakby miała nie po kolei w głowie. Zupełnie jak ten biedny paranoik na górze.

Przełknęła ślinę, nerwowo zastanawiając się, czy przypadkiem nie przesadza.

Po chwili jednak uznała, że lepiej być przezornym niż lekkomyślnym i niefrasobliwym.

Bob wyszedł z domu. Zanim skierował się do stodoły, pomajstrował chwilę przy umocowanej do ściany skrzynce telefonicznej. Gdyby musiał zadzwonić, wystarczy połączyć dwa druty. Oczywiście ona o tym nie wie. Nawet się nie orientuje, że istnieje coś takiego jak ta skrzynka.

Zadowolony z siebie, ruszył do roboty. Musi nakarmić cztery konie i dziesięć krów. Agnes uparła się, że ranczo bez zwierząt wyglądałoby podejrzanie. Po drodze zabrał sztucer - ten z lunetką, żeby mógł strzelać z daleka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Powrócił anioł. Zach był wyraźnie świadom jego, a raczej jej, obecności. Słyszał leciutki furkot skrzydeł, czuł emanujące od niej ciepło, widział - mimo zaciśniętych powiek - otaczającą ją świetlistą aurę.

Wczoraj wieczorem, kiedy do sypialni wkroczył Bob i rozpoczęła się kolejna sesja tortur, zastanawiał się, czy dobry anioł go opuścił, czy wyjechał na zawsze, czy może wszystko było tylko snem. Może anioł istniał wyłącznie w jego fantazji.

Ale teraz wrócił. Zresztą może był tu cały czas, może tylko on, Zach, na parę godzin stracił go - ją - z oczu. Tak, piękna świetlista dama wróciła. Wyczuwał jej obecność wszystkimi zmysłami. Musi być aniołem, prawda? Bo kimże innym mogłaby być? Ale jeżeli była tu cały czas, a tylko on jej nie widział, to dlaczego pozwoliła, aby Bob znów go torturował? Czy nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje? Jak to możliwe?

Usiłował sobie wszystko przypomnieć, odpędzić chmury, jakie gromadziły się w jego głowie, ale te cholerne środki, którymi go szpikowano, czyniły go ospałym, a jego umysł mętnym. Skup się, nakazywał sobie. A zatem... Nie, wczoraj wieczorem na pewno nie widział swojego anioła. Na pewno nie było jej w pokoju. Pamiętał, że Bob zachowywał się wyjątkowo cicho. Zazwyczaj, kiedy Zach leżał przywiązany do łóżka, mrużąc oczy przed jaskrawym blaskiem, Bob stał obok i stanowczym tonem zadawał pytania. Zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi, podnosił głos, wreszcie zaczynał krzyczeć.

Agnes nigdy nie podnosiła głosu. Niemal hipnotycznym tonem do znudzenia powtarzała pytania. Oliver nie uczestniczył w seansach. Raz jeden obserwował przesłuchanie, ale wyszedł w trakcie, nie doczekawszy końca. Najwyraźniej było to ponad jego siły.

A anioł?

Chciał wierzyć, że piękna kobieta, która mu wczoraj pomagała, nie jest częścią tego szaleństwa. A to naprawdę było szaleństwo. Jakiś dziwny cyrk, szopka. Podejrzewał, że nawet gdyby nie był otumaniony lekami czy trucizną, to i tak nie potrafiłby zrozumieć, o co chodzi, dlaczego został porwany i czego ci ludzie od niego chcą.

Otworzył oczy. Maisy stała nieopodal; w jednej ręce trzymała talerz, w drugiej szklankę wypełnioną gęstym płynem, z którego sterczała słomka. Postawiła wszystko na stoliku nocnym, po czym wzięła dzbanek i przeszła do łazienki. Oplukawszy dzbanek, napełniła go świeżą, zimną wodą.

Zach odetchnął z ulgą. Może do niej dotarło, że to nie on w tym domu zwariował; że to inni mają nie po kolei w głowie.

Kobieta wróciła do pokoju, odstawiła dzbanek i usiadła - nie na krześle, lecz na brzegu łóżka. Zdziwił się, kiedy pochyliła się i uważnie wpatrując się w jego oczy, odgarnęła mu włosy z czoła.

- Dobrze, że już się obudziłeś - powiedziała szeptem. - Nie wiem, co dokładnie wydarzyło się wczoraj wieczorem, ale... Przepraszam, Zach. Kiedy wstałam i zobaczyłam, że znów jesteś przywiązany do łóżka... - Urwała, nie potrafiąc ukryć wzburzenia i

zdenerwowania. - To się już więcej nie powtórzy. Obiecuję ci. Nie pozwolę na żadne wiązania, choćbym miała tu spać i cię pilnować.

W odpowiedzi zamrugał oczami; tylko w ten sposób mógł się na razie porozumiewać.

- Nie rozumiem jedynie, dlaczego twój stan się tak gwałtownie pogorszył - ciągnęła Maisy. - Wczoraj sprawiałeś wrażenie znacznie zdrowszego. Nawet mogłeś mówić; z trudem, ale jednak.

Oblizął wargi; z całej siły starał się skupić na wypowiedzeniu jednego słowa:

- Na... na... narko...

Wpatrywała się w niego bez słowa. Przeniósł spojrzenie z jej twarzy na swoją rękę, następnie znów na twarz kobiety i ponownie na swoją rękę. Marszcząc z namysłem czoło, Maisy przytknęła palce do nadgarstka Zacha, potem wolno przesuwając je wyżej. Na wysokości łokcia coś chyba wyczuła, bo zniżyła głowę. Tak, to było ukłucie.

Domyślił się, że je zobaczyła, bo nagle znieruchomiała, a jej oczy zrobiły się okrągłe.

- Mój Boże - powiedziała cicho.

- Książ...siąż... - wydukał i ponownie wskazał oczami, o co mu chodzi.

Na stoliku leżała książka z dziecięcymi rymowankami. Wczoraj jej tu nie było. Zach wiedział, że anioł to skojarzy.

I faktycznie. Podniosła książkę i przeglądając ją, nagle spytała:

- Chcesz powiedzieć, że weszli tu wczoraj w nocy, coś ci wstrzyknęli do żyły, potem przywiązali cię do łóżka i zaczęli ci czytać wierszyki?

Zdecydowanym ruchem skinął głową. Oczywiście nie tylko czytali - starali się na siłę wyciągnąć z niego informacje - ale ucieszył się, że zdołał choć tyle przekazać aniołowi.

Przez chwilę przyglądała mu się bez słowa. Miał wrażenie, że na jej twarzy maluje się strach.

- Muszę coś wiedzieć, Zach. Tylko nie kłam, proszę cię. Czy wczoraj w nocy wstałeś z łóżka? Czy z nożem w ręku wszedłeś do mojego pokoju?

Pokręcił przecząco głową. Kiedy kobieta odwróciła wzrok, uniósł rękę i delikatnie przyłożył ją do jej policzka. Zaskoczona, ponownie skierowała na niego spojrzenie.

- Nig cię... cię nie... skrzyw... - Mówienie wymagało tak ogromnego wysiłku, że krople potu zaczęły mu spływać po czole. - Ty... mój... jed... nadziej...

Dlaczego tak łatwo dała się przekonać? Przecież ślad na rękę mógł powstać cztery dni temu, zanim rodzina wywiozła Zacha z terenu należącego do sekty. Z drugiej strony, kiedy dziś rano do niego zajrzała, leżał przywiązany, a drzwi pokoju były zamknięte od zewnątrz. Nie ulegało też wątpliwości, że wczoraj wieczorem książeczka z rymowankami nie była na widoku.

- Wydostanę cię stąd, jeszcze dziś - przyrzekła. Nie wolno jej ryzykować. Może ponosi go fantazja, może to, co jej opowiada,

należy włożyć między bajki, ale... ale wierzyła, że Zach nie zmyśla. W szpitalu będzie bezpieczny. Zresztą tu, na odludziu, ona, Maisy, nie zdoła się nim zająć w sposób profesjonalny. Usiłował zaprotestować:

- Nie... twój samoch...

- Tak, pojedziemy moim samochodem - powiedziała.

Wyjrzał przez okno. Maisy, zaciekawiona, popatrzyła tam gdzie on. Ze swojego łóżka Zach miał niczym nieprzysłonięty widok na jej auto.

- B... Bob...

- Co Bob?

Otworzył usta, po chwili je zamknął. Z jego gardła nie dobył się żaden dźwięk.

Czyżby usiłował powiedzieć, że Bob majstrował przy jej samochodzie? Rzeczywiście, nie ruszając się z łóżka, widział wszystko, co się dzieje na dole, ale...

Przeszła przez łazienkę do swojego pokoju, wyjęła z torebki kluczyki samochodowe i wróciła do sypialni Zacha.

- Na moment cię opuszczę - rzekła. - Bob oporządza bydło, a Smithowie wyjechali z samego rana...

Wiedziała, że jej obawy są irracjonalne, mimo to przeszkadzała jej myśl, iż ma zostawić Zacha samego w domu. Postanowiła chociaż otworzyć mu okno. Otwierało się z trudem, jakby od lat nikt się do niego nawet nie zbliżał.

- O, tak lepiej. - Otrzepała ręce. - Gdyby pojawił się u ciebie Bob, krzyknij. Albo postaraj się narobić hałasu. Dobrze?

Skinął na znak zgody.

- Nie... nie... - Nie był w stanie dokończyć. Maisy pochyliła się nad łóżkiem.

- Spokojnie, Zach. Nie co?

Chwyciwszy ją za nadgarstek, zabrał jej kluczyki. Następnie w milczeniu zaczął odgrywać scenę: otworzył drzwi samochodu, włączył silnik. Maisy czuła, jak z sekundy na sekundę narasta w niej coraz większy strach.

- Mam nie zapalać silnika? - spytała. Odetchnął z ulgą. Zgadła!

- W porządku. Nie będę go włączać. Ale przynajmniej chcę obejrzeć samochód.

- Os...troźnie.

Tak, zamierza być bardzo ostrożna. Wierzyła Zachowi, że ktoś, najprawdopodobniej Bob, majstrował przy jej samochodzie. Może umysł Zacha nie funkcjonuje sprawnie, ale z jego oczu wyziera szczerzy niepokój. Przypuszczalnie dostrzegł przez okno coś, co wzbudziło w nim trwogę.

Z trudem oderwała spojrzenie od jego oczu, po czym odwróciwszy się, wybiegła pędem z pokoju. Na dole zwolniła - tylko tego brakowało, żeby Bob nabrał podejrzeń. Zresztą może nie ma sensu się denerwować, bądź co bądź Zach, leżąc w łóżku i obserwując świat za oknem, znajduje się w ciągłym stanie odurzenia. Kto wie, może mu się wszystko przywidziało? Albo przyśniło?

Akurat! - pomyślała. Nie przyśnił sobie sznurów krępujących mu ruchy, sam się nie przywiązał do łóżka ani nie wbił sobie igły w żyłę.



Natomiast ona, Maisy, nie miała majaków; wyraźnie widziała strach w jego oczach - strach o nią, nie o siebie.

Próbowała się uspokoić. Opanowawszy drzenie, weszła do salonu i rozejrzała się wkoło, szukając wzrokiem Boba. Salon był pusty. Weszła do kuchni. Kuchnia też była pusta. Podejrzewała, że na parterze jest więcej pokoi, ale uznała, że nie będzie sprawdzać. Może później. Na razie chciała jak najszybciej wyjść na zewnątrz i zobaczyć, czy ktoś nie majstrował przy jej samochodzie.

Pchnęła lekko siatkowe drzwi, które zaskrzypiały w proteście, po czym ostrożnie wyszła na ganek. Zerknęła w prawo, w lewo. Nie widziała żywej duszy. Samochód stał na podjeździe, tam gdzie go zostawiła. Ruszyła po schodkach, omijając kilka połamanych stopni, następnie z kluczykami w ręku skierowała się do auta.

Nagle spod ganku wyskoczył pies; rzucił się na nią, szczekając wściekle. Z jego pyska leciały strzępy piany. Maisy poderwała się do biegu, jakby ją sam diabeł gonił. Potwór wzbił się w powietrze i po chwili zacisnął swoje potężne zębiska na jej ręce powyżej łokcia. Pod ciężarem psa Maisy osunęła się na kolana.

Reagując instynktownie, obróciła się i drugą ręką z całej siły walnęła potwora w obśliniony nochal. Pies puścił jej ramię. Na czworakach, nie tracąc czasu na wstawanie, Maisy ponownie rzuciła się w stronę samochodu.

Łańcuch, na którego końcu znajdowało się szczekające bydlę, był maksymalnie napięty; dosłownie centymetry dzieliły twarz Maisy od wielkich wyszczerzonych kłów. Na szczęście nie mogły jej

dosięgnąć, ona zaś nie mogła dosięgnąć kluczyków, które leżały na ziemi, przygniecione psią łapą. Do domu też nie mogła wrócić, bo potwór by ją rozszarpał. Przyciskając ręką pogryzione ramię, żeby choć trochę zatamować krwawienie, i nie spuszczać oczu z psa, oparła się plecami o karoserię i zaczęła wolno się podnosić. Następnie wymacała za sobą klamkę i otworzyła drzwi.

- Gdzieś się pani wybiera?

Odwróciwszy się, zobaczyła Boba. Stał po drugiej stronie samochodu i przyglądał się jej ponad dachem.

- Nie... Chciałam coś zabrać.

- O cholera. - Blondyn wykrzywił wargi. - Cha-pnęło panią to bydlę, prawda? Rufus, spokój! - ryknął na psa. - Leżeć!

Pies przestał szczekać, skulił się.

- Co ja powiedziałem?! Leżeć!

Zwierzę wczło gało się z powrotem pod ganek.

- Lepiej chodźmy do środka. Opatrzę pani ranę. Wygląda paskudnie.

Maisy czuła, jak spomiędzy zaciśniętych na ranie palców sączy się krew.

- Cholerne psisko. Ale przynajmniej chroni bydło przed wilkami i kojotami.

Bob obszedł maskę wozu i z zatroskaniem spojrział na pogryzione ramię.

- A jak to robi, skoro jest na łańcuchu? - spytała Maisy.

- Och nie, na noc go spuszczaamy. Patroluje teren jak najprawdziwszy stróż. Jest naszym dzielnym żołnierzykiem. - Schyliwszy się, Bob podniósł z ziemi kluczyki i schował je do kieszeni. - Następnym razem jak będzie pani czegoś potrzebowała, wystarczy powiedzieć. Chętnie spełnię każde pani żądanie.

Delikatnie ujął ją za łokieć. Pies leżał cicho; nawet nie warknął, kiedy wchodzili na ganek. Siatkowe drzwi znów zaskrzypiały. Kiedy znaleźli się w środku, Bob podprowadził Maisy do krzesła, sam zaś znikł w pokoju na lewo od kuchni. W większości domów, pomyślała Maisy, sąsiadujący z kuchnią pokój jest jadalnią, tu jednak niczego nie mogła być pewna.

Zapuściła żurawia. Na końcu pokoju zobaczyła drugie drzwi. W ich kierunku zmierzał Bob.

Nie zdążyła się rano ubrać. Wciąż miała na sobie obszerny Tshirt, w którym spała, oraz bawełniany szlafrok z podartym i zakrwawionym rękawem. Sycząc z bólu, wyjęła rękę z rękawa, po czym podeszła do zlewu, odkręciła kran i wsunęła ramię pod strumień zimnej wody. Ponownie syknęła.

Kiedy krew spłynęła do umywalki, -Maisy spostrzegła, że szkoda wyrządzona przez psa jest znacznie mniejsza, niż jej się początkowo wydawało. Skóra była rozdarta w dwóch miejscach; w każde z tych miejsc należało założyć po dwa, trzy szwy, ale od biedy wystarczy zwykły opatrunek.

Bob wrócił z naręczem przydatnych rzeczy: mydłem przeciwbakteryjnym, maścią z antybiotykiem, gazą, plastrem.

- Jest szczepiony. Znaczą się Rufus. Nie musi się pani bać wściekłych ani nic takiego.

Maisy zakręciła wodę.

- Niech pani usiądzie - kontynuował Bob. - Opatrzę pani ranę.

- Dziękuję, sama sobie poradzę. - Rozłożyła na stole ręcznik, a na nim dostarczone przez Boba środki opatrunkowe. - I chętnie dostałabym z powrotem moje kluczyki samochodowe.

- A, faktycznie. Przepraszam, zapomniałem. - Wydobył z kieszeni klucze i wzduszając nieporadnie ramionami, dorzucił je do stosu na stole.

Maisy uniosła ręcznik wraz z zawartością.

- Nie chciałabym być nieuprzejma, Bob - powiedziała - ale jeżeli tobie i twoim rodzicom zależy, abym spróbowała wyleczyć Jake'a, musisz zrobić coś z psem. Nie zostanę godziny dłużej, jeżeli ta bestia będzie warować pod domem. Mówię poważnie. Albo pozbędziesz się psa, możesz go dać sąsiadom na przechowanie, wszystko mi jedno, albo natychmiast wracam do miasta.

- Ale wilki...

- To bydłę jest bardziej niebezpieczne od watahy wilków! - Zacisnęła gniewnie usta. - Jeżeli pies musi koniecznie zostać, to chociaż zamknij go w stodole, dopóki stąd nie wyjadę.

Chciała dodać, że chodzi tylko o dzisiejszy dzień, bo nie pozwoli, aby Zach spędził tu kolejną noc. Powinien jak najprędzej znaleźć się w szpitalu. Jednakże musiała się jej udzielić paranoja Zacha, bo ugryzła się w język.

Bob zwiesił głowę.

- Nie dziwię się, że jest pani wściekła na Rufusa. A matka...

Boże, obedrze mnie ze skóry, jak się dowie, że nie przypilnowałem drania. Zabiorę go stąd. Słowo honoru. Więcej go pani nie zobaczy.

Zdumiała ją jego uległość i gotowość pójścia na kompromis. Może więc teoria Zacha - że Bob jest bezdusznym przestępcą, który zamierza więzić ich oboje - stanowiła wymysł chorej wyobraźni?

- Serio? Zamkniesz psa?

- No oczywiście. Myślisz, że chcę, abyś wyjechała?

- Wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął jej z czoła kosmyk włosów. - Nie pogniewasz się, jak będę ci mówił po imieniu? Jesteś naszą jedyną nadzieją na odzyskanie Jake'a. Bez ciebie sobie nie poradzimy. Poza tym... podobasz mi się, wiesz?

Czyżby próbował z nią flirtować? O Boże, tylko tego jej brakuje!

- Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, to pamiętaj: w każdej chwili służę ci pomocą. Dobrze?

Nie była w stanie wykrztusić słowa, więc tylko skinęła głową, po czym zgarnęła ze stołu swój tobołek i ruszyła pośpiesznie na górę.

Zach podciągnął się na łóżku tak, by mieć lepszy widok na podwórze. Patrzył, jak kobieta schodzi po schodkach; widział, jak pies się na nią rzuca i wbija kły w jej ramię. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bezsilny. Rwał się do pomocy, mięśnie miał napięte, lecz nawet nie potrafił samodzielnie wstać, nie mówiąc już o zbiegnięciu na dół.

Na szczęście zdołała się oswobodzić, ale sytuacja mogła zakończyć się tragicznie. A on, Zach, siedziałby na górze i patrzył bezradnie, jak bestia rozszarpuje kobietę na kawałki. Był wściekły, że dał się porwać, a także z powodu tej papki, jaką miał w głowie, papki, która nie pozwalała mu myśleć logicznie.

Szlag by to trafił!

Nigdy nie należał do umięśnionych twardzieli. No ale pracujący na uniwersytecie profesor ekonomii rzadko bywa twardzielem. Chciał jednak wierzyć, że gdyby potrafił się normalnie ruszać, to rzuciłby się kobiecie na ratunek, nawet gdyby sam miał zostać dotkliwie pogryziony.

Czekał, aby pojawiła się na górze. Czas włókł się niemiłosiernie. Wreszcie usłyszał jej kroki na korytarzu. Po chwili drzwi się otworzyły - weszła do pokoju.

Przez kilka sekund w milczeniu świdrował ją wzrokiem.

- Nic się nie stało, to powierzchowne rany - powiedziała.

Pchnąwszy biodrem drzwi, podeszła do łóżka i położyła ręcznik na stoliku nocnym.

Jego oczom ukazała się zawartość tobołka: gaza, maść, plastry, buteleczka spirytusu. Maisy usiadła na brzegu łóżka i sięgnęła po spirytus. Poliała kilka kropli na kawałek gazy, po czym przygryzła wargę. Zach pokręcił głową.

- Nie... nie rób.

- Muszę - rzekła. - Diabli wiedzą, jakie zarazki ma w pysku ten bydlak. - Uśmiechnęła się, jakby chcąc dodać sobie otuchy. - Będzie koszmarnie bolało, ale nie mam wyjścia.

Od wzajemnił jej uśmiech, po czym wyciągnął do niej dłoń.

- Dzięki - powiedziała, ściskając ją mocno. - Przyda mi się wsparcie psychiczne.

Nie mógł jej pomóc; mógł tylko przyglądać się bezsilnie. Przyłożyła gazę do rany i aż jęknęła z bólu. Łzy popłynęły jej z oczu. Jeszcze silniej zacisnęła rękę na dłoni mężczyzny, wbijając mu w skórę paznokcie. Przysunawszy się bliżej, pochylił się nad jej lewym ramieniem i zaczął dmuchać na ranę, raz po raz, niestrudzenie.

Oddech miała szybki, urywany.

- Dzięki - szepnęła. - Chryste, jak to boli. Wreszcie puściła jego rękę. Na czysty opatrunek

z gazy wycisnęła maść z antybiotykiem, następnie przyłożyła gazę do rany i zaczęła odrywać kawałki plastra. Poradziła sobie całkiem nieźle.

- Wiesz... Podniosła wzrok. - W końcu nie sprawdziłam samochodu. Natomiast Bob dał mi wyraźnie do zrozumienia, że w nocy pies spuszczaany jest z uwięzi. Patroluje teren.

Zach potrząsnął głową.

- Nie... wydo... wydosta...

- Nie wydostaniemy się? Też mi to przemknęło przez głowę. Ale kiedy zagroziłam Bobowi, że jeśli nie zamknie bydlaka w stodole, to

wyjadę, nawet nie zaprotestował. Powiedział, że zrobi, co tylko zechcę. Nie wydaje mi się, żeby kłamał.

Zach potrząsnął energicznie głową.

- Wiem, wiem, nie ufasz mu. No cóż, tak czy inaczej zamierzam przewieźć cię do szpitala. Jeszcze dziś.

- On... nie... nie... Uniosła rękę.

- Uważasz, że nie pozwoli nam wyjechać? Chyba się mylisz,

Zach. Nie sądzę, aby robił nam trudności. Ale pewne środki ostrożności nie zaszkodzą. Jak tylko Bob wyjdzie z domu, zadzwonię do moich przyjaciół i powiem im, co się dzieje. I poproszę, żeby zawiadomili policję, jeśli do rana się z nimi nie skontaktujemy.

Zacisnęła powieki na znak zgody, ale w głębi duszy wątpił, by Maisy miała okazję skorzystać z telefonu. Bob nie jest idiotą. Gdyby tak było, Zach już dawno by stąd uciekł.

- Zach, może Smithowie nie są tacy źli, jak ci się wydaje. Może niesłusznie podejrzewasz ich o najgorsze. Na wszelki wypadek trzeba podjąć środki ostrożności, ale równie dobrze może się okazać, że twoi wujostwo mają jak najlepsze intencje, że cię naprawdę kochają i starają się...

- Obcy - powiedział. Zauważył, że mgła ustępuje z jego głowy i powoli wraca mu zdolność wypowiedania myśli. - Nie wujostwo...

Spuściła wzrok.

Chwycił ją za zdrową rękę.

- Naprawdę. - Wskazał na siebie. - Zach Ingram. Zmarszczyła czoło, jej spojrzenie stało się jeszcze



bardziej zamyślane i pochmurne.

- Ingram?

- Ta...

- Nie nazywasz się Jake Smith?

Przełknął ślinę. Z najwyższym trudem skupił się na tym, co zamierzał powiedzieć.

- Jake Ingram... mój... brat. Wytrzeszczyła oczy.

- Masz brata Jake'a? I nie Smitha, tylko Ingrama? Skinął głową.

- To dlaczego oni myślą, że jesteś Jakiem?

- Po... podobni... - Westchnął.

Boże, jak ciężko jest prowadzić rozmowę, nawet monosylabami.

- Jesteście bliźniakami?

- Nie... Po... podobni - powtórzył.

- No dobrze. Jesteście z bratem podobni do siebie. Ci ludzie nazywają cię Jakiem, bo się pomylili. Bo myślą, że mają Jake'a. Ale... Boże, to się kupy nie trzyma! Jeśli Jake jest ich siostrzeńcem, ty też nim jesteś. Czyli oni wcale nie są obcymi ludźmi, tylko twoją ciotką i wujem. - Na moment pogrążyła się w zadumie. - Ingram... Hm, to nazwisko brzmi znajomo. Gdzie ja mogłam je słyszeć?

- Bank... Świa... Światowy.

Nie musiał nic więcej mówić. W jej oczach pojawił się błysk. Jakby nagle doznała olśnienia.

- Rany boskie - szepnęła. - Ty nic nie zmyślasz, prawda, Zach?

- Prawda...

- O Boże! Dlaczego... Chryste, Zach! Mamy kłopot. Duży kłopot.

- Wiem. - Zamknął oczy.

Na dole trzasnęły drzwi, a po chwili rozległ się odgłos kroków. Bob wrócił. I pewnie wkrótce przyjdzie na górę sprawdzić, jak się miewa jego ofiara.

- Trze... trzeba u... udawać — wydukał Zach, mając nadzieję, że Maisy zrozumie, o co mu chodzi.

- Masz rację. - Przyjrzała mu się uważnie. - Nie możemy pozwolić, żeby Smithowie nabrali jakichkolwiek podejrzeń. Nie wiem, co zamierzają, ale musimy dalej grać swoje role. - Oblizła spierzchnięte wargi. - Mam pomysł, co zrobić z tymi środkami, którymi cię szpikują. Tylko potrzebuję trochę czasu.

Zerknął ponad jej ramieniem na jedzenie, które rano przyniosła na górę, a które stało nietknięte. Szklankę z jajecznym koktajlem, który przygotowała dla niego, zdołał opróżnić. Mimo drżących rąk.

- Maisy...

Wyrwał ją z zadumy. Miała takie piękne oczy: mądre, ruchliwe, lśniące. Ale dostrzegął w nich nutę smutku.

- Zjedz. Uśmiechnęła się.

- Nie żartuj. Nie dałabym rady nic przełknąć.

Wskazał wzrokiem na talerz z zimną jajecznicą. Maisy wykrzywiła się z niesmakiem.

- No dobrze - powiedziała po chwili. - Pod warunkiem, że mi pomożesz. Że zjemy razem.

- Zgoda.

- Środek, który ci dali, powoli przestaje działać.

- Mam na... nadzieję.

- I ja-

Zerknął na jej ramię.

- Przy... przykro mi.

- Nie bądź śmieszny, to nie twoja wina. Ale ten wstrętny bydlak jeszcze mnie popamięta. Rufus też.

Zach parsknął śmiechem.

- Lubię cię - rzekł, poważniejąc. Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Cieszę się, bo ja ciebie również.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nadal chodziła w szlafroku. Marzyła o tym, by wziąć prysznic, umyć się, ubrać. Wyobrażała sobie, że biedny Zach pewnie dałby się pokroić za kąpiel i czyste ubranie. Jakoś nie widziała, aby kochająca „rodzina” troszczyła się o higienę swego siostrzeńca. Psiakrew, dlaczego wcześniej nie zwróciła na to uwagi?

Nie zamierzała jednak zamykać się w łazience i zostawiać Zacha samego w pokoju, póki Bob krzątał się po domu. Musiała uzbroić się w cierpliwość.

Pod pretekstem, że chce sobie dolać kawy, zeszła na dół, by się zorientować, co Bob porabia. Siedział w salonie i czytał gazetę. Na dźwięk jej kroków złożył ją pośpiesznie i wsunął pod poduszkę, tak żeby zasłonić nagłówki.

Oczywiście z miejsca się domyśliła, co próbuje przed nią ukryć. Pamiętała, że wczoraj, kiedy pakowała gazetę do torby podróżnej, zwróciła uwagę na tytuł artykułu na pierwszej stronie. O tym, że Jake Ingram ma pomagać FBI w rozwiązaniu sprawy kradzieży w Banku Światowym. Ten sam Jake Ingram, którego - jeśli hipoteza Zacha była słuszna - Smithowie w ich mniemaniu przetrzymują u siebie na wsi.

Maisy liczyła na to, że tu, z dala od cywilizacji,

Bob nie ma dostępu do świeższych informacji. I pewnie się nie myliła. Przypuszczalnie Agnes z Oliverem kazali wynieść z domu radio i telewizor oraz zabronili kupowania gazet, aby Maisy nie połapała się, co jest grane. Bardzo dobrze, pomyślała. Broń bywa obosieczna. Bez dostępu do prasy i telewizji Smithowie nie wiedzą, że

schwytali nie tego brata. Prawdę poznają dopiero wtedy, kiedy ona uzna to za stosowne, i ani chwili wcześniej.

- Miło cię znów widzieć - powiedział Bob. Wstał z kanapy i uśmiechnął się przyjaźnie. - Postanowiłaś sobie zrobić przerwę? Mogę posiedzieć z Jakiem, jeśli...

- Nie trzeba. Śpi jak zabity. A ja przyszłam tylko po kawę.

Skierował się za nią do kuchni.

- Strasznie mi przykro z powodu twojej rany.

- E, zagoi się. Zresztą sama też nie jestem bez winy. Przecież wiedziałam, że pies jest uwiązany przed domem, więc powinnam była uważać.

- Już nie musisz. Przywiązałem Rufusa za stodołę, tak jak prosiłaś.

- Świetnie. Dziękuję.

- Jak ci idzie z Jakiem? Widać postępy? Westchnąwszy ciężko, Maisy usiadła przy stole.

- Niestety, wciąż majaczy. Środek, którym go faszcerowano w tej sekcji, musiał być piekielnie silny.

- Tego się obawiałem. - Bob wziął od Maisy pusty kubek, nalał jej kawy, po czym również usiadł. - Sądysz, że kiedykolwiek odzyska pamięć?

- Na sto procent. Nie ma wątpliwości. Zmrużywszy oczy, przyjrzał się jej badawczo.

- Skąd ta pewność? Czyżby zaczął sobie coś przypominać?

Przeszył ją dreszcz. Smithom bardzo zależało na pamięci Jake'a Ingrama. Ale dlaczego?

- Jeszcze nie - odparła, starannie dobierając słowa. - Ale czuję, że mur, który wokół siebie zbudował, zaczyna kruszeć. Jestem przekonana, że prędzej czy później zdołam go całkiem zburzyć; dopiero wtedy normalna rozmowa z Jakiem stanie się możliwa.

- Nie umiesz powiedzieć, ile to potrwa?

A zatem, pomyślała, czas odgrywa znaczącą rolę. W odpowiedzi pokręciła przecząco głową.

- Muszę jechać do miasta, Bob. Do najbliższego sklepu - wyjaśniła, na oczekaniu wymyślając plan działania. Oczywiście dobrze wiedziała, że Bob nie pozwoli jej opuścić rancza. - Potrzebuję kilku rzeczy. Takich, które mogą pobudzić pamięć Jake'a.

- Zgubisz się. Droga jest kręta, pełna rozwidleń, a kierunkowskazów nigdzie nie uświadczysz.

Spodziewała się takiej reakcji, mimo to skrzywiła się zawiedziona.

- Psiakość, pewnie masz rację.

- Na pewno.

- To może sporządziłabym listę rzeczy, a ty byś je kupił? -

Skierowała na niego ufne spojrzenie.

Uśmiechnął się, zadowolony z siebie, że znów udało mu się ją przechytrzyć.

- Jasne - odparł. - A co potrzebujesz?

- No, choćby ubranie. Jake od razu poczuje się lepiej, jak go ubierzemy. Nie ma tu jakichś jego starych ciuchów?

- Niestety. Matka wszystko oddała biednym. Dlatego ten pokój na górze jest taki pusty i bezosobowy.

- Hm, a pamiętasz, jak był kiedyś urządzone? Co wisiało na ścianach? Jakie książki stały na półkach? Jaki rodzaj muzyki Jake lubił słuchać?

Mina Boba wyraźnie świadczyła o tym, że nie ma najmniejszego pojęcia.

- No pewnie. Przecież byliśmy sobie bliscy jak bracia.

Zauważyła, że nie wymienił tytułu ani jednej książki czy płyty. Nic dziwnego, skąd miał znać upodobania Zacha? Nie skomentowała tego jednak. Zależało jej, aby pojechał po zakupy i zostawił ją samą.

- Dobrze. A więc chciałabym otoczyć Jake'a rzeczami, które mogą pobudzić jego pamięć. Ulubionymi przysmakami, znajomym zapachem, ulubioną muzyką, książkami. Tego typu bodźce działające na podświadomość pozwolą mi szybciej do niego dotrzeć.

Nie kłamała. Umieszczenie pacjenta w znajomym środowisku było częścią stosowanej przez nią depro-gramacji. Do tego dochodziła wielogodzinna psychoterapia oraz troskliwa opieka.

- Powoli czynimy postępy. Na razie jeszcze tego nie widać, ale ja to instynktownie wyczuwam.

Bob przygryzł dolną wargę.

- I myślisz, że książki i zapachy pomogą?

- Jestem jednym z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie, Bob. Znam się na tym, co robię. I twoja matka to wie. Dlatego mnie wynajęła.

Wstała od stołu i biorąc kubek, ruszyła na górę. Niech drań przemyśli sobie to, co mu powiedziała.

Gdy tylko Maisy znalazła się poza zasięgiem słuchu, Bob wybiegł do stodoły. Agnes uparła się, że nie wolno mu korzystać z telefonu w domu. Doktor Dalton - powiedziała - jest na tyle bystra, że w sposób niezauważony podsłucha rozmowę, a on jest na tyle głupi, że będzie gadał, co mu ślina na język przyniesie.

Nie lubił Agnes. Za Oliverem też nie przepadał, ale z innego powodu. Oliver był słabeuszem; gdyby nie Agnes, która trzymała go w ryzach i ciągle nim dyrygowała, facet dawno by skapcaniał. Z dwojga złego chyba wołał Agnes; przynajmniej wiedziała, czego chce i gotowa była po trupach dążyć do celu.

Ale nie narzekał; płacili mu całkiem dobrze za to, żeby wykonywał polecenia i nie zadawał pytań. Nie zamierzał więc niczego kwestionować. Miał dwa przykazania. Pierwsze: lekarce i pacjentowi nie wolno nigdzie wyjechać. Gdyby próbowali, ma im przeszkodzić. W ostateczności - ale tylko w ostateczności - może uciec się do zabójstwa. Po prostu za wszelką cenę ma ich zatrzymać na terenie rancza. Wieczorne zastrzyki pozbawiały Jake'a sił, wprowadzały mu zamęt w głowie; Agnes liczyła, że dzięki nim uzyska informacje, na których tak bardzo jej zależy. Drugie przykazanie: on, Bob, ma zadzwonić do Agnes, gdy tylko Jake odzyska pamięć. Nie wiedział,



co dalej będzie z przetrzymywaną na ranczu parą, ale nietrudno było odgadnąć. Oczywiście nie obchodził go ich los, lecz pieniądze, które miał dostać za wykonaną pracę.

Tymczasem jednak nie potrafił sam podjąć decyzji. Wszedłszy do stodoły, otworzył drzwiczki zawieszanej na ścianie szarej metalowej skrzynki i wykręcił numer, pod który Agnes kazała mu dzwonić w razie jakichkolwiek problemów.

Kiedy na korytarzu rozległy się kroki, Zach natychmiast opadł na poduszkę, a Maisy odstawiła dzbanek z wodą - zmuszała go, by pił jak najwięcej, żeby wypłukać z organizmu środki, którymi go zatruwano - chwyciła książeczkę z dziecięcymi rymowankami, otworzyła byle gdzie i zaczęła czytać:

- „Mały zajaczek wesoło kica, a jakie ma wielkie, lśniące lica”.

Przerwała, udając zaskoczoną, kiedy Bob zajrzał do pokoju, po czym rozciągnęła wargi w najserdeczniejszym uśmiechu, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Twoja mama miała rację. Widać, że Jake lubi te wierszyki i że słucha z zainteresowaniem. Myślę, że wkrótce zacznie reagować.

W uśmiechu i spojrzeniu Boba było coś lubieżnego. Ciarki przebiegły jej po plecach. Z drugiej strony, pomyślała, może to i dobrze, że wzbudza w nim pożądanie. Mogłaby to wykorzystać do własnych celów.

- Świetnie. Słuchaj, jadę do sklepu po te rzeczy, o które prosiłaś.

Zerknął na Zacha. Maisy również. Ten leżał z policzkiem przytkniętym do poduszki i lekko rozchylonymi wargami, tępym wzrokiem wpatrując się w jakiś punkt na ścianie.

- Poradzisz sobie z nim? - spytał olbrzym.

- Tak, dałam mu łagodny środek uspokajający - odparła. -

Wybrałeś idealny moment na jazdę do miasta. Jake ocknie się dopiero za kilka godzin.

- No to w porządku. - Wyszczерzył zęby do Zacha. - Hej, stary, jak się czujesz? Mama mówiła, że we wszystkich waszych sypialniach unosił się zapach fiołków. Że miałeś fioletowego misia, z którym zawsze spałeś. I że lubiłeś słuchać Mozarta. - Przeniósł spojrzenie na Maisy. - Dasz wiarę? Dzieciak, który lubi muzykę poważną? Tego jednego akurat w ogóle nie pamiętam. Ale nic dziwnego, w końcu tyle lat minęło. - Na moment zamilkł. - Myślę, że bez trudu znajdę jakieś rzeczy, które będą mu się kojarzyły z dzieciństwem.

Maisy pokiwała głową z aprobatą.

- Doskonale. A za dzień czy dwa zobaczymy znaczną poprawę. Jestem tego pewna.

- Dobra. Wrócę najdalej za godzinę.

- Nie spiesz się.

Odwróciwszy się, Bob zbiegł po schodach. Maisy bez słowa wpatrywała się w okno, czekając, aż blondyn wsiądzie do starego pikapa i odjedzie.

- Słyszałeś, co powiedział? - zwróciła się do Zacha. - Że we wszystkich waszych sypialniach pachniało fiołkami. Jakbyście mieli dużo rodzeństwa.

Zach skrzywił się.

- Bez sensu.

- Było was tylko dwóch, tak? Powiedz mi, Zach, pamiętasz coś z waszego dzieciństwa?

- Jake... adoptowany... dwanaście lat. Zamrugła.

- Jake był adoptowany w wieku dwunastu lat? Potwierdził skinieniem głowy.

Hm, to zmienia postać rzeczy. Na wszelki wypadek Maisy ponownie wyjrzała na zewnątrz.

- Dobra, pojechał. Słuchaj, zejdę na dół do telefonu i wezwę pomoc. Potem trochę pomyszkuję. Chcę sprawdzić, czym cię szpikują i gdzie trzymają te leki. - Przyniosła dzbanek z wodą na skraj stolika.

- Jak się czujesz? Nie zaśniesz?

Pokręcił głową.

- Więc zostawiam cię na straży. Jak tylko zobaczysz pikapa wjeżdżającego na podjazd, zepchnij dzbanek na podłogę. Tak, żebym słyszała głośny huk.

Uniósł do góry kciuk.

- Jesteś... nie...niesamowita.

- Ty też.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Maisy oderwała wzrok od Zacha i wyszła, zostawiając drzwi szeroko otwarte.

Najpierw udała się do telefonu w kuchni, ale kiedy podniosła słuchawkę, nie usłyszała sygnału.

- Mogłam się tego spodziewać - mruknęła, odwieszając słuchawkę. Zamknęła oczy. - Boże, Zach ma rację. Jesteśmy tu więźniami.

Biorąc się w garść, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Pies leżał na ziemi pomiędzy gankiem a samochodem, w dodatku nie był przywiązany do łańcucha. Pięknie, pomyślała. Tego też się mogła spodziewać.

Wygląda na to, że drogę ucieczki mają odcięta.

Zaczęła przeszukiwać dom - i przeżyła kolejny szok. Salon i kuchnia sprawiały wrażenie zamieszkanych, ale pozostałe pokoje były obskurne, zakurzone, jakby od dwudziestu lat nikt do nich nie zaglądał. Obłazące tapety, popękany tynk, zwisające pajęczyny. Nagle uświadomiła sobie, że używane pomieszczenia, czyli kuchnia, sypialnia Jake'a czy pokój gościnny są świeżo odnowione. Zapach farby nadal unosi się w powietrzu. Zasłony w oknach nie mają ani jednej zmarszczki. Dywan pachnie nowością, podobnie jak kanapa.

Poczuła się jak na planie filmowym. W normalnym domu widać plamę na stoliku albo odcisnięty ślad po kubku, rzuconą w kąt gazetę, książkę leżącą do góry grzbietem. A tu nic, żadnych oznak prawdziwego życia.

Zajrzała do każdego pokoju, do każdej szafki i szuflady. Zdziwiły ją brudne ściany w przylegającej do jadalni łazience, bo wszystkie urządzenia sanitarne - kabina prysznicowa, sedes,

umywalka, krany - były świeżo zamontowane. Weszła do środka, nie zważając na skrzypiącą podłogę. Kiedy ugryzł ją pies, właśnie tu Bob przyszedł po środki opatrunkowe.

Sprawdziła dokładnie całe pomieszczenie; była pewna, że znajdzie lek czy narkotyk, który wstrzykiwali biednemu Zachowi. Niestety, nic nie znalazła.

Po przeszukaniu wszystkich pokoi wróciła zawiedziona do salonu i wzdychając ciężko, usiadła na kanapie. Gdzie, do diabła, sypia Bob? I gdzie sypiają Smithowie, kiedy są na ranchu? Przecież reszta pokoi jest wyraźnie nieużywana.

Wierciła się na kanapie, usiłując rozwiązać ten problem, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że coś ją uwiera w pupę. Znieruchomiała. Kanapa jest nowa, więc skąd to dziwne wybrzuszenie?

Poderwawszy się na nogi, zrzuciła poduszki na podłogę. Widząc, że kanapa rozkłada się na noc, odsunęła stolik, następnie pociągnęła za uchwyt. Jej oczom ukazał się przykryty prześcieradłem materac, dwa jaśki, koce, a na środku mały plastikowy pojemnik. Uniosła pokrywkę. Jej poszukiwania wreszcie zakończyły się sukcesem. Zobaczyła trzy szklane ampułki i stos szczelnie opakowanych jednorazowych igieł. Podniosła ampułkę i przeczytała zamieszczony na niej napis.

*Sodium pentotal*, czyli tak zwane serum prawdy. Rany boskie! Miała nadzieję, że nie uszkodzili Zachowi mózgu!

Ściągnęła celofanowe opakowanie z igły, modląc się, aby Smithowie nie wiedzieli, ile ich dokładnie jest, i wzięła się do pracy.

Potrzebowała kilku minut spokoju. Oby tylko Bob nie pojawił się zniienacka.

Szybko uwinął się z zakupami.

Zach wyciągnął rękę, by strącić dzbanek na podłogę, kiedy nagle usłyszał, jak kobieta wchodzi po schodach. Po chwili ukazała się w drzwiach.

Ależ jest piękna! Teraz, kiedy zaczęło mu się przejaśniać w głowie, co niewątpliwie było zasługą niezatrutego jedzenia i nieskażonej wody, wciąż wyglądała jak anioł. Nie, już nie słyszał cichutkiego trzepotu skrzydeł, ale nadal czuł emanującą od niej dobroć. Zawsze lubił brunetki o dużych piwnych oczach, a Maisy Dalton miała największe, najśliczniejsze i najbardziej piwne oczy, jakie kiedykolwiek widział.

- Wrócił - szepnął, gdy zamknęła za sobą drzwi. Skrzywiwszy się, wyjrzała za okno.

- Nie szkodzi. Telefon nie działa, nie mogłam więc nigdzie zadzwonić, ale znalazłam leki, którymi...

Frontowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

- Halo! Pani doktor! Wystawiła głowę na korytarz.

- Tu jestem, Bob! - zawołała, po czym zwracając się do Zacha, szepnęła: - Później ci wszystko wyjaśnię, a na razie rób, co każę.

Na schodach rozległ się głośny tupot nóg; chwilę potem Bob wkroczył do pokoju, niosąc dwie papierowe torby z zakupami. W tym ułamku sekundy, zanim spojrzał na nią lub na Zacha, Maisy dała Zachowi znak, aby zamknął oczy.

Posłusznie wykonał polecenie.

- No i jak? - spytał blondyn.

- W porządku. Nadal śpi.

- To dobrze. Kupiłem rzeczy, o które prosiłaś. - Wsunął rękę to torby. Papier zaszeleścił.— O, na przykład taki pojemniczek.

Sprzedawczyni powiedziała, że na dnie stawia się zapaloną świeczkę, do górnej części wlewa się wodę i kilka kropli olejku fiołkowego.

Można też wrzucić płatki, ale akurat ich nie miała. - Kolejny szelest. -

Proszę, tu są świece. A tu mały odtwarzacz płyt kompaktowych.

Jeden Mozart, drugi Mozart... - Torba znów zaszeleściła. - I jeszcze to...

- Ojej!

Słyszając zachwyt w głosie kobiety, Zach nie wytrzymał. Uniósł powiekę, tylko odrobinę.

Maisy wzięła od Boba małego pluszowego misia o lśniących brązowych ślepiach.

- Boże, jaki słodki! - powiedziała, tuląc do siebie pluszaka, jakby to było niemowlę.

- Niestety, nie mieli fioletowych.

- Świetnie się spisałeś, Bob. Jestem pewna, że te drobiazgi pomogą. Kiedy w końcu uda mi się go do-budzić...

Spojrzał w kierunku Zacha, który natychmiast zamknął ponownie oczy.

- Nie zjadłabyś lunchu? Na pewno jesteś głodna.

- Jak wilk - odparła. - Wiesz, dziwię się, że nie dzwonił z laboratorium. Strasznie jestem ciekawa tych wyników.

- Ja też.

Zach poczuł przy twarzy coś niesamowicie miękkiego; uświadomił sobie, że Maisy położyła mu na poduszce pluszowego misia. Uniósłszy leciutko powiekę, patrzył, jak Maisy ustawia na podłodze odtwarzacz, podłącza go do kontaktu, wsuwa płytę i reguluje dźwięk, aby muzyka nie była za głośna. Następnie wlała wodę do pojemniczka.

- Lepiej nie zapalaj świeczki, kiedy jest sam w pokoju - powiedział Bob.

- Słusznie. Jakiś ty mądry, Bob. - Dodała do wody parę kropli olejku.

I bez palącej się świeczki po pokoju rozszedł się zapach fiołków. Słodki, lecz silny. Taki jak ona, Maisy, pomyślał Zach. Darzył ją coraz większą sympatią. I nie podobało mu się, że ten potężnie zbudowany, jasnowłosy kretyn łypie na nią pożądlivym wzrokiem.

- No dobrze, to chodźmy coś zjeść. Otworzyła drzwi i stanęła w progu, czekając, aby

Bob wyszedł. Nie zamierzała pozwolić, aby olbrzym choć przez chwilę został z nim sam w pokoju. Mój Boże, zdumiał się Zach, ona mnie chroni!

Był nowoczesnym, wykształconym człowiekiem o liberalnych poglądach, a jednak przeszkadzała mu świadomość, że piękna, drobna kobieta ma go bronić przed niebezpiecznym przestępcą. Nigdy nie



zaliczał się do mężczyzn, o których można powiedzieć: prawdziwy bohater. Przeciwnie, był mołem książkowym. Cechy bohatera miał raczej Jake, który był wysportowany, odważny, towarzyski.

W każdym razie nie dość, że sam uważał się za ofermę, to teraz jeszcze zdany był na pomoc kobiety. Nie miał pewności, czy jego ego wyjdzie z tej przygody w nienaruszonym stanie. Raczej jest to wątpliwe. Natomiast miał absolutną pewność, że bez Maisy sobie nie poradzi. Że nigdy się stąd nie wydostanie. No cóż, później będzie leczył swoją dumę, kiedy trucizna, którą pakują mu do wody, jedzenia i żył przestanie działać, a on sam odzyska wolność.

Zastanawiał się, jak beznadziejnie musi wyglądać w oczach Maisy Dalton. Patrząc na niego, musiała widzieć słabeusza, niezgułę, żałosnego nieboraka.

Nie chciał, żeby go tak postrzegala. Chciał uchodzić w jej oczach za bohatera, być męski, silny, przebojowy. Chciał uratować ich oboje. I chciał, aby ona czuła do niego to samo, co on do niej.

To, że w takiej chwili myśli o tego typu sprawach, uzmysłowiło mu, że sytuacja jest poważna. Jeszcze nigdy żadna kobieta tak na niego nie działała. I na pewno nie była to kwestia leków czy środków odurzających.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jake Ingram odsunął się z fotelem od biurka i potarł oczy. Cały dzień wpatrywał się w ekrany komputerów, usiłując prześledzić, któredy mogły wyciec miliardy dolarów skradzionych z Banku Światowego. Złodziejem był fachowiec, prawdziwy geniusz komputerowy, z jakim jeszcze nigdy w życiu się nie zetknął.

To go niepokoiło. Zresztą nie tylko jego; niepokoiło większość ludzi na całym świecie. Bo jeżeli ktoś potrafi złamać najnowocześniejsze i najlepsze zabezpieczenia chroniące komputery Banku Światowego, to żadna instytucja, żadna firma nie może czuć się pewnie.

Ludzi ogarniał coraz większy strach, a przecież jeszcze wszystkiego nie wiedzą. Potencjalne reperkusje tego czynu są trudne do wyobrażenia.

Najbardziej przerażająca była świadomość, że ten sam geniusz może narobić szkód w komputerach kontrolerów lotów, w wojsku, w rządzie. Teoretycznie, za pomocą niewinnie wyglądającej myszki, mógłby rozpętać trzecią wojnę światową.

Jake wstał z fotela i zaczął przemierzać gabinet. Przed oczami migotały mu dziesiątki kropek. Miał przemęczony wzrok, nie po raz pierwszy w życiu.

Po chwili wrócił do biurka i wykręcił numer brata.

Od kilku dni dzwonił do Zacha, ale jakoś nie mógł go zastać. Zamierzał spróbować z samego rana, ale tak się wciągnął w pracę, że całkiem zapomniał o telefonie.

Potrzebował kogoś, kto spojrzałby na wszystko trzeźwym, neutralnym wzrokiem. Oczywiście o swojej pracy nie rozmawiał z innymi, ale do Zacha miał bezgraniczne zaufanie. Chociaż on, Jake, był adoptowanym dzieckiem, Zach nigdy nie dał mu tego odczuć; od pierwszej minuty traktował go jak brata. Była jeszcze jedna sprawa, o której chciał z Zachem porozmawiać. Od paru dni miewał dziwne sny. Pewnie były wynikiem przepracowania i stresu związanego z tropieniem złodzieja. Albo miały związek z tajemniczym listem, którego anonimowy nadawca informował go o tym, że jego życie to jedno wielkie kłamstwo.

Jake westchnął. Nie pamiętał nic z czasów poprzedzających adopcję. Wszystkie jego wspomnienia zaczynały się od chwili, gdy wszedł do rodziny Ingramów. Jednakże w głębi duszy czuł, że sny nie mają nic wspólnego ani ze stresem, ani z listem, lecz z zapomnianą przeszłością. Wiele by dał, aby móc je rozszyfrować.

Z tego, co mówili mu rodzice adopcyjni, był jedynakiem. Stracił pamięć na skutek szoku, kiedy jego biologiczni rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Wkrótce potem trafił pod opiekuńcze skrzydła państwa Ingram.

Ale ze snów wyłaniał się całkiem inny obraz. Widział siebie w pokoju z innymi dziećmi, kiedy jednak rano się budził, nie potrafił powiedzieć, ile ich było. Widział w snach twarze tych dzieci, słyszał ich śmiech. Czasem po przebudzeniu miał ich imiona na końcu języka. W snach pojawiały się zabawki, którymi nie mógł się bawić w dzieciństwie, bo wtedy, przed laty, te zabawki jeszcze nie istniały.

Małe komputerki dla dzieci, książeczki, które same czytały się na głos, kiedy dotykało się wydrukowanych słów, gry elektroniczne, znacznie bardziej zaawansowane od dzisiejszych. Widział w snach potężnie zbudowanego mężczyznę, który zawsze się z nimi bawił, oraz piękną, łagodną kobietę, która pachniała kwiatami. Któregoś dnia wstąpił do perfumerii i kolejno wąchał różne flakoniki, aż wreszcie znalazł aromat ze snu. Był to zapach fiołków.

Fiołkami pachniał też tajemniczy Ust, który niedawno ktoś mu podrzucił pod drzwi.

Tak, musi zobaczyć się z bratem. Z Zachem.

Telefon zadzwonił po raz piąty, szósty, siódmy. Wreszcie nagrany na sekretarkę głos poprosił o pozostawienie wiadomości. Rozległa się seria krótkich dzwonek, z których każdy oznaczał jedną nagraną wiadomość. Jake zaniepokoił się nie na żarty. Zaczął się zastanawiać, dlaczego Zach nie oddzwonił. Co się dzieje? Kiedy uświadomił sobie, że nie rozmawiał z bratem od co najmniej czterech dni, wpadł w panikę.

Cholera jasna! Cisnął słuchawkę na widełki, chwycił płaszcz i kluczyki, wyłączył komputer i czym prędzej ruszył do samochodu. To nie leżało w naturze brata, żeby dzień po dniu ignorować nagrane prośby o telefon. Musiało się wydarzyć coś złego.

Psiakrew! Dlaczego wcześniej na to nie wpadł?

Spał głęboko; nagle z walącym sercem ocknął się ze snu. Ale nikt obok niego nie stał, a w pokoju panował mrok.

- Maisy? Pani doktor?

Usiadł na łóżku. Czuł się znacznie silniejszy niż wcześniej. Może jeszcze nie odzyskał dawnej formy, ale powoli się do niej zbliżał. Zabiegi Maisy, która pilnowała, aby mu nie dano kolejnej porcji leków odurzających, przynosiły wymierny skutek. Miał nadzieję, że może jutro zdoła o własnych siłach wstać z łóżka i pomóc w obmyśleniu ucieczki z tego więzienia.

Wtem usłyszał szum leżącej wody. A jednak nie jest jeszcze całkiem zdrowy, gdyż zarejestrowałby ten dźwięk zaraz po przebudzeniu.

Przez otwarte drzwi łazienki wpadało trochę światła. Ktoś brał prysznic. Zmarszczywszy czoło, Zach rzucił z siebie koc,

- Maisy, jesteś tam?

Nie podnosił głosu. Nie chciał, aby Bob się zorientował, że człowiek, którego podtruwał dzień po dniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę, jest przytomny i zaczyna kojarzyć. Bał się nocnej wizyty Boba, bo to, że Bob go odwiedzi, nie ulegało wątpliwości. Przychodził każdej nocy.

Spuścił nogi na podłogę i po chwili zwiększył na nie nacisk. Ponieważ nie ugięły się pod nim, spróbował ostrożnie wstać. Natychmiast zakręciło mu się w głowie. Gdyby nie trzymał się mocno łóżka, runąłby jak długi. Zamknął oczy, wziął głęboki wdech i czekał, aż zawroty miną. Po kilkunastu sekundach ustąpiły.

Odważył się wykonać krok. Jeden, drugi. Chwiejąc się i zataczając, ruszył wolno przez pokój. Był zziębnięty, kiedy doszedł do drzwi łazienki. Przytrzymując się framugi, by nie upaść, zwiesił głowę

i próbował złapać oddech. Krew dudniła mu w skroniach. Chryste, ależ jest słaby!

Kiedy w końcu już normalnie wciągał w płuca powietrze, uniósł głowę i spojrzał w stronę kabiny prysznicowej. Poprzez matową szybę widział niewyraźny zarys kobiecej sylwetki.

Z trudem przełknął ślinę. Przez moment nie mógł oderwać wzroku od kąpiącej się postaci. Wreszcie spuścił oczy. Porusza się, a zatem jest cała i zdrowa. To najważniejsze: nic więcej go nie obchodziło. Odwrócił się i wolnym krokiem zaczął człapać z powrotem do łóżka. Był w połowie drogi, na środku pokoju, kiedy nagle kolana się pod nim ugięły i, wyzuty z energii, osunął się bezgłośnie na podłogę. Leżał, zastanawiając się, dlaczego już nie słychać szumu wody.

Przetoczywszy się na wznak, zobaczył Maisy wybiegającą z łazienki.

- Zach!

Była przy nim dosłownie sekundę po tym, jak zwałił się na podłogę. Z jej włosów kapały mu na twarz krople wody. Przyglądał się jej w świetle dochodzącym z łazienki. Miała na sobie cienki szlafrok, który - włożony na mokre ciało - przylegał do niej niczym druga skóra. Był to ten sam szlafrok, w którym została pogryziona przez psa; rozerwanego rękawa nie zszyła, ale plamy krwi znikły - musiała je wcześniej sprać.

- Zach?

Uświadomił sobie, że oczy ma utkwione w jej dekolcie. I że nie uchodzi to za kulturalne zachowanie. Ale, co odnotował z niemałą satysfakcją, przynajmniej pewne części jego ciała znów zaczynają normalnie funkcjonować. Dzięki Bogu. To byłaby katastrofa, gdyby widok tak ponętnej sylwetki nie wzbudził w nim najmniejszego zainteresowania.

Siłą woli przeniósł spojrzenie z piersi kobiety na twarz. Krople wody lśniły jej na policzkach, zwisały z rzęs. Włosy, długie, kręcone i bardzo mokre, opadały luźno na ramiona.

- Co robisz? Dlaczego wstałeś z łóżka?

- Chciałem sprawdzić, gdzie jesteś. Trochę się niepokoiłem.

Uśmiechnęła się. Domyślił się, co ją rozbawiło. Gdyby znalazła się w tarapatach, kto jak kto, ale on nie zdołałby jej pomóc.

- Już nie dukasz - rzekła. - Mówisz wyraźnie, pełnymi zdaniami.

- Naprawdę?

Skinęła głową, po czym stanęła nad nim okrakiem i wsunęła mu rękę pod pachy.

- Pomogę ci wstać.

Pociągnęła, a on usiadł, ale dalej nie był w stanie się ruszyć. Niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w jej usta, które dzieliła tak niewielka odległość od jego ust. Miał straszną ochotę sprawdzić ich smak, jędrność.

Przestała ciągnąć i zdziwiona napotkała jego wzrok. Po chwili zdziwienie znikło; wiedziała, o czym Zach myśli.



Jego ręka powędrowała wolno do góry i spoczęła na szyi kobiety. Maisy puściła go i pośpiesznie się wyprostowała.

- Gdybyś chciał - powiedziała, udając, że nic się nie stało - to właściwie mógłbyś się wykapać.

Skrzywiwszy się, odruchowo przytknął dłoń do brody, na której wyczuł znacznie bujniejszy zarost, niż kiedykolwiek dotąd nosił.

- Może by się przydało. Pewnie wyglądam jak dziad. I pewnie śmierdzą, co?

- Ależ nie! Dlaczego uważasz, że... No tak. - Pokiwała głową. - Jesteś moim pacjentem, Zach. A ja twoim lekarzem. Wprawdzie sytuacja, w jakiej się znajdujemy, odbiega od normy, ale nadal obowiązują mnie pewne zasady. Rozumiesz?

- Nie. O jakich zasadach mówisz?

- O takich, że jako lekarz nie powinnam zwracać uwagi na to, czy albo jak pachniesz.

- Aha! Więc dlatego nie dałaś mi się przed chwilą pocałować? Nie dlatego, że cuchnę jak przegniły owoc, ale z powodu jakiegoś kodeksu etyki lekarskiej?

- Owszem.

- A więc nie śmierdzą?

Widząc kpiący uśmiech na jego twarzy i wesołe iskierki w oczach, z miejsca się odprężyła.

- Ty się rzeczywiście lepiej czujesz, prawda? - spytała.

- O niebo lepiej. Wciąż jestem przerażająco słaby, ale w głowie prawie całkiem mi się przejaśniło.



- To wspaniale. Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

- Ja też. - Uśmiech znikł mu z ust. - Ale długo to nie potrwa - dodał ponuro. - Kochany Bob znów zjawi się wieczorem z kolejną porcją tego świństwa, którym mnie szprycuje.

Przekręciwszy się w bok, przytrzymał się łóżka i podciągnął na kolana. Maisy pośpieszyła mu z pomocą, ale ruchem ręki dał jej znać, że chce to zrobić sam. Z trudem dźwignął się na nogi, po czym, zziębnięty jak po długim biegu, usiadł na brzegu materaca.

Maisy stała obok, gotowa go złapać, gdyby miał się osunąć.

- *Sodium pentotal* - oznajmiła cicho.

Dyszając ciężko, popatrzył na nią z pytaniem w oczach.

- Co?

- *Sodium pentotal*. Potocznie zwany serum prawdy. Właśnie tym cię Bob szprycuje. Najwyraźniej Smithowie sądzą, że wiesz coś, czego nie chcesz im zdradzić. Lub czego nie potrafisz sobie przypomnieć.

- To by pasowało. Po zrobieniu zastrzyku Bob przystępuje do zadawania pytań. Wcześniej przesłuchania urządziła Agnes.

- O co pytają? Zmarszczył czoło.

- Hm... nie pamiętam. Wiem tylko, że zawsze zadają te same pytania. Do znudzenia. Agnes czytała mi też jakieś głupie dziecięce rymowanki. - Wzruszył ramionami. - Kojarzę tylko fragmenty. Strzępy. Coś o Meduzie, coś o Superpiątce, zawsze jest mowa o braciach i siostrach. - Zwiesił głowę. - To wszystko, nic więcej nie pamiętam.

Stała zamyślona, w wilgotnym szlafroku, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Chociaż patrzył na własne kolana, wyobraźnia podpowiadała mu, że pod szlafrokiem Maisy jest naga. Zastanawiał się, co by było, gdyby parę minut temu, kiedy siedział na podłodze, pozwoliła mu się pocałować. Pewnie nic by nie było. Pewnie nie miałyby siły na cokolwiek więcej. Ale przynajmniej mógł sobie pomarzyć.

- Zach, Smithowie powiedzieli mi, że straciłeś pamięć. Że przed wieloma laty wstąpiłeś do jakiejś sekty, że mieszkałeś ze swoimi współwyznawcami na zamkniętym terenie, że poddano cię indoktrynacji.

- Nieprawda. Wykładam ekonomię na uniwersytecie Greenlaurel. Po skończonych zajęciach poszedłem na parking i wsiadłem do samochodu, kiedy nagle jakiś pojazd zatrzymał się za mną, blokując mi wyjazd. Za kierownicą siedziała Agnes, która grała rolę bezradnej starszej pani. Poprosiła mnie o pomoc, a kiedy podszedłem bliżej, poczciwy kuzynek Bob zrobił mi zastrzyk w udo, po czym wepchnął na tylne siedzenie. Kiedy oprzytomniałem, byłem już tutaj.

Wziął kilka głębokich oddechów. Był wściekły, że nawet tak niewyczerpująca czynność jak siedzenie i mówienie sprawia mu tyle kłopotów.

- Nie wolisz się położyć? - spytała Maisy, kładąc dłonie na jego ramionach.

- Już mi bokiem wyłazi leżenie.

- Dobrze. Jak chcesz. Napotkał jej oczy.

- Przepraszam - powiedział, gładząc ją lekko po policzku. -

Jesteś moim wybawieniem. Moim aniołem. Nie powinienem na ciebie warczeć.

- Jesteś sfrustrowany.

- I to jak! Ale mniejsza z tym. Jak twoja rana? Skrzywiła się.

- W porządku. Słuchaj, Smithowie biorą cię za Jake'a. Ty twierdzisz, że Jake to twój brat...

- Owszem. Jesteśmy tak podobni, że ludzie, którzy nas nie znają, ciągle się mylą. Biorą jednego za drugiego...

- Właśnie tego nie rozumiem. - Na jej czole pojawiła się zmarszczka. - Mówiłeś, że Jake jest adoptowany.

- Owszem. I dziwnym zbiegiem okoliczności wyglądamy jak bliźniacy. Zresztą może dlatego moi starzy go zaadoptowali? Miał dwanaście lat, kiedy trafił do naszej rodziny. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym; biedak przeżył taki szok, że zapomniał wszystko, co się wcześniej działo. Najbardziej cierpiał z tego powodu, że nie pamiętał własnych rodziców. Strasznie mu współczuję.

Zmrużyła oczy.

- Poczekaj, poczekaj.

- Co takiego?

- Myślą, że jesteś Jakiem. Upierają się, że straciłeś pamięć...

Zach, może im chodzi o coś, co wydarzyło się w życiu Jake'a, kiedy był dzieckiem?

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tym, po czym pokręcił głową.

- Nie sądzę. Poza najbliższą rodziną nikt nie wie o jego amnezji. Nawet nie jestem pewien, czy mówił Tarze. Swojej narzeczonej - wyjaśnił, widząc zdziwione spojrzenie Maisy. - Raczej podejrzewam, że to musi mieć coś wspólnego z kradzieżą w Banku Światowym. Poproszono Jake'a o pomoc w rozwikłaniu sprawy.

- Tak, wiem. Tuż przed wyjazdem z domu wpadł mi w oczy tytuł artykułu w gazecie. Że FBI zwróciło się o pomoc do Jake'a Ingrama. Gazetę przywiozłam z sobą, ale kiedy zaczęłam jej szukać, okazało się, że znikła.

Zach uniósł brwi.

- Myślisz, że Bob ją zabrał? Że grzebał w twoich rzeczach?

- Albo on, albo jakiś duch.

Zach westchnął głośno i zwiesił głowę. Lubił towarzystwo tej kobiety, wolał być z nią niż sam, ale nie chciał jej narażać na niebezpieczeństwo. Oczywiście miło by było, gdyby to on mógł ją uratować, ale skoro to nie wchodzi w grę, powinna ratować się sama.

- Posłuchaj, Maisy. Nie ma powodu, żebyś tu dłużej tkwiła. Postaraj się stąd wydostać. Potem zawiadom policję, gdzie jestem.

- Przecież natychmiast by cię przewieźli w inne miejsce.

- Ale przynajmniej tobie by nic nie groziło.

- Nie, Zach. Nie zostawię cię samego, nie próbuj mnie namawiać. A zresztą nawet gdybym chciała wyjechać, to i tak bym nie mogła. Po pierwsze, bestia za drzwiami z miejsca by mnie

rozszarpała, a po drugie, czy nie mówiłaś, że Bob majstrował przy moim samochodzie?

- Owszem, mówiłem. Leżał pod nim, najpierw pod bagażnikiem, potem z przodu pod maską. Byłem dość zamroczony, ale wydawało mi się, że coś doczepia, tuż przy zbiorniku na benzynę.

Przeszył ją dreszcz. Potarła dłońmi ramiona. Zach wyjrzał przez okno.

- Mogłabyś pożyczyć jego pikapa.

- Nie bardzo. Nie rozstaje się z kluczami.

- Wcale mi się to nie podoba. - Na moment zamilkł. - Przeze mnie znalazłaś się w niebezpieczeństwie. A ponieważ ciągle podają mi środki odurzające, nie mógłbym ci pomóc, nawet gdybym... Boże, kiedy zobaczyłem, jak to psisko cię atakuje...

- Przestań. To nie jest twoja wina. A jeśli bestia znów mnie zaatakuje, tym razem na pewno zdołasz przyjść mi na ratunek. Żadnych środków odurzających nie musisz się już obawiać.

- Jak to? - zdziwił się.

- Mówiłam ci, że odkryłam tajny schowek Boba? Jedną ze strzykawek opróżniłam wszystkie ampułki, a następnie napełniłam je roztworem fizjologicznym. Sama go sporządziłam, więc na pewno ci nie zaszkodzi. Potem wszystko starannie odłożyłam na miejsce. Jestem przekonana, że Bob nie zauważy różnicy.

- Czyli kiedy przyjdzie w nocy i znów wbije mi igłę w żyłę...

- Masz reagować tak jak zawsze, zacząć jęczeć, mamrotać.

Musisz dobrze odegrać swoją rolę, Zach. Nic nam nie będzie groziło,

póki ty będziesz „odurzony”, a ja będę udawać, że wierzę w bajeczkę o sekcie. Powoli odzyskasz siły.

- A kiedy odzyskam? Co wtedy? - spytał.

- Nie wiem, tak daleko jeszcze nie wybiegam naprzód. - Jej spojrzenie było niczym najczulsza pieśczoła. - Wiem tylko jedno: bez ciebie się stąd nie ruszę. Albo uciekniemy razem, albo zostaniemy tu oboje.

Wyciągnąwszy dłoń, pogładził Maisy po włosach.

- Jesteś niezwykłą kobietą, pani doktor. Czy już ktoś ci to mówił?

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Tak, mój mąż. Stale mi to powtarzał.

Ręka na włosach znieruchomiała, a po chwili się cofnęła.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że...

- Zmarł trzy lata temu.

Zrobiło mu się żal kobiety, a jednocześnie poczuł wstyd: cieszył się, że Maisy nie ma męża.

- Jakim był człowiekiem? - spytał.

Pytanie zadane było impulsywnie, ale naprawdę bardzo chciał poznać odpowiedź.

- Był intelektualistą. Psychiatrą, jak ja, choć zajmował się dziedziną bardziej konserwatywną. Leczył pacjentów z zaburzeniami emocjonalnymi.

- A ty nie?

- Nie. Ja się specjalizuję w hipnozie, w utracie pamięci, w przeprogramowaniu umysłu, czyli niweczeniu szkód powstałych na skutek indoktrynacji.

Zaczęła porządkować rzeczy na stoliku nocnym. Obserwując ją, Zach miał wrażenie, że czuje się skrępowana, opowiadając o sobie. Kusy mokry szlafrok najwyraźniej jej nie przeszkadzał; przypuszczalnie nawet nie pamiętała - w przeciwieństwie do Zacha - że jest pod nim całkiem goła.

- Co mu się stało? Jak zginął? Zastygła bez ruchu.

- Nie chcę... wolałabym o tym nie mówić.

- Nawet ze mną?

Obróciła się wolno i popatrzyła mu w oczy.

- Mój mąż miał romans z jedną ze swoich pacjentek. Chciał go zakończyć. Podejrzewam, że ona nie mogła się z tym pogodzić. Któregoś dnia, gdy jechali jej samochodem, skręciła ostro kierownicą. Rozbili się w wąwozie, dwadzieścia pięć metrów niżej. Oboje zginęli na miejscu. Policja uznała, że to był wypadek, ja uważam, że to było samobójstwo połączone z morderstwem.

Opowieść nim wstrząsnęła, wzruszyły zaś łzy, które popłynęły Maisy po twarzy.

- Boże - szepnęła. - Przykro mi. Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo.

Pociągnęła nosem.

- Lekarze - ciągnęła - zwłaszcza psychiatrzy, nie powinni romansować z pacjentami. Jest to wysoce niemoralne, wiąże się z

nadużyciem zaufania, z wykorzystaniem własnej pozycji, w dodatku zawsze się źle kończy. Na ogół źle dla pacjenta, ale czasem również dla lekarza.

Wreszcie wszystko zrozumiał. Po pierwsze, faktycznie czuła się skrępowana, mówiąc o sobie. A po drugie... po drugie podobał się jej. Widział to w jej spojrzeniu, w dotyku. Dlatego dała mu wyraźnie do zrozumienia, że do niczego między nimi nie może dojść. I wytłumaczyła, dlaczego.

- Powinieneś się położyć - dodała. - Bob pewnie zjawi się lada chwila, a ja... - nagle zorientowała się, co ma na sobie - powinnam uczesać się i włożyć coś suchego.

Skierowała się do łazienki.

- Pani doktor?

- Tak? - spytała, nie odwracając się.

- Wiesz, że nie jestem tym, za kogo oni mnie uważają, prawda? Że nigdy nie byłem w żadnej sekcie, nie straciłem pamięci, nikt nie zrobił mi prania mózgu, nie poddano mnie żadnej indoktrynacji? Wierzysz mi, prawda?

Obejrzała się.

- Ależ oczywiście, Zach. Boże, czyżbyś wątpił? Przepraszam, myślałam, że wiesz. - Zawahała się. - Natomiast zdumiewa mnie co innego: że oni sądzili, że dam się nabrać na ich bajeczki.

Pokiwał wolno głową.

- Dobrze. Właściwie byłem ciebie pewien, ale wołałem spytać.



- Przyznam się, że z początku sama nie wiedziałam, co jest grane, ale kiedy znalazłam te ampułki... Nie martw się, Zach. Jestem doświadczonym lekarzem i potrafię rozpoznać, kto kłamie, a kto mówi prawdę. I nie ulega dla mnie wątpliwości, że kłamcą nie jesteś ty. Westchnął teatralnie.

- Uff, no to kamień spadł mi z serca - rzekł. -Czyli oboje wiemy, na czym stoimy. Ty nie jesteś moją lekarką, a ja nie jestem twoim pacjentem.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem, po czym rozchyliła usta, jakby zamierzała się sprzeciwić, ale zaraz je zamknęła i pośpiesznie weszła do łazienki, znikając mu z pola widzenia.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Zach Ingram mieszkał w bliźniaku z czerwonego piaskowca w pobliżu uniwersytetu. Jake zajechał pod dom brata i zadzwonił do drzwi, raz, drugi, trzeci, potem nacisnął klamkę. Dom był zamknięty na głucho. Na schodach leżały gazety z czterech dni, a do przymocowanej do ściany skrzynki na listy nie dało się już nic więcej wepchnąć.

Przeklinając pod nosem, Jake sięgnął po zapasowe klucze, które brat trzymał pod doniczką, otworzył nimi drzwi i wszedł do środka. Sprawdzał dokładnie cały dom. Zacha nigdzie nie znalazł, ale tego się spodziewał, skoro na podjeździe nie było jego samochodu. Zamknął z powrotem drzwi na klucz i postanowił upewnić się, czy Jake'a nie ma na uniwersytecie. Schowawszy klucz do kieszeni, ruszył pośpiesznie do swojego auta.

Zapaść już zmierzch, ale parking zawsze był dobrze oświetlony, poza tym Zach na ogół parkował w tym samym miejscu. I rzeczywiście, samochód stał tam gdzie zwykle. Silnik był zimny, wewnątrz nic podejrzanego nie rzucało się w oczy. Nagle Jake kopnął jakiś przedmiot, który zabrzączał cicho.

Spojrzał pod nogi. Tuż obok przedniego koła leżały kluczyki samochodowe umocowane do złotego kółka.

Kiedy je podniósł, zobaczył wygrawerowane na kółku inicjały Zacha. Złote kółko podarował bratu kilkanaście lat temu, kiedy ten zdał egzamin na prawo jazdy. Boże, jacy byli wtedy młodzi.

Z kieszeni na piersi wydobył telefon komórkowy i wykręcił numer agenta federalnego, z którym kontaktował się w sprawie kradzieży w Banku Światowym.

Mężczyzna odebrał po drugim dzwonku.

- Lennox, słucham.

- Coś się stało z moim bratem.

- Ingram? - upewnił się agent. - To pan? O czym pan mówi?

- Od kilku dni brat nie odbiera telefonu. Pojechałem dziś do niego. Przed domem leżą stosy gazet, w skrzynce na listy piętrzy się korespondencja. Jego samochód stoi na parkingu przed uniwersytetem. Kluczyki samochodowe znalazłem na ziemi, pod samochodem. Coś musiało mu się przydarzyć. Wiem to. Jeżeli chcecie, abym wam pomógł odnaleźć tę cholerną forszę, najpierw musicie mi pomóc odnaleźć brata.

- To ten, który wygląda jak pański bliźniak? Ten, który stoi obok pana na zdjęciu w pańskim gabinecie?

- Tak. Ma na imię Zach.

Z trudem przełknął ślinę. Na sam dźwięk imienia czuł ucisk w gardle. Zach był dla niego kimś więcej niż bratem. Był najlepszym przyjacielem.

- Spotkamy się w pańskim gabinecie za godzinę - powiedział Lennox.

Rozłączywszy się, Jake wrócił do samochodu.

Maisy za wszelką cenę postanowiła nie zasypiać; chciała obserwować wszystko, co się będzie działo w pokoju Zacha. Nie zamierzała pozwolić, aby Zachowi stała się jakakolwiek krzywda.

Nie miało to nic wspólnego z tym, że się jej podobał. Przynajmniej tak w siebie wmawiała. A podobał jej się niesamowicie. Ilekroć znajdowała się w tym samym pomieszczeniu co on, odnosiła wrażenie, że są połączeni jakąś niewidzialną liną, która z każdą chwilą robi się coraz krótsza. Była zła na siebie. Wiedziała, że nie powinna mieć takich odczuć w stosunku do nikogo, a już zwłaszcza do pacjenta.

Wprawdzie twierdził, że nie jest jej pacjentem, ale to nieprawda. Bo był. Przez wiele dni wstrzykiwano mu środki odurzające i halucynogenne. Wciąż miał kłopoty z percepcją, z logicznym myśleniem. Jej zadanie polegało na tym, aby oczyścić mu umysł, umożliwić normalne procesy myślowe. Nie miała prawa go wykorzystywać, aby zaspokoić własne popędy i pragnienia.

Popędy, o które się nawet nie podejrzewała. Dawno temu doszła do wniosku, że różni się od innych kobiet. Nie musiała widzieć zachwyty w męskich oczach, aby czuć się atrakcyjna i dowartościowana. Nie potrzebowała męskich pieszczot, nie tęskniła za pocałunkami, nie marzyła o tym, by otoczyły ją silne męskie ramiona. Nie pragnęła, aby ją ktoś kochał lub jej pożądał. Doskonale sobie bez tego radziła.

Jako doświadczony psychiatra wiedziała, skąd się bierze ta fala emocji, która raz po raz ją zalewa. Różnych emocji. Fizycznego

pociągu do Zacha; niesamowicie silnej potrzeby, aby go chronić; oraz koszmarnych wyrzutów sumienia. Tak, miała wyrzuty sumienia - z powodu dreszczy, jakie wywoływał w niej dźwięk jego głosu lub niewinny dotyk dłoni, i dlatego że będąc z nim, czuła coś, czego nigdy nie czuła do Michaela. Michael był jej intelektualnym partnerem, przyjacielem, mężem i kochankiem, ale nigdy nie pałała do niego dzikim pożądaniem. Nie zdarzało się, aby ogarnięci namiętnością zrywali z siebie ubranie. Nie, ich miłość była spokojna, bez uniesień, a seks przyjemny, lecz stonowany.

Czasem zastanawiała się, co takiego Michael ujrzał w Kelly Monroe, tej młodej dziewczynie z problemami emocjonalnymi, że zdecydował się złamać przysięgę małżeńską. Czy czuł do niej tak ogromny pociąg fizyczny, jaki ona, Maisy, poczuła do Zacha Ingrama? Chemiczne przyciąganie, zbyt silne, aby można je było zignorować?

Nigdy wcześniej nie rozumiała, dlaczego Michael ją zdradził. Kiedy wyznał jej prawdę, z rozpaczy o mało nie pękło jej serce. Teraz po raz pierwszy miała wrażenie, że go rozumie. Dlatego, że przeżywa to samo. Ale w jej przypadku wszystko zakończy się inaczej. Ona nigdy nie ulegnie szaleństwu zmysłów, nie pozwoli sobie na zaspokojenie pożądania. Tego typu zauroczenie mężczyzną - lub kobietą - bywa zbyt niebezpieczne.

O ile jednak rozumiała, co kierowało Michaeliem, to absolutnie nie potrafiła zrozumieć motywacji Kelly Monroe; skoro go kochała, to dlaczego, zamiast pozwolić mu odejść, wołała zabić i siebie, i jego?

Wzdychając ciężko, Maisy przewróciła się na drugi bok i uderzyła pięścią w poduszkę, nadając jej lepszy kształt. Od ponad roku nie zdręczała się myślami o Michaelu, Kelly i ich tragicznej śmierci; po kiego diabła robi to teraz?

No cóż, jedno nie ulega wątpliwości. Przynajmniej nie musi się martwić, że zaśnie.

Spojrzała na fosforyzujące w ciemnościach cyfry na zegarze: siedem minut po północy. I w tym momencie usłyszała jakiś hałas - kroki na schodach.

- Zaczynamy - szepnęła.

W zamku zachrobotał klucz, potem drzwi do jej pokoju uchyliły się kilka centymetrów. Maisy leżała na boku, twarzą do drzwi, udając, że śpi kamiennym snem. Oddychała głęboko, równomiernie.

Aktorką okazała się niezłą, bo po chwili drzwi się zamknęły, a kroki oddaliły w stronę sąsiedniego pokoju. Usłyszała cichy zgrzyt zawiasów i wyobraziła sobie, jakie to musi być przerażające dla Zacha: leżeć w łóżku, udawać śpiącego i czekać, aż Bob wbije mu igłę w ramię. Obym tylko dobrze odgadła intencje Boba, przemknęło jej przez myśl. Oby tylko Bob nie zamierzał dziś pozbawić Zacha życia.

Ubrana w koszulę nocną i skarpetki, które miały stłumić odgłos kroków, wstała z łóżka, szybko ułożyła pod kołdrą poduszki, tak by wyglądały jak śpiąca postać, i podreptała na palcach do łazienki.

Światła nie zapalała. Drzwi między łazienką a swoim pokojem zamknęła, po czym podeszła do drzwi prowadzących po pokoju Zacha, w których specjalnie zostawiła wąską szparę.

W ciemnościach Bob pochylał się nad Zachem. Obserwując go, Maisy czuła, jak serce wali jej młotem. Przez ułamek sekundy korciło ją, aby złapać coś ciężkiego, zakraść się i rozwalić blondynowi łeb.

Ale nie taki był jej plan.

Zach zaczął się wiercić, wyrywać.

Zdenerwowana, wykręcała sobie palce. Miała nadzieję, że Zach nie cierpi; że jego niezdarna szamotanina jest starannie przemyślaną grą. Każdej nocy opierał się i walczył, dziś więc powinien zachować się tak samo. Jedną rękę Bob zacisnął na ustach Zacha, drugą z całej siły wbił mu igłę w ramię. Zach zeszywniał, potem przestał walczyć; mięśnie mu zwiotczały i opadł bezwładnie na łóżko.

Bob wyprostował się, wrzucił igłę ze strzykawką do niedużej torby, którą z sobą przyniósł, i skierował się do łazienki.

Maisy pośpiesznie weszła do kabiny prysznicowej i zasunęła za sobą drzwi. Wcześniej, w ramach przygotowań, kilka razy przesuwiała je tam i z powrotem, sprawdzając, czy potrafi to zrobić bezszelestnie. Wytarła też do sucha brodzik i wyłożyła go ręcznikami. Teraz zwinęła się na nich w kłębek, tak by Bob niczego nie dostrzegł za matową szybą, nawet gdyby zapalił światło.

Oczywiście gdyby rozsunął drzwi, sprawy by się mocno skomplikowały.

Przeszedł przez łazienkę i otworzył drzwi do jej pokoju. Domyśliła się, że zajrzał do środka. Zobaczywszy leżącą na łóżku postać z kołdrą naciągniętą na głowę - nie zorientował się, rzecz jasna, że to tylko poduszki - zamknął z powrotem drzwi i przekręcił klucz w

zamku. Potem ruszył w jej kierunku, w stronę kabiny prysznicowej. Przystanął. Maisy wstrzymała oddech. Była pewna, że zaraz ją znajdzie.

Po chwili jednak wrócił do pokoju Zacha. Zamknął za sobą drzwi.

Maisy wypuściła z płuc powietrze. Z wrażenia aż zakręciło się jej w głowie. Maksymalnie skoncentrowana, aby nie czynić najmniejszego hałasu, dźwignęła się na nogi i wyszła z kabiny. Zbliżywszy się do drzwi, przytknęła do nich ucho.

Usłyszała głos Boba.

- Jake! Jake, słyszysz mnie?

- Hmm.

Rozległo się lekkie pacnięcie. Zmarszczywszy z zadumą czoło, Maisy nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi, dosłownie na szerokość palca, by widzieć, co się dzieje.

Zobaczyła, że Bob raz po raz uderza Zacha dłonią w twarz.

- Jake, obudź się. Musimy porozmawiać.

- Stem obuzony - wymamrotał Zach.

- To dobrze.

Blondyn schylił się. Maisy wyteżyła wzrok, ciekawa, co zamierza uczynić. Nie zdziwiła się, kiedy przywiązał ręce Zacha do stelaża. W nogach łóżka znajdowało się urządzenie regulujące kąt nachylenia materaca. Bob nacisnął je, ustawiając ciało Zacha w pozycji siedzącej.



- Muszę ci zadać kilka pytań, słyszysz? Może tym razem zdołasz sobie coś przypomnieć.

- Hmm.

Bob wyciągnął coś z torby; przez moment nic się nie działo, a potem rozbłysło światło, tak jaskrawe, że Maisy aż podskoczyła. Strumień światła został skierowany prosto na twarz Zacha.

Ten zamknął oczy.

- Co to, to nie - oznajmił Bob.

Maisy patrzyła z przerażeniem, jak Bob odrywa z rolki kawałki taśmy, unosi kolejno powieki Zacha i przykleja je taśmą, tak by się nie zamykały, i żeby móc mu ciągle świecić w oczy. Następnie owinął taśmę wokół wezłowia łóżka i czoła Zacha, by ten nie mógł przekreślić głowy.

Chryste! Pewnie codziennie torturuje tak biedaka!

Skończywszy z taśmą, Bob podniósł z podłogi przenośny odtwarzacz i go włączył. Kiedy popłynęła muzyka Mozarta, wsunął w odtwarzacz jakiś mały przedmiot zamocowany na końcu kabla. Muzyka całkiem ucichła. Drugi koniec kabla wsadził Zachowi do ucha. Słuchawka, pomyślała Maisy. Przykleił urządzenie taśmą, by przypadkiem nie wypadło. Potem zapalił świeczkę pod pojemniczkiem z wodą, do której dolał nieco więcej olejku zapachowego. Na końcu wyjął z torby nieduży magnetofon i wcisnął guzik.

- Przesłuchanie Jake'a Ingrama, dzień piąty - powiedział.

Postawił magnetofon na stoliku nocnym po prawej stronie łóżka, a sam usiadł obok na krześle.

- W porządku, Jake. Pora, żebyś uruchomił pamięć. -

Pochyliwszy się nad łóżkiem, mówił wprost do prawego ucha Zacha. - Jak masz na imię? Co? No mów. Jak masz na imię?

Zach milczał.

- Gdzie mieszkasz, Jake?

- Ja... w Greenlau... w Tekszasie - wybełkotał Zach.

- Nie, nie teraz. Gdzie mieszkałeś dawniej? Dawno, dawno temu.

Cisza.

- Bądź grzeczny, Jake, bo ci sprawię ból. No, powiedz: masz braci i siostry? Jak się nazywają?

- Nie... wiem.

Bob westchnął. Podniósł się z krzesła i zapalił lampę. Światło zapalało się i gasło, za każdym razem w innym kolorze, za każdym razem coraz jaskrawsze. Maisy mrużyła oczy; skoro jej trudno było wytrzymać tak intensywny blask, wyobrażała sobie, co przeżywa biedny Zach. Po chwili Bob pochylił się nad odtwarzaczem i nastawił dźwięk na maksimum.

Zach jęknął; wykrzywiając twarz w strasznym grymasie, usiłował zamknąć przytrzymywane taśmą powieki.

- No, Jake - powiedział Bob do lewego ucha Zacha, bo w prawym tkwiła słuchawka.

Biedak zaraz zwariuje, pomyślała Maisy. A na pewno ogłuchnie.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - kontynuował blondyn. -  
Opowiedz o Superpiątce.

Maisy cofnęła się od drzwi i zaczęła rozglądać po łazience, szukając czegoś, co by mogło posłużyć za broń. Nie zamierzała dłużej stać bezczynnie i patrzeć, jak jasnowłosy sadysta znęca się nad biednym Zachem. Niestety, nic nie znalazła. Trudno; postanowiła posłużyć się sprytem i siłą własnych rąk. Uchyliła drzwi i weszła do pokoju.

Bob siedział zwrócony tyłem, więc jej nie widział, lecz Zach - mimo oślepiającego blasku, który raził go w oczy - natychmiast ją dostrzegł.

- Nie - mruknął, usiłując pokręcić unieruchomioną głową. - Nie rób...

- Czego? - spytał Bob.

- Za duszo hałasu... za duszo światła... - odparł Zach, ponownie wcielając się w rolę ofiary. Wywrócił oczy białkami do góry.

Maisy zmusiła się, aby wrócić do łazienki. Przymknęła drzwi, zostawiając tylko niewielką szparę. Ręce trzęsły się jej ze zdenerwowania.

- Jake? - Bob przysunął się bliżej. - Jake, obudź się.

Pacnął Zacha kilka razy w policzek, po czym zaklął pod nosem i uderzył go mocniej. Następnie zmierzył mu tętno.

- Pacjent stracił przytomność - rzekł, podnosząc magnetofon. - Najwyraźniej silniejsza dawka nie jest dobrym pomysłem. Jutro zastosujemy słabszą dawkę i spróbujemy jeszcze raz.

Wyłączywszy magnetofon, schował go do torby. Następnie podszedł do lampy migoczącej ostrym światłem w zmieniających się kolorach i nastawił ją na jednostajny biały blask. Po chwili wahania obszedł łóżko, wyłączył odtwarzacz i wyciągnął z niego słuchawkę. Potem sięgnął po taśmę przytrzymującą powieki Zacha. Zdarł ją dwoma mocnymi szarpnięciami. Maisy aż skrzywiła się z bólu, Zach jednak nie zareagował, nawet nie jęknął. Z taką samą delikatnością Bob usunął taśmę, która przytrzymywała nieruchomo głowę pacjenta.

Do stojącej na podłodze niedużej torby wrzucił zużytą taśmę i słuchawkę. Zdmuchnął świeczkę w pojemniczku z olejkiem zapachowym, następnie obniżył materac i oswobodził ręce Zacha. Sznur, który służył do wiązania, również wyładował w torbie. Wreszcie, zgasiwszy lampę, Bob opuścił pokój, z lampą w jednej ręce, z torbą w drugiej.

Chociaż chciała jak najszybciej znaleźć się u boku Zacha, Maisy czekała cierpliwie, dopóki Bob nie zejdzie na dół. Dopiero gdy usłyszała jego kroki na parterze, wyłoniła się z łazienki. Nic nie widziała; oślepienie niedawnym blaskiem oczy nie mogły przyzwyczać się do ciemności. Poruszając się po omacku, doszła wreszcie do łóżka.

Zach siedział na krawędzi, ze spuszczone nogami, z dłońmi przyciśniętymi do czoła. Usiadłszy obok, otoczyła go ramieniem.

- Boże - szepnęła. - Jak się czujesz? Zach, nic ci nie jest?

Dygotał na całym ciele.

- Nic nie widzę. - W jego głosie pobrzmiwała panika. - Chryste, nic nie widzę!

- To normalne, Zach - uspokoiła go. - Wkrótce odzyskasz wzrok. Nie oślepleś, wierz mi.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową. Siedziała tak blisko, że wyczuł ten ruch.

- Wiesz, lepiej się to wszystko znosi, będąc odurzonym - szepnął. Objął ją mocno w pasie. - W głowie mi dudni, w uszach dzwoni, nie widzę, chyba straciłem wszystkie rzęsy, ale poza tym nic mi nie jest.

Cały czas gładziła go, to po ramionach, to po plecach.

- Połóż się i zamknij oczy.

Wykonał posłusznie jej polecenie. Zakryła go kołdrą, choć wiedziała, że jego drzenie jest reakcją psychiczną na to, co miało miejsce, i bynajmniej nie wynika z zimna, po czym pocałowała go w czoło. Zanim zdołała się wyprostować, objął ją za szyję, uniósł głowę znad poduszki i pocałował Maisy lekko w usta.

- Dziękuję. - Oblizął się. - Hm, masz słone wargi. Czyżbyś płakała, pani doktor?

Wierzchem dłoni wytarła pośpiesznie policzki.

- To, co Bob dzisiaj wyprawiał... to się więcej nie powtórzy, Zach. Nie będziemy czekać do jutrzejszego wieczoru, aby ten kat wrócił ze swoimi narzędziami tortur.

- Nie myliłem się. Płaczesz,

- Przyniosę ci proszek przeciwbólowy.

Udała się na palcach do swojego pokoju. Przy okazji zlikwidowała wał z poduszek, który utworzyła na środku łóżka. Gdyby Bob wrócił niespodziewanie i przyłapał ją w pokoju Zacha, zawsze mogła uciec się do niewinnego kłamstwa i powiedzieć, że przyszła sprawdzić, jak się chory czuje.

Dzisiejszego wieczoru odkryła o sobie przerażającą prawdę. Kiedy obserwowała bezradnie, jak Bob torturuje Zacha Ingrama, po raz pierwszy w życiu poczuła, że byłaby zdolna wyrządzić krzywdę drugiemu człowiekowi, może nawet posunąć się do zabójstwa. Wystraszyła się.

Był sam najwyżej minutę. Kiedy wróciła do pokoju, wsunęła mu do ust dwie pastylki, potem jedną ręką przytrzymała mu głowę, a drugą podała szklankę z wodą. Zupełnie jakby był chorym bezradnym dzieckiem.

Może rzeczywiście nie wyglądał jak okaz zdrowia, ale nie było z nim aż tak źle, by nie mógł samodzielnie popić lekarstwa. Postanowił usiąść, żeby to udowodnić, Maisy jednak odstawiła szklankę na stolik i przyłożyła do jego obolałych oczu ciepłą wilgotną szmatkę.

- Odpocznij. - Kiedy mówiła tym swoim cudownym, kojącym szeptem, zawsze chętnie spełniał jej życzenia. - Bob już tu dziś nie wróci. Myśli, że śpisz; sam przyznał, że dał ci silniejszą dawkę. Boże, kretyn mógł cię zabić!

- Ale nie zabił - powiedział Zach. Czuł, jak ciepło rozchodzi mu się po czole i łagodzi ból oczu. - Kurczę, pani doktor, chyba uratowałaś mi życie!

Nie widział jej reakcji, ale mógłby przysiąc, że rozciągnęła wargi w uśmiechu. A może miał zwidy? Może środki, którymi go szpikowali Smithowie, uszkodziły mu mózg? Nie, to niemożliwe...

Pocierała jego rękę, tam gdzie niedawno wrzynał się sznur, jakby chciała rozmasować wszystkie obolałe miejsca.

- Psiakrew. Nie musiał cię tak mocno wiązać. Nawet gdybyś był trochę silniejszy, też by nie musiał.

- Nie przejmuj się. Zresztą nie jestem tak słaby, na jakiego wyglądam.

Parsknęła śmiechem.

- Żarty się ciebie trzymają.

- Wcale nie. Naprawdę jestem znacznie silniejszy, niż ci się wydaje.

Odsunęła się. Po chwili przeszła na drugą stronę łóżka i zaczęła masować mu prawą rękę.

- Wierzę ci, Zach.

- To dobrze.

Kiedy skończyła z masażem ręki, przystąpiła do delikatnego masażu w okolicach skroni. Zach westchnął błogo.

- Musimy się stąd wydostać, Zach - rzekła, ściągając go na ziemię.

- To prawda. - Zwilżył usta i przez moment nic nie mówił, po prostu rozkoszował się jej dotykiem, ciepłym, łagodnym, kojącym. - Problem w tym, że nawet nie wiem, gdzie jesteśmy.

- Na środku pustkowia. Ale jadąc tu, kierowałam się wskazówkami, które podali mi przez telefon. Zapisałam je, a kartkę schowałam. Te same wskazówki doprowadzą nas do domu.

- Do domu... Daleko ten dom? Usłyszał westchnienie.

- Dwie i pół godziny. Samochodem.

- Czyli na piechotę droga nam zajmie... ile? Dwadzieścia pięć lat?

- Piechotą odpada. Bob zaraz by nas dopadł. Pamiętaj, że ma pikapa.

- Gdybyśmy ruszyli od razu, mielibyśmy sześć godzin przewagi. Bob, kiedy już ze mną skończy, po raz kolejny pojawia się dopiero rano.

- Skąd wiesz? Dotychczas byłeś zbyt odurzony, żeby cokolwiek rejestrować. Poza tym jeszcze nie jesteś gotów do drogi. Organizm musi się zregenerować. Przydałby ci się jeszcze jeden dzień odpoczynku, parę solidnych posiłków...

- Nie wiem, czy wytrzymam kolejną rundę pytań, ogłuszającej muzyki, świecenia w oczy, i tak dalej, i tak dalej.

Wzięła głęboki oddech, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- Co? - spytał Zach. - Coś ci przed chwilą przyszło do głowy. Powiedz.

- Nie, nic. I tak nie mogłabym tego zrobić.

- Czego? Zostawić mnie?



- Nie. To absolutnie wykluczone. - Westchnęła ciężko. - Po prostu... Tak sobie myślę, że kiedy Bob skojarzy, że ma niewłaściwego człowieka, nie tego brata, na którym im zależy, wtedy nie będziemy tu dłużej potrzebni. Ale jakoś nie sędzę, aby pozwolono nam wrócić do domu. To byłoby zbyt ryzykowne. Moglibyśmy rozpoznać twoich oprawców, doprowadzić policję do tego miejsca...

- Pomyślałem o tym samym - przyznał Zach. - Ale nie chciałem cię straszyć.

- Czyli walczymy nie tylko o odzyskanie wolności, ale i o życie - rzekła z namysłem Maisy. - Nas jest dwoje, Bob jeden. Przynajmniej dopóki nie zjawią się Smithowie.

Zach zerwał z oczu mokry kompres i usiadł. W ciemnym pokoju dostrzegł niewyraźny zarys kobiecej sylwetki.

- Co proponujesz? - spytał. - Uważasz, że powinniśmy unieszkodliwić Boba?

Zwiesiła głowę.

- Wiesz, Zach, nigdy wcześniej nie myślałam, że mogłabym wyrządzić krzywdę drugiemu człowiekowi, ale chyba mogłabym. Wstydzę się tego, ale... Kiedy wczoraj szperałam w kuchni, zobaczyłam w szufladzie takie wielkie noże...

Wydawało mu się, że przeszył ją dreszcz.

- Posłuchaj, Maisy. Jeżeli trzeba będzie pozbyć się tego drania, ja to zrobię.

Popatrzyła mu w oczy.

- Potrafiłbyś? Umiałbyś zabić człowieka?

Mimo ciemności i mgły przed oczami starał się skupić na niej wzrok. I nagle przyszło mu do głowy, że tak, umiałby zabić człowieka, gdyby ten człowiek zagrażał życiu Maisy Dalton. Może nie potrafiłby nikogo zabić, żeby samemu się ratować, ale żeby ratować Maisy... Zaskoczyło go to odkrycie.

- Tylko w ostateczności, pani doktor. Naprawdę w ostateczności.

- Zachowałam jedną ampułkę *sodium pentotalu*. Moglibyśmy go odurzyć...

- Ale jak zrobić mu zastrzyk? Ze trzech facetów musiałoby go przytrzymywać. Chyba żebyśmy namówili konia, aby usiadł mu na grzbiecie i...

Urwał, gdyż Maisy chwyciła go gwałtownie za ramię.

- Świetnie!

- Co świetnie? Wiesz, gdzie można znaleźć konia, który siada ludziom na grzbiecie? - zażartował, starając się wprowadzić nieco lżejszy nastrój.

Ale po uścisku, który wcale nie zelżał, widział, że Maisy mówi poważnie.

- Tak, wiem, gdzie można znaleźć konia. A nawet kilka. Tu obok, w stajni czy stodole. Chyba że Bob kłamał, ale nie sądzę. Wczoraj, kiedy wrócił do domu, poczułam od niego zapach koni. To bardzo charakterystyczna woń, prawda?

- Nie mam pojęcia.

- Właśnie tak się stąd wydostaniemy.

- Konno? Skinęła głową.

- Ostatni raz siedziałem na koniu, kiedy byłem dzieckiem. Ale tego się nie zapomina, podobnie jak jazdy na rowerze. A ty jeździsz konno?

- Słabo, ale poradzę sobie. - W jej oczach pojawił się błysk podniecenia. - No dobra. Zostajemy jeszcze jeden dzień. W tym czasie ty odpoczywasz, a ja próbuję się zorientować w sytuacji. Kiedy Bob wyjdzie z domu, postaram się zgromadzić rzeczy na drogę. Jedzenie, picie, zapalki, koce. A wieczorem...

- Wybywamy stąd - dokończył Zach.

Przemknęło mu przez myśl, że może jeszcze będzie miał okazję wykazać się siłą, odwagą, męstwem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jak się czujesz?

Obudził go ciepły melodyjny głos nad uchem i delikatny dotyk ręki na twarzy. Otworzył oczy i zamrugał, po czym odetchnął z ulgą: wszystko miało ostre kontury. Wczoraj bał się, że już nigdy nie odzyska wzroku. Wciągnął w nozdrza cudowny świeży zapach. Widząc włosy Maisy, wilgotne, ściągnięte w koński ogon, domyślił się, że niedawno brała prysznic.

- Nawet nie słyszałem, kiedy weszłaś.

- Wiem. Spałeś tak smacznie, że nie chciałem cię budzić, ale...

- Zazwyczaj miewam lekki sen - powiedział, wyraźnie speszony.

- Twój organizm potrzebuje wypoczynku.

- Która godzina?

- Dopiero dziewiąta. Po wczorajszych przeżyciach nie zdziwiłabym się, gdybyś spał do południa. I nie budziłabym cię, gdyby nie to, że przez jakiś czas będziesz sam w domu. Namówiłam Boba, żeby... -Obejrzała się przez ramię. - Chyba idzie.

Faktycznie, na schodach rozległy się ciężkie kroki. Maisy pochyliła się nad Zachem i dokończyła szeptem:

- Przyrządziłam ci koktajl jajeczny. Bob myśli, że jesteś w stanie spożywać jedynie płynne potrawy, a nie chciałam wyprowadzać go z błędu. Ale u mnie w pokoju znajdziesz normalne śniadanie. W górnej szufladzie.

Skinąwszy głową, zacisnął powieki. Kroki ucichły. Po chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Bob. Podszedł do łóżka i pochylił się, sprawdzając, jak się miewa jego „kuzyn”.

- Wciąż jest mocno odurzony - powiedziała Maisy. - Świństwo, którym faszerowali go w sekcie, nadal krąży w jego organizmie. Próbowałam biedaka obudzić, ale jak widzisz, bezskutecznie.

- Myślisz, że można go zostawić samego na godzinę czy dwie?

- Och, śmiało. Ja w tym czasie chętnie bym rozprostowała nogi, może się przeszła, dla odmiany spędziła chwilę z tobą. Co ty na to, Bob?

Ostatnie zdanie było wypowiedziane innym tonem. Ciepłym, bardziej przyjacielskim. Chryste, pomyślał Zach, co ona najlepszego wyprawia? Czyżby próbowała flirtować z tym bandziorem?

Schyliwszy się, przykryła go starannie kołdrą.

- Zresztą - ciągnęła, zwracając się do blondyna - możemy przecież zamknąć drzwi. Chociaż nie sądzę, aby sprawił nam jakikolwiek kłopot.

- Muszę przyznać, że przydałoby mi się towarzystwo.

- Mnie również, Bob.

I znów jej głos zabrzmiał ponętnie, zmysłowo. Korciło Zacha, żeby otworzyć oczy i przekonać się, czy temu nowemu tonowi towarzyszy zalotne spojrzenie, ale nie chciał niczego zepsuć. W głębi duszy uważał jednak, że Maisy igra z ogniem.

- Nie dzwonili wczoraj z laboratorium? - spytała.

- Nie, jeszcze nie.

- Dziwne. Byłam pewna, że do tej pory będą mieli wyniki.

- Jeśli chcesz, sami możemy do nich zadzwonić - zaproponował

Bob. - Po porannych obowiązkach. Najpierw trzeba nakarmić zwierzęta.

- Dobrze.

Razem opuścili pokój Zacha. Słyszał, jak zamykają drzwi od zewnątrz, a potem słyszał ich kroki na schodach, jedne lekkie, drugie ciężkie i dudniące. Przeszli przez salon na parterze, po czym wyszli na dwór. Siatkowe drzwi trzasnęły głośno. Zach przewrócił się na bok i wyjrzał przez okno. Szli zbyt blisko siebie. Stanowczo zbyt blisko. Po chwili Bob otoczył Maisy ramieniem, niby dla bezpieczeństwa, żeby się nie potknęła o jakąś nierówność.

Drań.

Nagle pies wyłonił się spod ganku i ruszył biegiem za nimi. Maisy go nie widziała, a on nie szczekał. Cholera jasna!

Zach zrzucił koldrę i zerwał się z łóżka. Uchyliwszy okno, zamierzał krzyknąć, ostrzec Maisy przed szczerzącą zęby bestią. Zanim cokolwiek zrobił, para na dole odwróciła się. Zach odskoczył w bok, by go nikt nie zobaczył. Słyszał, że Bob mówi coś do psa.

- Mój Boże, jaki on się teraz wydaje łagodny -zdziwiła się Maisy.

Pozostając w ukryciu, Zach wyjrzał na zewnątrz. Rufus siedział, wachlując ogonem ziemię.

- Póki jesteś ze mną, nic ci z jego strony nie grozi - zapewnił ją

Bob. - Potrafię sobie z nim radzić.

Wiadomo, pomyślał Zach. Bydlak z bydlakiem zawsze się dogada.

- Jesteś niesamowity, Bob. Niewielu mężczyzn umiałoby wzbudzić postrach i szacunek tak groźnej bestii.

Rany boskie, ona mu kadzi! Czyli on, Zach, ma rację. Maisy świadomie flirtuje z jego oprawcą! Baba oszalała!

- Ojej, Bob, a czy mógłbyś namówić swojego psa, żeby dał mi się pogłaskać?

Zach natychmiast wyobraził sobie Rufusa ściskającego w pysku odgryzioną rękę. Ale obserwując z ukrycia teren przed domem, zobaczył, jak Bob kuca, bierze psa za obrożę i cicho do niego przemawia. Maisy zbliżyła się niepewnie.

Widział ogromną determinację w oczach kobiety. Nadrabiała miną, ale domyślał się, jak bardzo musi się bać.

Zbliżyła się kolejny krok. Panowała nad sytuacją, nad własnym strachem. Przemawiając do psa, wyciągnęła rękę i podeszła jeszcze bliżej.

Wariatka! Miał ochotę ją powstrzymać, zakazać jej podejmowania tak dużego ryzyka, ale był bezsilny. Patrzył, jak coraz mniejsza odległość dzieli rękę kobiety od groźnie wyszczerzonych kłów. Po chwili, przysunawszy łeb, pies zaczął obwąchiwać rękę.

- Grzeczny piesek. Miałem nadzieję, że się zaprzyjaźnimy - powiedziała cicho Maisy. Z kieszeni dzinsów wyjęła jakiś owinięty papierem smakołyk. - Przyniosłam ci prezent. Specjalnie dla ciebie, piesku.

Zach nie bardzo widział, co Maisy trzyma w ręku, ale cokolwiek to było, Rufus zjadł ze smakiem i jeszcze energiczniej zaczął merdać ogonem. Maisy pogłaskała psisko po potężnym łbie, a ono do czysta wylizało jej dłoń.

- Grzeczny piesek. Grzeczny Rufus. No daj to ucho. Lubisz pieszczoty, prawda?

Bob miał taką minę, jakby uświadomił sobie, że popełnił błąd. Podniósł się i ujął Maisy za łokieć.

- No dobra, chodźmy. Rufus, wracaj na miejsce. Do budy! - Wskazał na ganek.

Zwiesiwszy nisko łeb, pies posłusznie ruszył w stronę domu. Dwa razy przystanął i merdając ogonem, obejrzał się za siebie. Odetchnąwszy z ulgą, Zach odprowadził Maisy wzrokiem do stodoły.

Szła, trzymając Boba pod rękę i śmiejąc się, zadowolona, że zdołała zaprzyjaźnić się z Rufusem. Starannie obmyśliła plan - oczarować i uspić czujność obu potworów, zarówno dwunożnego, jak i czworonożnego - i z powodzeniem go realizowała.

Właściwie, pomyślał Zach, nie powinno mnie to dziwić. On też od pierwszej chwili uległ jej wdziękowi. W dodatku z każdą minutą, którą spędzał w jej towarzystwie, uczucie, jakim ją darzył, pogłębiało się. Była mądra. Odważniejsza od wielu mężczyzn, których znał. Piękna. Wspaniałomyślna.

Ale także, choć starała się to ukryć, krucha i boleśnie doświadczona przez życie. Pragnął ukoić jej ból, otoczyć ją taką samą opieką, jaką ona otaczała jego.



Ponieważ znikła mu z oczu, zmusił się, aby wrócić myślami do rzeczywistości. Parę minut temu na widok pędzącego psa wyskoczył z łóżka i nawet nie zakręciło mu się w głowie. Poruszył rękami i nogami. Hm, wydawały się znacznie sprawniejsze niż dwa dni temu. Tak, czuje się prawie normalnie.

Świetnie. Czasu ma niewiele, a ryzyko przyłapania jest spore, ale nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. Wszedł do łazienki, zdjął piżamę, którą nosił od pierwszego dnia pobytu na ranchu, i zamknął się w kabynie prysznicowej. Pod ciepłym, ożywczym strumieniem wody poczuł, jak wstępuje w niego siła.

Wyszorował się cały od stóp do głów, dwukrotnie umył włosy, po czym wytarł się i opasał w talii ręcznikiem. Następnie zatkał odpływ, nalał wody do brodziku i wrzucił tam piżamę. Przed wyjściem Bob nie zaglądał ani do łazienki, ani pod kołdrę, czyli nie wiedział, co Zach ma na sobie. Przecież równie dobrze Maisy mogła go umyć gąbką, a piżamę uprać.

Marzył o tym, by się ogolić, ale to byłoby zbyt niebezpieczne. W szafce wiszącej na ścianie znalazł nieużywaną szczoteczkę do zębów. Przypuszczalnie była przeznaczona dla niego. Zerwał z niej opakowanie i umył zęby.

Następnie wyjął piżamę i powiesił na drążku. Przy umywalce leżała przywieziona przez Maisy suszarka do włosów. Włączył ją do kontaktu. Mokre włosy z pewnością wzbudziłyby podejrzenia Boba.

Wykapany, z wysuszonymi włosami, nacisnął klamkę w drzwiach pomiędzy łazienką a pokojem Maisy.

Tak jak się spodziewał, były niezamknięte. Wszedł do środka, zwabiony zapachem jedzenia, które mu zostawiła. W pustej szufladzie zobaczył przykryty plastikową folią talerz. Jajecznicą, kiełbasą i grzanki jeszcze nie zdążyły całkiem wystygnać. Na stoliku nocnym stała, również przeznaczona dla niego, szklanka z sokiem pomarańczowym. Boże, ale był głodny! Zjadł wszystko do ostatniego okrucha.

Po chwili zerknął na drzwi prowadzące na korytarz. Pokusa była zbyt wielka, by mógł się jej oprzeć. Po prostu musiał rozejrzeć się po domu, w którym go przetrzymywano. Znudziła mu się rola inwalidy, bezwolnej ofiary, której Maisy stale służy; też chciał się na coś przydać. Owszem, Maisy radzi sobie całkiem nieźle, odznacza się ogromną inteligencją i niemałym sprytem, ale przecież nie może wszystkiego zostawić na jej głowie.

Uchylił drzwi. Przez kilka sekund rozglądał się, nasłuchując uważnie. Cisza. Dopiero gdy nabrał pewności, że w domu nikogo nie ma, wyszedł na korytarz i wolno, na palcach, ruszył schodami na dół.

- Ależ tu pięknie - powiedziała z niekłamnym zachwytem Maisy.

Wędrowali udeptaną ścieżką przecinającą zaniedbane pole, która prowadziła do zniszczonej stodoły pokrytej resztkami czerwonej farby. Maisy szła bliżej Boba, niż to było konieczne; od czasu do czasu, niby przypadkiem, ocierała się o niego to ramieniem, to biodrem. Chciała go zdekoncentrować, odwrócić jego uwagę od Zacha.

Nigdy wcześniej nikogo nie uwodziła, nawet nie sądziła, że byłaby do tego zdolna. Nigdy też nie myślała o tym, że seksapil może być skuteczną bronią. Dopiero Bob jej podsunął ten pomysł, kiedy łąpał na nią wzrokiem i zbyt długo zatrzymywał spojrzenie tam, gdzie nie powinien.

Świadomość, że podoba się Zachowi, przypuszczalnie też dodała jej pewności siebie. Kiedy na nią patrzył, w jego oczach pojawiała się... hm, nie bardzo umiała to określić. Spojrzenie Boba zdawało się mówić: jestem samcem i zbyt długo byłem bez kobiety. Zach natomiast patrzył na nią tak, jak inni patrzą na dzieła sztuki. Albo na tęczę. Z podziwem, z lubością, z pożądaniem. A ją przenikał wtedy dreszcz.

Zadrżała na samo wspomnienie oczu Zacha.

Przy nim czuła się piękniejsza niż kiedykolwiek w życiu. Również bardziej zaradna i znacznie silniejsza. Nie mogła w to uwierzyć. Zach Ingram, przystojny, pociągający, znakomity naukowiec; mógłby mieć każdą kobietę, jakiej by tylko zapragnął...

- Może i pięknie, ale ranczo mocno podupada -zauważył Bob.

Maisy usiłowała skupić się na jego słowach, a przynajmniej udawać zainteresowanie.

- Pola należałoby odchwaścić, coś na nich zasiać. Stodołę naprawić, odmalować...

- Kiedyś pewnie kuzyn ci pomagał, a samemu człowiekowi trudno się ze wszystkim uporać.

- Robię, co mogę. Ale faktycznie roboty jest za dużo jak na jednego człowieka - przyznał Bob. - Zresztą to ranczo to właściwie lipa.

Maisy poderwała głowę. Czyżby zamierzał zdradzić jej jakąś tajemnicę?

- Lipa?

- Tak. Parę sztuk bydła, kilka koni. Ojciec całe życie marzył, że będzie wielkim ranczerem. Nie mamy serca pozbawiać go złudzeń, ale prawda jest taka, że utrzymanie tej ziemi kosztuje więcej niż to warte.

- A z czego w takim razie żyjecie? - Przygryzła wargę. -  
Przepraszam. Nie powinnam pytać.

- Nie, nie, nawet mi schlebia twoje zainteresowanie. No więc w lepszych czasach zrobiłem kilka niezłych inwestycji. Dzięki temu mogę z własnych pieniędzy dokładać do tego interesu. A kiedy z forszą jest bardzo krucho, wtedy zatrudniam się u innych farmerów.

- Jesteś prawdziwym aniołem, że tak pomagasz rodzinie - powiedziała Maisy, bo nie ulegało wątpliwości, że właśnie to chciał usłyszeć. Nie dała się nabrać na obraz kochającego syna gotowego poświęcić wszystko dla ojca i matki.

- E tam, każdy by tak postąpił na moim miejscu - odparł skromnie, po czym wskazał brodą na rozpadającą się czerwoną stodołę. - To tu.

Chwyciwszy za metalowy uchwyt, otworzył drzwi. Suwały się na kółkach po zardzewiałych szynach, skrzypiąc niemiłosiernie.

Następnie sięgnął do środka i nacisnął włącznik. Wewnątrz rozbłysło światło. Zdumiało Maisy, że w takiej ruderze w ogóle jest elektryczność. Wewnątrz było jednak całkiem czysto. Wciągnęła w nozdrza znajomy zapach koni i siana.

Po lewej znajdowały się cztery boksy z czterema końmi. Widziała tylko ich łby. Pierwszy był biały z grzywą opadającą na oczy, drugi jabłkowity, trzeci kasztanowaty z krótką grzywą sterczącą między uszami, czwarty zaś gniady z białą gwiazdką na czole.

Bob zasunął za sobą drzwi, przeszedł na drugi koniec stodoły i otworzył identyczne wrota z tamtej strony. Do środka wpadły promienie słońca. Biały koń zarżał cicho.

- Jak się nazywają? - spytała Maisy.

- Co? Kto? - zdziwił się Bob.

Popatrzył na nią, potem na konie. Zdała sobie sprawę, że nie mają imion. No tak, oczywiście, pomyślała. Stanowią przecież rekwizyty. Zostały niedawno kupione, a jak tylko Smithowie osiągną cel i ranczo nie będzie im potrzebne, zostaną ponownie sprzedane.

Widziała, że Bob się męczy, nerwowo zastanawiając się nad odpowiedzią, postanowiła więc przyjść mu z odsieczą. Bądź co bądź, nie chciała go drażnić.

- Pewnie należysz do tych ranczerów, którzy uważają, że żywy inwentarz to żywy inwentarz i nie ma się co bawić w nadawanie krowom oraz koniom imion? - powiedziała ze śmiechem.

Na twarzy mężczyzny odmalowała się ulga.

- No właśnie. Co innego pies czy kot. Ale koń? Pokiwała głową, jakby całkowicie podzielała jego zdanie.

- Jeździsz konno?

- Czasami.

Maisy rozejrzała się wkoło.

- A gdzie siodła, uprząż... Ojej, czyżbyś jeździł na oklep?

- Jasne. Bo co? Uśmiechnęła się szeroko.

- Jesteś człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym.

Otworzywszy drzwi ostatniego boksu, Bob wyprowadził ze środka gniadą klacz. Szła, kołysząc na boki ogromnym brzuchem. Maisy chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język; uznała, że ranczer Bob pewnie nawet nie wie, że klacz jest źrebna.

Otworzył kolejno pozostałe boksy. Konie jeden po drugim kierowały się na tył stodoły. Kasztan z krótką grzywą między uszami, którego Maisy ochrzciła w myślach Grzywaczem, był młodym, pełnym temperamentu ogierem. Jabłkowity, jeśli się nie myliła, był wałachem o kroku znacznie bardziej sprężystym od białej klaczy, która - przynajmniej na oko - wydawała się w dość podeszłym wieku.

Zwierzęta wyszły na zewnątrz i skrzyły w lewo. Maisy podążyła za nimi na koniec stodoły, ciekawa, co zobaczy. Ujrzała ogromne pastwisko, którego koniec zlewał się z horyzontem, ogrodzone - sądząc po wbitych w ziemię czystych palach - najwyżej przed miesiącem.

Po chwili dołączył do niej Bob.

- Krowy pasą się z drugiej strony. - Wskazał na prawo.

Krowie pastwisko też było ogromne i też niedawno ogrodzone.  
Z sześć sztuk bydła skubało cienką, rzadką trawę.

- Marna ta trawa - rzekła Maisy.
- Taka wyrosła.
- Ale dokarmiasz zwierzęta, prawda?

Nagle pomyślała sobie, że nie powinna o to pytać. Jeszcze się wyda, że wie znacznie więcej na temat wsi i rolnictwa niż on.  
Dorastała na prowincji, więc siłą rzeczy trochę się orientowała, na czym polega hodowla bydła. Z drugiej strony nie chciała, by zwierzęta chodziły głodne.

- Konie wieczorem wracają do boksów i dostają obrok - wyjaśnił blondyn. - Krowy noce spędzają pod gołym niebem, rano sypię im do koryta paszę. - Ruszył wzdłuż boksów. - To im starcza.

Maisy rozejrzała się po stodole.

- Całkiem tu porządnie.
- Staramy się. - Z haka na ścianie zdjął dużą kwadratową szufłę.
- I co teraz?
- Sprzątam boksy i sypię na podłogę trociny; konie to lubią.

Potem zawożę krowom paszę, liczę pogłowie, sprawdzam ogrodzenie, i to właściwie wszystko.

Zbliżali się do drzwi od frontu.

- Masz tu jakiś traktor, prawda?
- Nie. A dlaczego? - Zmarszczył czoło.
- Mówiłeś, że zawozisz krowom paszę...

Wskazał z uśmiechem na róg stodoły. Maisy powiodła wzrokiem we wskazanym kierunku. Na widok sporych rozmiarów taczki pokiwała z uznaniem głową.

- To ciężka robota - powiedziała.

- E tam. - Machnął lekceważąco ręką. - Zobaczysz, uporam się w mig.

Wolno powiódł po niej wzrokiem. Poczowała się niepewnie. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie przesadziła, flirtując z tym groźnym typem.

- Powinam... no wiesz, wrócić do naszego pacjenta. Mógł się obudzić, nigdy nic nie wiadomo...

- Słusznie.

Czekała chwilę, lecz nic więcej nie powiedział. Wciąż nie spuszczał z niej oczu. Ona pierwsza odwróciła wzrok. Ale kiedy skierowała się do wyjścia, chwycił ją za ramię.

- Maisy?

Domyślając się, o co chodzi, z trudem przełknęła ślinę. Popatrzyła na mężczyznę, z całej siły starając się ukryć obrzydzenie.

- Tak, Bob?

- Odprowadzę cię. Obdarzyła go uśmiechem.

- Kochany jesteś, ale pójdę sama. Nie chciałabym cię odrywać od twoich obowiązków.

- A ja nie chciałbym, żeby spotkała cię jakakolwiek krzywda.

Objął ją ramieniem. Razem ruszyli w stronę drzwi.



Miała ochotę odepchnąć go od siebie; ledwo się powstrzymała. Próbowała się uśmiechnąć, zrelaksować, nie napinać mięśni. Tłumaczyła sobie w myślach, że to ona kontroluje sytuację, że przecież Bob zachowuje się tak, jak to przewidziała.

- Wiesz, czasem strasznie mi tu doskwiera samotność - wyznał. - Ty pewnie też zaczynasz ją odczuwać?

- No, trochę.

- Z Jake'a nie masz wielkiego pożytku. Całymi dniami leży i śpi.

- Wkrótce wydobrzeje. To tylko kwestia czasu. Bob pokiwał wolno głową.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, ile tego czasu zostało. Kiedy będzie po wszystkim...

- Kiedy będzie po wszystkim...?

Przystanęli kilka metrów od ganku. Maisy wpatrywała się intensywnie w oczy olbrzyma, pewna, że ten zaraz się wygada; że niechcący zdradzi jej coś, czego nie powinien.

- To co wtedy, Bob? - spytała. - Co się wtedy stanie?

Zgarnął Maisy w ramiona i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem, po czym puściwszy ją, cofnął się krok. Stał milcząco, uważnie wpatrując się w jej twarz, jakby czekał na reakcję.

- Och... Bob, nie spodziewałam się... To takie...

Oczy płonęły mu dzikim blaskiem. Ponownie wyciągnął ręce, zamierzając powtórzyć pocałunek, ale nagle znieruchomiał, albowiem z domu doleciał go jakiś hałas. W tym samym czasie ze swojego

miejsca pod gankiem wybiegł pies. Nie warcząc i nie szczekając, ruszył im na powitanie.

Maisy zarzuciła Bobowi ręce na szyję i wpiła się w niego ustami, chcąc odwrócić jego uwagę od hałasu, który ona również usłyszała. Niestety, nie udało się. Zdecydowanym ruchem uwolnił się z jej uścisku i w dwóch susach znalazł się na ganku.

- Jake?

Maisy pobiegła za nim.

- Nie bądź śmieszny, Bob. Jake nie zdołałby zwlec się z łóżka, a tym bardziej zejść po schodach.

Ignorując ją, ruszył pędem do domu, a potem po schodach na górę. Maisy usiłowała za nim nadążyć.

- Bob, bądź rozsądny...

Odsunawszy zasuwę, pchnął drzwi na oścież.

Zach leżał na łóżku, dokładnie w tej samej pozycji co przedtem, przykryty po brodę, z zamkniętymi oczami i lekko rozchyłonymi wargami.

- Na pewno coś słyszałem - burknął Bob.

- Ja też - oznajmiła Maisy. - Ale tak jak ci usiłowałam powiedzieć, to był Rufus. Pędząc do nas, przewrócił swoją miskę.

Bob zmrużył oczy.

- Widziałaś to?

- Oczywiście. Gdybym nie widziała, byłabym równie przejęta Jakiem jak ty.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej badawczo; wreszcie się odprężył. Zbliżywszy się do kobiety, pogłaskał ją po włosach.

- Jestem trochę spięty. - Uśmiechnął się, dając jej do zrozumienia, że częściowo ona ponosi za to winę. - Pójdę dokończyć swoje obowiązki, potem umyję się i możemy wrócić do tego, co przerwaliśmy. - Powiódł po niej pożądliwym wzrokiem, nie pozostawiając wątpliwości, o co mu chodzi.

- Nie mogę się doczekać - szepnęła Maisy. Ponad ramieniem Boba widziała leżącego w łóżku

Zacha, który aż kipiał z wściekłości.

- Co ty, do diabła, wyczyniasz? - warknął, ledwo drzwi się za Bobem zamknęły.

- Ciii! - Maisy błyskawicznie zacisnęła dłoń na jego ustach i z przerażeniem obejrzała się za siebie.

Stracił gniewnie jej rękę i usiadł. Było mu wszystko jedno, czy Bob go słyszy, czy nie, choć pewnie nie słyszał, bo jego kroki dudniły już na parterze.

- Znasz powiedzenie: Nie igra się z ogniem? Rany boskie, kobieto! Jesteś sama na kompletnym odludziu, z bandytą, który waży trzy razy więcej od ciebie. I który myśli, że chcesz się z nim pieprzyć!

- Nie chcę! I wcale nie jestem sama. Mam ciebie. Posłał jej ironiczne spojrzenie, ale nie zwróciła na nie uwagi. Wpatrywała się w obnażony tors.

- Nie masz na sobie ubrania - stwierdziła ochryplym głosem.

- Wiem. Wziąłem prysznic.

- Dlaczego ryzykowałeś, Zach? Przecież Bob mógł wrócić wcześniej! Mógł cię przyłapać!

- Ale nie wrócił. Umyłem również zęby, uprałem piżamę i zwiedziłem dom. Przy okazji znalazłem coś, co może się nam przydać.

Wyciągnął spod poduszki tasak. Maisy zbladła.

- Mam nadzieję, że nie będziemy go potrzebowali.

- To lepsza broń niż ta, której ty planujesz użyć. Wytrzeszczyła oczy, zaskoczona pretensją i gniewem w jego głosie.

- Na miłość boską, o czym ty mówisz? Niby czego planuję użyć?

- Seksu. Jeśli myślisz, że pozwolę ci pójść do łóżka z tym oprychem tylko po to, abyśmy mogli stąd zwać, to się mylisz. Już wolę tu zostać.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Niczego takiego nie planuję - stwierdziła oburzona.

- Tak? To dlaczego bandzior wodzi za tobą takim wzrokiem, jakby chciał cię pożreć żywcem?

Odwróciła spojrzenie i oblała się rumieńcem.

- Bo trochę z nim flirtowałam. Żeby uspić jego czujność.

- To było coś więcej niż flirt. - Wiedział, że zachowuje się jak obrażone dziecko, ale nie mógł się powstrzymać. - Widziałem, jak się całowaliście.

- Gdybyś nie narobił tyle hałasu, nie musiałabym się Bobowi rzucać na szyję!

Zacisnął gniewnie usta. Maisy również.

- Nie powinnaś była i już - burknął. Wzdychając cicho, usiadła na brzegu łóżka.

- Jesteś zazdrosny, Zach?

Uniósł brwi, zdziwiony jej bezpośredniością - oraz własną szczerością.

- Owszem, pani doktor. Nie podoba mi się, że Bob zwraca się do ciebie „Maisy” i że obejmuje cię, jakby miał do tego jakiegokolwiek prawo.

Na jej twarzy rozkwitł uśmiech.

- Wiesz, lubię, jak mówisz do mnie „pani doktor”. Nigdy nie przepadałam za swoim imieniem.

- Serio?

- Słowo honoru. Artykuły naukowe podpisuję inicjałami. M.J. Dalton.

- Czyli... Maisy Jo? - spytał żartobliwym tonem.

- Gorzej. Maisy Jane - przyznała.

Skrzywił się, jakby podzielał jej niechęć, ale po chwili spoważniał.

- Pozwoliłaś mu się pocałować - rzekł cicho. - A kiedy ja próbowałem, odsunęłaś się. Moje ego poczuło się urażone.

Pogładziła go delikatnie po twarzy.

- Zrozum, musiałam zaciskać zęby, żeby nie zwymiotować. Nie zachodziła obawa, że się zdekcentruję i stracę głowę.

Podobała mu się jej otwartość i brak fałszywego wstydu. Miał nadzieję, że kolejne jego słowa nie wprawią jej w zakłopotanie.

- A przy mnie zachodziła?

- Ciebie... twojego pocałunku pragnęłam. O ile w wypadku Boba musiałam walczyć z sobą, żeby go nie odepchnąć, o tyle w twoim wypadku... musiałam walczyć z sobą, żeby nie ulec pokusie.

Zarumieniła się, ale nie odwróciła wzroku. Był jej wdzięczny za prawdomówność, za to, że nie próbowała wymigać się od odpowiedzi.

- Cieszę się, ale...

- Ale? - spytała, nie wiedząc, dlaczego urwał.

- Ale wolałbym, żebyś uległa. Pokręciła głową.

- To się nie stanie.

- Stanie się. Na pewno. Może nie tu i nie teraz, ale...

- Nie, Zach.

- Dlaczego? - spytał. - Z powodu twojego męża?

Ponownie pokręciła głową.

- Powiedz - poprosił. - Cały czas byłaś ze mną szczerą. Nie zmieniaj się. Powiedz: dlaczego?

Wzięła głęboki oddech, po czym wolno wypuściła z płuc powietrze.

- Nie... nie chcę przez to jeszcze raz przechodzić, Zach. Miłość, zaufanie, zdrada, łzy i cierpienie. Omal mnie to nie zabiło. Nie chcę znów przeżywać tak koszmarnego bólu. Nie mogę... - Łzy napłynęły jej do oczu. - Nie moglibyśmy być po prostu przyjaciółmi? - spytała łamiącym się głosem.

Podniósł rękę i wytarł palcem łzę. Nie, nie moglibyśmy, odparł w myślach. Na taką kobietę jak Maisy czekał całe życie. Teraz, gdy ją

spotkał, nie zamierzał jej puścić. Wiedział, że ich związek będzie inny od wszystkich dotychczasowych; że będzie taki, jaki sobie wymarzył. Nie miał co do tego cienia wątpliwości. Ale na razie postanowił milczeć. Nie była to odpowiednia chwila na takie rozmowy. Zresztą nie chciał, aby z jego powodu z pięknych piwnych oczu Maisy popłynęła kolejna łza.

- Będzie tak, jak tego chcesz, pani doktor.

- Dziękuję.

Przełknąwszy ślinę, zmusił się do zmiany tematu.

- No dobrze, to co zrobimy z Bobem, który najwyraźniej liczy na dalszy ciąg waszego flirtu? Jak mamy temu dalszemu ciągowi zapobiec?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jake przecisnął się przez tłum dziennikarzy czekających w holu przed jego gabinetem; jeden przez drugiego wykrzykiwali pytania, na które nie był pewien, jak odpowiedzieć.

- Panie Ingram, czy to prawda, że pański brat zniknął?

Szedł dalej, nie zatrzymując się. Raz po raz błyskały flesze, oślepiając go swoim blaskiem.

- Kiedy ostatni raz widział pan brata?

- Czy to ten sam Zachary Ingram, który wykłada ekonomię na uniwersytecie Greenlaurel?

Przygryzając wargi, Jake ruszył po schodach.

- Czy policja podejrzewa morderstwo?

- Czy to może mieć cokolwiek wspólnego z kradzieżą pieniędzy z Banku Światowego?

- Bez komentarzy - oznajmił, naciskając klamkę. Wszedł do sekretariatu i zamknąwszy za sobą drzwi, odetchnął z ulgą.

W środku czekał na niego Lennox. Niemal nie rozstawali się od chwili, gdy Jake odkrył zniknięcie brata; w tym czasie agent ani razu nie nalegał, aby Jake wrócił do roboty, za którą mu płacono, czyli próby odnalezienia skradzionych pieniędzy. W sumie zachowywał się bardzo przyzwoicie.

- Twój asystent nie pojawi się dziś rano - rzekł. - Zobaczył ten kotłujący się tłum i pojechał dalej, nie zatrzymując się. Nie było cię, kiedy dzwonił, ale obiecałem mu, że przekażę ci wiadomość.



- Dzięki. Właściwie na nic by mi się dziś nie przydał. A co do tłumy... Mieliśmy nie rozgłaszać informacji o zniknięciu Zacha. Skąd oni się dowiedzieli?

- Nie mam pojęcia. Szczegółów jednak nie znają. Wiedzą tylko, że Zach znikł. Oczywiście plotkom nie będzie końca. Warto wkrótce wydać oświadczenie dla prasy.

- Jakże? Przecież sami też nic nie wiemy.

- Wiemy, że nie wyjechał na nieplanowany urlop. Mamy taśmę z kamery rejestrującej ruch pojazdów na parkingu.

Skinął brodą na stojący w rogu telewizor, po czym skierował na niego pilota. Na ekranie pojawił się czarno-biały obraz przedstawiający uczelniany parking, obraz tak zamazany, że z trudem dawało się odróżnić jeden samochód od drugiego.

Lennox podszedł bliżej i wskazał palcem na poruszający się wolno cień.

- Spójrz. Tu stoi samochód twojego brata. Zach siedzi w środku. Podjeżdża jakieś auto, zatrzymuje się za nim...

Jake pochylił się i zmrużył oczy. Wyteżając wzrok, usiłował dojrzeć, co się dzieje na ekranie. Z samochodu Zacha wysiadł niewyraźny kształt, pewnie Zach, i podszedł do niewyraźnego kształtu siedzącego za kierownicą wozu, który zablokował mu wyjazd. Przez chwilę rozmawiał z kierowcą, po czym przesunął się dwa kroki w prawo i otworzył tylne drzwi.

Nagle zza kadru podszedł do niego jakiś solidnie zbudowany człowiek; wyglądało na to, że pomaga Zachowi zająć miejsce na tylnym siedzeniu.

- Poczekaj! Przewiń to - poprosił Jake, nie odrywając wzroku od ekranu.

Lennox przewinał taśmę i puścił ją jeszcze raz. Solidnie zbudowany mężczyzna ponownie podszedł do Zacha i klepnął go przyjaźnie w ramię. W pierwszej chwili Zach zeszywniał, po czym odprężył się i pochylił do przodu. Mężczyzna stojący z tyłu albo go wepchnął na tylne siedzenie, albo pomógł mu wsiąść do wozu.

- To bez sensu. Nie sposób się połapać.

- Cierpliwości, Jake - powiedział agent. - FBI ma jedną kopię, drugą wysłaliśmy do NASA. Spróbują ją tam wyczyścić, trochę wyostrzyć, tak jak to robią ze zdjęciami satelitarnymi. - Jeszcze raz przewinał taśmę i znów ją puścił. - Później, w laboratorium, obejrzyś nieco wyraźniejszą wersję, ale zwróć uwagę, jak Zach sztywnieje. Z początku myślałem, że zdziwiła go poufałość obcego, lecz teraz wydaje mi się, że chodzi o coś innego. Że ten obcy coś mu zrobił! Mam wrażenie, że Zach jakby podskoczył albo co.

- Tak, a potem odprężył się i nie protestuje, kiedy obcy wpycha go do samochodu. - Jake zadumał się. W milczeniu patrzył, jak samochód z Zachem odjeżdża. - Myślisz, że zrobili mu coś złego? - spytał, przenosząc spojrzenie na Lennoksa. - Że strzelili do niego albo ugodzili go nożem?

Agent pokręcił przecząco głową.

- Nie, nic na to nie wskazuje. Podejrzewam, że zastosowali łagodniejszy środek perswazji. Może na przykład paralizator? Choć wtedy reakcja Zacha byłaby bardziej widoczna. A może narkotyki?

- Sukinsyny!

- Na taśmie widnieje data. Przynajmniej wiemy, kiedy dokładnie Zacha uprowadzono. Przy odrobinie szczęścia, jak spece w NASA wyostrzą obraz, może uda nam się rozszyfrować markę samochodu.

- Może nawet odczytać tablice rejestracyjne?

- Miejmy nadzieję.

Jake spojrział przez okno. Dziennikarze i fotoreporterzy wciąż czekali przed budynkiem.

- Co im powiedzieć?

- Po pierwsze, potwierdzić, że Zach zaginął; po drugie, dać jego zdjęcie, żeby pokazali je w telewizji; po trzecie, powiedzieć, gdzie był widziany po raz ostatni. Skoro sprawa wyszła już na jaw, to i tak wszystkie gazety będą o niej pisać. Skorzystajmy z okazji. Może któryś z widzów albo czytelników gazety coś sobie skojarzy albo przypomni.

Skinąwszy głową, Jake zaczął pośpiesznie pisać w notesie, Lennox zaś wyszedł na zewnątrz i powiadomił przedstawicieli mediów, że w ciągu godziny Jake Ingram złoży oświadczenie. Następnie wrócił do środka. Obaj mężczyźni pisali, wykreślali, poprawiali, uzupełniali, niepewni, ile informacji powinni zdradzić.

Wreszcie Jake wziął z biurka zdjęcie, na którym stoi z bratem, wyjął je z ramki i dał Lennoksowi znak, że jest gotów stawić światu czoło.

Kiedy otworzył drzwi, nie zaatakował go dziki, niecierpliwy tłum; dziennikarze czekali spokojnie. Jedni trzymali mikrofony, inni kamery.

- W środę około godziny czwartej po południu mój brat, profesor Zachary Ingram, wyszedł z sali wykładowej na uniwersytecie Greenlaurel i udał się do swojego samochodu na uczelnianym parkingu, zamierzając wrócić do domu. Nie wrócił. Samochód stał na parkingu przez kilka dni; obecnie sprawdza go policja. Prawdopodobnie Zach opuścił parking na tylnym siedzeniu innego pojazdu. Jeżeli ktokolwiek widział Zacha tego popołudnia lub wieczoru, proszony jest o skontaktowanie się ze mną lub z policją. Oto jego zdjęcie.

Uniósł do kamer fotografię.

- Wyglądacie panowie identycznie! - krzyknął jeden z dziennikarzy. - Który to Zach?

- Ten z lewej.

- Panie Ingram, czy zniknięcie pańskiego brata może mieć jakikolwiek związek z kradzieżą w Banku Światowym i pańskim udziałem w dochodzeniu?

- Proszę państwa, nie wiem, gdzie jest Zach ani dlaczego został uprowadzony. Jednakże nic nie wskazuje na to, aby te dwie sprawy były ze sobą związane.

Padaly kolejne pytania, ale Jake uniósł dłoń i potrząsnął głową.  
- Przykro mi, nie mam żadnych więcej informacji.

A państwa proszę o jedno: o rozpowszechnienie zdjęcia Zacha tak, by dotarło do jak największej liczby osób. Jeżeli ktokolwiek widział mojego brata, bardzo proszę o skontaktowanie się z policją.

Lennox wysunął się naprzód i zastąpił Jake'a: - Otworzyliśmy specjalną linię, pod którą można dzwonić z informacjami. Uwaga, przekazuję numer telefonu. ..

Korzystając z okazji, Jake postanowił skryć się z powrotem w zaciszu gabinetu. Kiedy wszedł do środka, nagle stanął jak wryty. W nozdrza uderzył go dziwny zapach. Znajomy zapach, który z czymś mu się kojarzył, z czymś z przeszłości, ale nie potrafił sobie przypomnieć z czym.

Rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, skąd się tu wziął... tak, zapach fiołków, gdy wtem dojrzał kopertę, która leżała na jego biurku.

Wcześniej jej tu nie było; na pewno. Pochyliwszy się, wciągnął powietrze. Zapach wydobywał się z koperty. Przemknęło mu przez myśl, że może koperta stanowi dowód. Ale czego, na miłość boską? Na wszelki wypadek przytrzymał ją ołówkiem, a drugim ołówkiem wysunął ze środka pojedynczą kartkę papieru. Tym samym sposobem, nie dotykając kartki palcami, rozłożył ją na biurku. List, skreślony starannym, nieco zamaszystym charakterem pisma, zalaatywał słodkawą wonią.

Skądś znał ten zapach...

*Najdroższy Jake'u!*

*Muszą się z tobą zobaczyć. Mam dla ciebie ważne informacje. Najwyższy czas, żebyś poznał prawdę o swoim pochodzeniu, dowiedział się, kim naprawdę jesteś. Do tej pory karmiono cię kłamstwami. A ty, Jake, należysz do wybrańców, i pora, żebyś to sobie uświadomił.*

*Spotkaj się ze mną dziś wieczorem, punktualnie o północy, na mostku łączącym brzegi Rapid Creek w parku stanowym Greenlaurel. Przybądź sam. Oboje znajdziemy się w poważnym niebezpieczeństwie, jeżeli ktokolwiek dowie się o naszej rozmowie. Bądź ostrożny, mój drogi. Bądź bardzo ostrożny. Im wcale nie zależało na twoim bracie, chodziło im o ciebie.*

*Z miłością, jak zawsze, V.*

Do gabinetu wrócił Lennox. Na dźwięk zamykanych drzwi Jake złożył z powrotem list, wsunął go pośpiesznie do koperty, a kopertę schował do kieszeni na piersi.

- Przynajmniej przez jakiś czas dadzą nam spokój - oznajmił agent, siadając. - Obiecałem, że będziemy ich natychmiast o wszystkim informować, więc... Co to za zapach?

- Fiołki - odparł Jake. Dlaczego samo to słowo wywołuje w nim wzruszenie? - Odświeżacz powietrza o zapachu fiołków. Uznałem, że panuje tu za duży zaduch.

Zdawał sobie sprawę, że powinien powiedzieć Lennoksowi o liście. Dać list z kopertą do analizy chemicznej. Mimo to słowem o nim nie wspomniał.

Zamierzał się z nią spotkać, z tą kobietą, która napisała zarówno ten list, jak i poprzedni. Nie miał wątpliwości, że nadawcą jest kobieta. Świadczyła o tym treść listu, słownictwo, ton, charakter pisma, no i przede wszystkim zapach. Niemal potrafił sobie wyobrazić jej twarz. Była jakby ukryta za woalką, nie do końca wyraźna, ale wystarczyło wyciągnąć rękę, ściągnąć zasłonę...

Tak, na pewno zna tę kobietę, która rozsiewa zapach fiołków. Ale skąd? Jak?

Z zadumy wyrwał go głos Lennoksa.

- Musimy pomyśleć o jakiejś ochronie dla ciebie, Jake. Na wypadek gdyby te dwie sprawy były jednak powiązane. Wiem, że jesteś temu przeciwny, ale to chyba dobry pomysł. Zwłaszcza teraz, gdy wiadomość o zniknięciu Zacha poszła w świat.

Jake pokiwał wolno głową. Sam nalegał na to, aby FBI przyznała ochronę członkom jego rodziny oraz narzeczonej Tarze. Jeśli chodzi o siebie, to konsekwentnie odmawiał ochrony. Na dzisiejsze spotkanie o północy też wolałby się udać bez świadków i obstawy.

- Jutro o tym pogadamy.

- Jake, moim zdaniem.

- Słuchaj, nie jestem w stanie się dziś na tym skupić. Nawet jeszcze nie rozmawiałem z Tarą o Zachu. Więc daj mi czas do jutra.

Zrobiło mu się wstyd, bo Lennox nie zasłużył na tak oschły, nieprzyjemny ton. Agent westchnął ciężko.

- W porządku, Jake; jutro do tego wrócimy.

- Jasne.

- No dobra, czyli wszystko ustalone? - spytała Maisy.

Była zdenerwowana i nie potrafiła tego ukryć. Zachowi leżenie w łóżku wychodziło bokiem, przystałby na każdy plan, żeby tylko się stąd wydostać, ale powoli zaczynało mu się udzielać nerwowe podniecenie Maisy.

- Tak. Jak tylko Bob wróci ze stodoły, mam dostać konwulsji. Ty powiesz, że jest ze mną bardzo źle i trzeba mnie natychmiast przewieźć do szpitala. On albo odmówi, albo zacznie kręcić, że nie może sam podjąć decyzji. Wtedy ty zgodzisz się, oczywiście z dużymi oporami, abym pozostał w domu jeszcze jeden dzień. Powiesz jednak, że będziesz musiała mieć mnie na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Jak myślisz, Zach? Uda się?

- Zyskamy na czasie. Ale raczej nie Uczyłbym na to, że drań straci zainteresowanie - odparł mężczyzna.

Wciąż był zły, że Maisy narażała się na niebezpieczeństwo, aby jego ratować. To tak, jakby machała krwawym ochłapem przed nosem rekina. Bandzior wyczuł nęcący zapach i nie zamierzał zrezygnować z pysznej przekąski.

Po moim trupie, pomyślał Zach.

- Musimy stąd zwać, pani doktor. Dziś wieczorem. - Wyrzął przez okno i nagle zacisnął zęby. - Psiakrew, może nawet przed wieczorem.



- Co się stało? - Wyciągnęła szyję. I dojrzała to samo co Zach: Boba, który szedł w stronę domu, z gazetą pod pachą. - Cholera jasna, skąd on ją ma?

- Albo to jest ta stara gazeta, którą tobie ukradł, albo nowa. Jeśli nowa i jeśli fakt mojego zniknięcia podano do wiadomości publicznej, to leżymy.

- Kiedy się dowie, że nie jesteś Jakiem... Rany boskie, Zach, co mam zrobić?

- Poczekaj, niech się zastanowię...

Zanim skończył mówić, była już przy drzwiach.

- Gdzie idziesz, do diabła?

- Odebrać mu gazetę. Może jeszcze jej nie czytał. - Zbiegła po schodach, słodkim głosem wołając Boba.

- Szlag by to trafił...

Dźwignąwszy się z łóżka, Zach podszedł do drzwi. Nogi wciąż miał słabe i nadal kręciło mu się w głowie, ale czuł się bez porównania lepiej niż jeszcze godzinę temu. Musi zejść na dół. Chwycił klamkę.

Po pierwsze, drzwi były zamknięte od zewnątrz. Po drugie, uświadomił sobie, że jest nagi, jak go Pan Bóg stworzył.

Wrócił do szafki, w której Bob zostawił kupione dla niego ubrania, i pośpiesznie coś na siebie włożył. Następnie przez łazienkę i pokój Maisy wyszedł na korytarz.

- Co, nie możesz się doczekać? - Szczęząc w lubieżnym uśmiechu zęby, Bob rzucił gazetę na kuchenny stół. - Taka z ciebie napalona kocica?

Maisy wzdrygnęła się z obrzydzeniem, ale starała się niczego po sobie nie okazywać. Zerknęła na stół, niby od niechcienia. Na widok zdjęcia Zacha i mężczyzny, który mógłby być jego sobowtórem, oraz wielkiego nagłówka „Tajemnicze zniknięcie profesora Zachary'ego Ingrama” serce zabiło jej mocniej.

- No chodź tu, mała - mruknął Bob. Przygarnął ją do siebie, po czym zacisnął ręce na jej talii. Maisy poczuła, jak stopy odrywają się jej od podłogi. Po chwili siedziała na stole. Korzystając z okazji, przesunęła się w bok, zasłaniając sobą gazetę.

- Bob, to nie jest naj...

- Ależ jest. Cały ranek się do mnie zalecasz. Chyba mi nie powiesz, że robisz to tylko dla draki? Albo z nudów?

- Oczywiście, że nie. Po prostu pomyślałam sobie...

- Wiesz co? Gównu mnie obchodzi, co sobie pomyślałaś.

Jego głos się zmienił; stał się niski, bardziej ponury, groźny.

- Bob? Nie rozumiem... Co ty mówisz? Uśmiechając się, pokręcił głową, jakby rozmawiał z osobą niedorozwiniętą umysłowo.

- Oj, Maisy, Maisy. Jesteśmy tu tylko we dwoje, nikogo poza nami nie ma. Od rana zachowujesz się tak, jakbyś miała ochotę na szybki numerek. Ale właściwie to mi wszystko jedno, czy masz czy nie. Bo ja mam, a od ciebie nic nie zależy, wiesz?

Zaciskając dłonie na jej policzkach, żeby mu się przypadkiem nie wyrwała, zmiażdżył jej usta pocałunkiem. Wściekła, oparła rękę na jego klatce piersiowej i z całej siły zaczęła go odpychać.

Cofnął się, a raczej odskoczył, i to tak nagle, że aż się zdumiała. I wtem ujrzała zbliżającą się do swojej twarzy ogromną pięść. Nawet nie zdążyła się uchylić.

Pięść Boba trafiła ją częściowo w oko, częściowo w skroń. Maisy opadła na stół, po czym zwała się na podłogę. Przeszył ją straszliwy ból. Kiedy tak leżała na boku, obolała, zdezorientowana, nerwowo zastanawiając się, co począć, Bob usiadł na niej okrakiem i przewrócił ją na wznak. Następnie chwycił za przód bluzki i szarpnął. Rozległo się darcie.

- Wiedziałem, że mnie nabierasz. Od razu cię przejrzałem. Myślałaś, że jestem taki głupi? Że uwierzę w te twoje umizgi? Nic z tego, Ale nie martw się, zabawimy się; dostaniesz to, czego chciałaś.

Skrzyżowała ręce na piersi. Chwycił jej nadgarstki i przygwoździł do podłogi, po czym jak głodomór, który od tygodnia nie miał nic w ustach, przyssał się do jej piersi.

W tym momencie coś huknęło go w głowę. Wokół posypały się kawałki porcelany. Bob, jakby nigdy nic, otrząsnął się i zaczął podnosić. Kiedy odwrócił się, pięść Zacha trafiła go prosto w szczękę. Oczywiście prawie nie poczuł ciosu.

Maisy poderwała się na nogi, chwyciła z kuchni ciężką, żeliwną patelnię i wzięła potężny zamach.

Rąbnęła Boba w kark. Wyjąc z bólu, olbrzym osunął się na kolana. Po chwili podniósł się, złapał krzesło i cisnął nim w Maisy. Okręciwszy się wokół własnej osi, poleciała do tyłu i wyrznęła w drzwi, rozbijając czołem szybę.

Nagle usłyszała krzyk:

- Wara od niej!

Z przerażeniem zobaczyła, jak Zach wbija bandziorowi nóż prosto w brzuch. W ciało weszła połowa ostrza. Zataczając się, olbrzym postąpił kilka kroków w tył. Patrzył zdziwiony, jak krew sączy mu się z rany. Parę sekund później zacisnął obie ręce na drewnianym trzonku, wyciągnął nóż z ciała i rzucił nim w Maisy. Nie trafił.

Opadł na kolana. Kiedy próbował wstać, Zach kopnął go w głowę. Olbrzym ponownie opadł na podłogę. Tym razem już nie próbował się podnieść. Zach usiadł na nim okrakiem i zaczął okładać pięściami po twarzy. Walił tak, dopóki Maisy wreszcie nie zawołała go po imieniu.

Znieruchomiał z ręką w powietrzu. Spojrzał na zakrwawioną twarz wroga, potem na swoje obtarte do krwi kłykcie, jakby ich nie rozpoznawał. Wstał, obrócił się w stronę Maisy i ruszył do niej pędem.

Usiłowała się podnieść. Miała na sobie dzinsy, rozdartą bluzkę, spod której wystawał stanik, i buty - całe szczęście, bo podłoga zasłana była odłamkami szkła.

Zach pomógł Maisy wstać, po czym wziął ją na ręce.

- Nie! - powstrzymała go, kiedy skierował się do drzwi. - W lodówce jest mięso. Znajdź je.

Posadził ją na krześle, a sam podszedł do lodówki.

- O tym mówisz? - spytał, wyjmując paczkę steków.

- Tak.

Położywszy mięso na stole, zerknął na Boba, który wciąż leżał bez ruchu na podłodze. Nagle wpadł na pewien pomysł. Z szuflady wydobył duży nóż, którym obciął sznur od tosterka i od elektrycznego otwieracza do konserw. Następnie wsunął nóż za pasek u spodni i klęknął obok nieprzytomnego bandziora. Przekreśliwszy go na brzuch, związał mu ręce na plecach oraz nogi w kostkach. Po chwili wahania zaczął przeszukiwać mu kieszenie; z jednej wyciągnął kluczyki.

- Twoje? - zwrócił się do Maisy.

- Tak, od samochodu. Innych nie ma? Sprawdził pozostałe kieszenie.

- Nie. Kluczyki od pikapa albo są w stacyjce, albo je drań gdzieś ukrył.

Dźwignął się z podłogi i, tak jak wcześniej, wziął Maisy na rękę. Ona chwyciła mięso.

- Idź wolno, Zach. Bestia...

Zanim skończyła mówić, pies wyskoczył spod ganku i szczerząc kły, ruszył im naprzeciw. Zach zastygł bez ruchu.

- Rufus, pieseczku. Cześć, malutki - rzekła Maisy. - Mam coś dla ciebie. No chodź tutaj, dam ci coś dobrego.

Pies przestał warczeć; przystanął, zastrzygł uszami i przekreślił w bok łeb, jakby próbował zrozumieć mowę ludzką.

- Zobacz, Rufus, co ci przyniosłam. - Odwinęła folię, wyjęła kawałek mięsa i pomachała nim przed sobą. - Widzisz? I co, ślinka ci leci?

Pies zbliżał się wolno, merdając ogonem. Kiedy dzieliło go od nich z półtora metra, Maisy rzuciła-ochłap. Psisko złapało go w powietrzu.

- Samochód - szepnęła do Zacha. - Musimy się dostać do samochodu.

Zach ruszył posłusznie. Rufus za nim, tyle że już nie warczał. Po chwili Zach postawił Maisy na ziemi.

- Dobrze się czujesz?

Zamknęła oczy; wcale się dobrze nie czuła. Nie potrafiła ustać o własnych siłach. Żeby nie upaść, musiała się oprzeć o karoserię.

- Nic mi nie będzie - odparła. - Sprawdź samochód, a ja zajmę uwagę potwora.

Skinąwszy głową, Zach otworzył drzwi od strony kierowcy, pociągnął za dźwigenkę, po czym zajrzał pod maskę. Następnie położył się na ziemi i sprawdził podwozie.

- Na moje oko, pani doktor, pełno tu jakichś podejrzanych kabli.

- Co? - Maisy zastygła z kawałkiem mięsa w palcach.

- Wygląda na to, że twój przyjaciel Bob nie zamierzał pozwolić ci stąd odjechać.

Świadomość tego, że mogła zginąć, przejęła ją grozą.

- Boże.

- Tu obok stoi jego pikap.

Pies skoczył, wrywając kobiecie mięso z palców i o mało przy okazji nie odgryzając ręki. Zach tymczasem zajął do pikapa.

- W stacyjce nie ma kluczyków. A na kierownicy tkwi wajcha.

Wyobrażasz sobie? Wajcha przeciw złodziejom.

- Poczekaj, nie zamykaj drzwi...

Kawałek mięsa poszybował łukiem i wylądował na przednim siedzeniu. Ułamek sekundy później w ślad za mięsem rzucił się Rufus.

Zach zatrzasnął drzwi, wy dobył zza paska nóż i przedziurawił wszystkie cztery opony, po czym wetknął nóż z powrotem na miejsce, podszedł do Maisy i ponownie zgarnął ją w ramiona.

- Mogę sama iść - zaprotestowała.

- Masz rozciętą głowę, źrenice wielkie jak ćwierć-dolarówki i zataczasz się. Którędy do stodoły?

Wskazała za siebie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nigdy w życiu nikogo nie pobił do nieprzytomności, a tym bardziej nikomu nie wbił noża w brzuch. Był zdumiony, a zarazem przerażony tym, do czego może doprowadzić człowieka wściekłość i bezsilność. Niewiele przecież brakowało, aby zatłukł drania na śmierć. Pewnie gdyby nie cicha prośba w głosie Maisy, aby się opamiętał, tak by się to skończyło.

Nagle zdjął go strach. A może Bob nie żyje? Może cios zadany nożem okazał się śmiertelny? Na samą myśl zrobiło się Zachowi słabo. Ale nie, to niemożliwe. Na pewno żyje.

Dotychczas nie zdarzyło się, aby do tego stopnia stracił nad sobą kontrolę. Lecz kiedy zobaczył, jak bandyta atakuje Maisy - najpierw próbując ją zgwałcić, potem waląc ją pięścią w twarz - obudził się w nim jakiś pierwotny instynkt. Nawet nie podejrzewał, że coś takiego w nim drzemie.

Była ranna, nie tak sprawna jak przedtem. Teraz muszą polegać na nim, na jego sile, inteligencji, sprycie. Miał nadzieję, że jej nie zawiedzie, że zdoła ich oboje uratować.

Postawił Maisy przy ścianie, by mogła się o nią oprzeć, i słuchając jej poleceń wypowiedzianych słabym, zbolalym głosem otworzył tylne drzwi stodoły prowadzące na pastwisko. Następnie, z szuflą pełną owsa, wyszedł na dwór. Gdy tylko konie poczuły znajomy zapach, natychmiast ruszyły z powrotem do stodoły. Zach zasunął drzwi i spojrzał pytająco na Maisy, która siedziała na beli siana.



- Są tu gdzieś siodła, uprząże?

- Nie ma.

- No dobra, zaraz coś wykombinuję. - Podniósł z ziemi zwój sznura.

- Weźmy Grzywacza i Siwka - rzekła Maisy, przyciskając do rany na głowie coś, co kiedyś było rękawem bluzki. - Gwiazda lada dzień się oźrebi, a Biała jest za stara.

Zmarszczył czoło, jakby nic nie rozumiał.

- Kasztanowaty i siwy, Zach. Na nich pojedziemy. Przeniósł wzrok na zwierzęta. No tak, Grzywacz i Siwek. Nic dziwnego, że tak ich ochrzciła. Grzywacz miał krótką, sterczącą między uszami grzywkę, a Siwek po prostu był siwy. Zach uciął kilka kawałków sznura i przywiązał je do uzd. No dobrze, wodze są, pomyślał; kiepskie bo kiepskie, ale są. Pozostałe dwa konie, starą białą klacz i żrebną kasztanowatą wypuścił z powrotem na pastwisko, natomiast Siwka i Grzywacza wyprowadził przednimi drzwiami.

- No, pani doktor, w drogę.

Wziął Maisy na ręce i posadził ją na grzbiecie większego Siwka. Jeden koniec długiego sznura przywiązał Grzywaczowi do uzdy, drugi owinął sobie wokół nadgarstka, po czym usiadł za Maisy.

Oparła się o niego, a on lekko dźgnął piętami Siwka w bok, sterując go we właściwym - miał nadzieję - kierunku. Grzywacz ruszył posłusznie za nimi.

- Unikajmy dróg, Zach. Jedźmy polami. Jeszcze lepiej byłoby lasem. Tak żeby nas nie mogli dojrzeć z odległości.

Skinał głową, przytrzymując Maisy jedną ręką, aby przypadkiem nie spadła z konia. Na myśl o bólu, jaki bandzior jej sprawił, wciąż dygotał z wściekłości.

Nagle powietrzem wstrząsnął huk. Coś świsnęło Zachowi koło ucha. Mężczyzna obejrzał się przez ramię. Nieopodal domu zobaczył Boba mierzącego ze sztucera.

- Cholera jasna, skurwiel żyje! W dodatku na podjeździe stoi drugi samochód!

Spiął konia i z całej siły zacisnął rękę wokół Maisy, gdy ten poderwał się do galopu.

Dryfowała między jawą a snem, między przytomnością a nieprzytomnością, nie wiedząc, czy to, co pojawia się w jej głowie, to są wspomnienia, obrazy ze snów, czy raczej myśli, które próbuje ubrać w słowa.

Zobaczyła Michaela, który z przygnębioną miną wrócił do domu. Źle spał tej nocy. Podejrzewała, że coś złego musiało się stać, lecz mimo to była zszokowana, kiedy wyjawiał jej prawdę.

Powiedział, że wpadł w okropne tarapaty. Że popełnił straszny błąd, że nie może się wyplatać i nie wie, co ma robić. Błagał, aby starała się go zrozumieć; tłumaczył, że potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek w życiu. A potem wyznał, że od jakiegoś czasu sypia z jedną z pacjentek.

Ktoś pogładził ją po głowie. Ktoś szepnął jej do ucha:

- Już dobrze, Maisy. Już dobrze, pani doktor. Było, minęło...

Ale nie minęło. Wcale nie minęło, pomyślała. Rana cały czas jątrzy. Dlatego pogрузyłam się w pracy. Praca daje wytchnienie. Prowadzę badania, piszę artykuły. Wygłaszając odczyt, stoję na podium, z dala pod słuchaczy. Istnieje między nami wyraźny podział, wyraźna granica. Służę radą kolegom lekarzom, nadzoruję, pomagam psychiatrom leczącym pacjentów wymagających przeprogramowania. Ale sama się nie angażuję. Nie pracuję bezpośrednio z chorymi.

- Złamał ci serce. Od tamtej pory chowasz się, boisz się zranienia.

Westchnęła. Czuła otaczające ją ciepło i pragnęła się w nie wtulić. Od śmierci Michaela nie pozwalała sobie na tak swobodny przepływ myśli.

To nie była jego wina. Michael i ja... łączyła nas przyjaźń. Byliśmy zgrani, zaprzyjaźnieni, bardzo sobie oddani. Ale nie było między nami dzikiej namiętności, gwałtownych uczuć, szaleństwa, Tego wieczoru wrócił do kochanki; powiedziałam mu, że nie może tego tak zostawić, że musi z nią porozmawiać. Wybrali się na przejażdżkę. W samochodzie Michael podał jej logiczne, racjonalne powody, dlaczego chce zakończyć ich związek. Przynajmniej taki był plan. Nie wiem, co ona do niego czuła; nie potrafię sobie wyobrazić miłości tak wielkiej, gwałtownej, niszczącej.

Łzy płynęły jej po policzkach. Dawno nie płakała.

Policja powiedziała, że to był wypadek, ale to nieprawda. Po śmierci Michaela przeczytałam jego pamiętnik. Pisał, że zaborczość i namiętność tej kobiety przerażają go. Że boi się, iż ona zabije ich

oboje, jeżeli będzie chciał z nią zerwać. Mimo to spróbował. Bo ja mu tak kazałam. Bo powiedziałam, że nie można tego tak zostawić. A ona postąpiła tak, jak się spodziewałam. Zabiła ich oboje.

- Zabiła ich oboje.

Kiedy usłyszała własny głos, tknęło ją, że może wszystkie myśli wypowiadała głośno.

Powoli zaczęło się jej przejaśniać w głowie. Zdała sobie sprawę, że leży na ziemi, w ciemnościach, pośród gęstych drzew. Zewsząd dochodziły różne dźwięki: szemranie wody, śpiew ptaków, prychnięcie konia, szept wiatru kołyszącego gałęziami. Nie, na ziemi leżały tylko jej nogi i biodra; górna połowa ciała spoczywała w czyichś silnych ramionach. Ktoś znów głaskał ją delikatnie po włosach.

- Zach? - spytała niepewnie.

- Tak, pani doktor. To ja.

Chociaż przestraszyła się jego bliskości, w sumie odetchnęła z ulgą.

- Gdzie jesteśmy?

- Uciekliśmy z rancza - odparł. - Konno. Pamiętasz? Bob do nas strzelał. Na podjeździe stał drugi samochód. Nie wiem, może wrócili Smithowie. W każdym razie szybko uporali się z rozwiązaniem Boba. Myślałem, że go zabiłem. Szkoda, że mi się nie udało.

Potrząsnęła głową. Wszystko sobie przypomniała: to, jak Bob się na nią rzucił i wściekłość Zacha, kiedy wszedł do kuchni i zobaczył, co się dzieje. Dosłownie wpadł w szal.

- Nie jesteś typem człowieka, który potrafiłby innego pozbawić życia - rzekła.

- Też tak sądziłem, ale wstąpiła we mnie żądza mordy, kiedy ten bydlak cię zaatakował. - Ujął ją za brodę i zmusił, by popatrzyła mu w oczy. - Tego się właśnie boisz, prawda? Wcale nie bliskiej relacji z pacjentem, wcale nie tego, że znów możesz przeżyć zawód miłosny, wcale nie cierpienia. Boisz się namiętności. Czujesz ją we mnie, w sobie, i wiesz, do czego może człowieka doprowadzić. Michaela i Kelly doprowadziła do śmierci. To cię przeraża, prawda?

Zamknęła oczy, bo nie mogła wytrzymać jego świdrującego wzroku.

- Dużo mówiłam?

- Owszem, dużo.

- O czym ci jeszcze opowiedziałam?

- Nie pamiętasz? Pokręciła przecząco głową.

- Więc mniejsza z tym. Ale przyznam ci się, że nie tylko ciebie przeraża cała ta sytuacja. Jestem spo kojnym, kulturalnym profesorem ekonomii. Nie mam zwyczaju dźgać nożem facetów dwa razy większych od siebie, kraść koni ani pędzić na złamanie karku z nieprzytomną ślicznotką w ramionach.

Przeniknął ją żar. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej że to cudowne uczucie jest niebezpieczne, że powinna się go wystrzegać, że najlepiej, aby wstała, otrzepała spodnie, wzięła się w garść. Zamiast tego otworzyła oczy i popatrzyła Zachowi w twarz.

- Jak na pierwszy raz całkiem nieźle sobie poradziłeś -  
oznajmiła.

Uśmiechnął się.

- O dziwo, sprawiło mi to dużą satysfakcję. Nigdy nie sądziłem, że byłbym zdolny do takich zachowań. W dodatku od paru dni leżałem słaby, bezwolny; wszystko było na twojej głowie. Moja męska duma bardzo cierpiała...

Spuściła wzrok.

- Może... może tylko o to chodzi.

- O co?

- Sam zauważyłeś, że sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, jest dość nietypowa. I dla ciebie, i dla mnie. Żadne z nas nigdy nie musiało się bić, żadnemu z nas nie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Stresująca sytuacja zwykle wyzwała silne emocje.

- Uważasz więc, że nic się między nami nie dzieje? Że to tylko nienormalna sytuacja sprawia, iż coś nas do siebie ciągnie?

- Tak - odparła, zadowolona, że wszystko zrozumiał, i zamknęła oczy.

- Nie.

- Co? - Uniosła powieki.

W odpowiedzi pochylił się i pocałował ją w usta. Przez moment opierała się, trzymała wargi zaciśnięte, ale potem rozchyliła je i zaczęła odwzajemniać pocałunek. Serce jej waliło, krew dudniła, żar przenikał członki. Drżąc na całym ciele, objęła Zacha za szyję i przytuliła się mocniej.

Oboje byli zdyszani, gdy wreszcie oderwał usta od jej warg. Bez słowa patrzyli sobie w oczy.

- Chyba się mylisz - oznajmił w końcu. - Moim zdaniem sytuacja nie ma tu nic do rzeczy. Ale przekonamy się o tym, gdy już nic nam nie będzie groziło. - Uśmiechnął się. - Coś ci zdradzę, pani doktor. Po doba mi się ten stan bezdechu i napięcia.

- A mnie nie - rzekła, ignorując dziwny prąd, jaki przebiegał jej po skórze. Wyobraziła sobie, jak się kochają w lesie, pod gołym niebem, i ponownie przeszył ją dreszcz. Serce łomotało jej, jakby było kolibrem usiłującym wydostać się z klatki. - Zach... nie jestem gotowa - szepnęła.

Westchnął cicho.

- Nie bój się, nie mam zamiaru wykorzystywać ani| twojej chwilowej niedyspozycji, ani sytuacji, w jakiej^ się znaleźliśmy. Przeżyłaś dziś prawdziwy koszmar, w dodatku jesteś ranna. Naprawdę niczego nie chciałem sugerować.

Czyżby? - pomyślała.

- Owszem, pragnę się z tobą kochać, ale nie tu i nie teraz - dodał.

- Aha.

Słyszając te słowa, poczuła się lepiej. Usiadła, uwalniając się z jego objęć. Od razu zrobiło się jej chłodniej. Wiedziała jednak, że jeśli Zach nadal będzie ją tulił, zaraz znów zaczną się całować. Chciała jego bliskości, dotyku pocałunków. Chciała, a zarazem się bała.

Rozglądając się wkoło, potarła dłońmi ramiona.

- Nie możemy rozpalić ogniska - rzekł, czytając w jej myślach. -  
Po pierwsze, chyba bez zapalki bym sobie nie poradził, a po drugie,  
jeszcze by nasi wrogowie dojrzeliby dym...

- Może trzeba było dalej jechać, nie zatrzymywać się?

- Uznałem, że koniom przyda się odpoczynek. No i tobie.

Prawdę mówiąc, wystraszyłaś mnie.

- Ja? Ciebie?

- Owszem. Porządnie huknęłaś się w głowę. Przynajmniej  
doznałaś wstrząśnienia mózgu. Taka półprzytomna paplanina to  
pewnie skutek uboczny...

Nagle poczuła ucisk wokół głowy. Podniosła rękę. Głowę miała  
obwiązaną kawałkiem materiału. Zimnym i mokrym. Zach musiał  
zamoczyć materiał w lodowatym strumyku, potem przyłożyć do rany,  
aby zmniejszyć opuchliznę i zatamować krwawienie.

- Ile czasu trwa ten nasz odpoczynek?

- Ze dwie godziny. - Zerknął na konie, które stały na polanie,  
skubiąc trawę i pijąc wodę ze strumyka. - Jak chcesz, możemy ruszyć  
w dalszą drogę.

- Chyba powinniśmy. Bob już nie jest sam. Pewnie nas ścigają.  
Zach wstał z ziemi i podał Maisy rękę.

- Dasz radę utrzymać się na końskim grzbiecie?

- Tak. Ale wsadź mnie na Grzywacza. Nie możemy dalej jechać  
razem na Siwku, bo biedak za bardzo się zmęczy.

- Jesteś pewna? No dobrze - powiedział, kiedy przytaknęła. -  
Cieszę się, że się lepiej czujesz, ale będzie mi Ciebie brakowało.



Odwróciła spojrzenie, nie wiedząc, jak zareagować. Zach przeczyścił gardło.

- A zatem...

Obejmując ją w talii, żeby przypadkiem się nie potknęła, podprowadził ją do koni. Następnie, schyliwszy się, uniósł ją w ramiona i posadził na Grzywaczu.

- Zach, ty też na siebie uważaj. Nie strugaj bohatera. Uśmiechnął się.

- Po prostu korzystam z okazji. Nie wiem, czy kiedykolwiek nadarzy się druga sposobność. - Podał jej lejce. - Psiakość, gdybym tylko miał lepszą orientację w terenie albo wiedział, w którym kierunku powinniśmy się udać.

- W dowolnym - rzekła. - Byle dalej od Boba. A gdy tylko ujrzymy ślady cywilizacji, ukryjemy konie, dojdziemy do wsi czy miasteczka na piechotę i zadzwonimy po pomoc.

- Zawsze masz przygotowany plan działania?

- Próbuję.

- Nie bawi cię spontaniczność?. Opuściła wzrok.

- Spontaniczność zwykle wiąże się z ryzykiem Nie lubię ryzyka.

- Mnie też się kiedyś tak wydawało - przyznał, do siadając Siwka.

- A teraz?

Konie szły obok siebie.

- Teraz? - Wzruszył ramionami. - Teraz zaczynam je lubić.  
Wszystko, co się z tobą wiąże, stanowi ryzyko. Również uczucie, przed którym tak bardzo próbujesz się bronić.

Miał rację. Dlatego bała się, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. I to wcale nie Boba oraz jego pomocników.

Długo nie mogła pogodzić się z rozpadem swojego małżeństwa i pozbierać się po stracie Michaela. Lecz jej uczucia do Michaela były niczym w porównaniu do emocji, jakie wzbudzał w niej Zach, którego znała zaledwie od paru dni, a wydawało jej się, że zna całe życie.

Ogień, jaki w niej rozpałił, trawił ją od wewnątrz. To ją przerażało o wiele bardziej niż groźby Boba.

Powoli zapadał zmierzch. Jechali gęsiego, Zach z przodu, jakby wiedział, w jakim należy podążać kierunku, ona za nim. Oczywiście kierunek pozostawał niewiadomą. Po prostu wędrowali przed siebie leśną ścieżką udeptaną przez zwierzęta, z każdą minutą coraz mocniej odczuwając zmęczenie.

- Tak sobie myślę, że póki mamy siłę jechać dalej, to warto skorzystać z osłony lasu i maksymalnie zwiększyć dystans między nami a Bobem - powiedział Zach, świadom, że jego „plan” brzmi beznadziejnie.

- Myślałam o tym samym.

- Serio?

- Tak. W końcu będziemy musieli się zatrzymać, przespać kilka godzin, ale wolałabym zasnąć jak najdalej od rancza Smithów.

Pokiwał głową, zadowolony, że ich myśli biegną podobnymi torami.

- Ziemia jest tu dość twarda. Nie sądzę, aby konie zostawiały ślady.

- Może tylko te śmierdzące, ale akurat na to nic nie poradzimy. Miejmy nadzieję, że Bob zaprzestał pościgu.

Obejrząwszy się przez ramię, Zach posłał jej uśmiech.

- Niestety, na to nie możemy liczyć.

- Wiem.

Jechali dalej krętą ścieżką; kiedy się rozwidłała, zawsze wybierali drogę, która wydawała się dziksza, mniej uczęszczana. Tam, gdzie rosły starsze drzewa i las był rzadszy, skręcali ze ścieżki i wolno przedzierali się przez krzaki.

Trasa wiodła pod górę. Zach nie wiedział dlaczego, ale instynkt mu podpowiadał, że powinni udać się jak najwyżej. Maisy nie protestowała, więc chyba słusznie kombinował. Po jakimś czasie ujrzał widoczną w świetle księżyca ciemną plamę w stromym zboczu, do którego się zbliżali.

- Czy to...

- Grota?

Przeszył go dreszcz. To naprawdę niesamowite. Rozumieli się bez słów, myśleli podobnie, nawet kończyli za siebie zdania.

- Sprawdźmy - powiedział.

Podjechawszy bliżej, zatrzymali się przy strumyku, który płynął w poprzek drogi. Konie natychmiast opuściły łby, by się napić.

- Niech odpoczną. Popilnuję je.

- W porządku.

Zeskoczyli na ziemię. Zach podał Maisy lejce, po czym rozejrzał się, nasłuchując uważnie. Żadnych podejrzanych dźwięków nie słyszał, jedynie naturalne odgłosy lasu, ptaków nocnych, wiatru.

- Wołaj, gdybyś mnie potrzebowała.

- Musiałabym zacząć już teraz.

Poczuł ucisk w piersi. Maisy nie flirtuje, mówi szczerze. I to go ujęło.

- Postaram się wrócić jak najszybciej - obiecał. Przeskoczył przez strumyk i ruszył pod górę. Szedł wolniej, niżby chciał. Ale zbocze wznosiło się stromo i mimo świecącego na niebie księżyca trudno mu było znaleźć oparcie dla stóp. Wreszcie dotarł do celu.

Tak, była to niewątpliwie grotka. Żałował, że nie ma czym jej oświetlić. Zamierzali z Maisy wymknąć się w nocy, a dzień spędzić na gromadzeniu potrzebnych zapasów: zapalek, wody, jedzenia, koców.

Musieli jednak błyskawicznie zmienić plany i opuścić ranczo, nie czekając do wieczora. Nie zdążyli niczego ze sobą zabrać; na szczęście mieli konie, ale to wszystko.

Przez chwilę stał w progu, czekając, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, po czym wszedł głębiej, badając ściany dłońmi. Drugiego wyjścia nie wymacał. Grotka była duża, znacznie większa, niż potrzebowali. Zmieściliby się razem z końmi, tyle że koni nie dadzą rady wprowadzić po stromiźnie.

Wrócił z powrotem do wyjścia. Jakieś siedem metrów niżej Maisy Dalton stała, trzymając lejce. Zwierzęta najwyraźniej zaspokoily pragnienie, bo teraz skubały trawę. Ze swojego punktu obserwacyjnego miał świetny widok na całą okolicę. Z powodu ciemności niewiele widział, ale w ciągu dnia może zdoła dojrzeć jakieś zabudowania. Tak, to miejsce jest doskonałe. W dodatku kilka metrów za Maisy, za gęstą kępą sosen, wypatrzył niedużą polankę, na której mogą zostawić na noc konie.

Zaczaj schodzić. W pewnej chwili pośliznął się na mokrym kamieniu i omal nie upadł. Na szczęście odzyskał równowagę i bez dalszych przygód pokonał resztę drogi.

- Mieliliśmy rację, to grota - rzekł, wróciwszy do Maisy, - Całkiem sporych rozmiarów. Powinniśmy w niej przenocować. Będziemy osłonięci od deszczu i wiatru.

- A konie? - spytała.

- Wypatrzyłem dla nich idealne miejsce. Chodź, pokażę ci.

Wziął od niej lejce Siwka i ruszył przodem, szukając przejścia w sosnowym murze. Maisy z Grzywaczem podążyli za nim. Wreszcie znalazł. Odgarnął gałęzie. Oczom Maisy ukazała się malutka polana otoczona gąszczem drzew.

- Co za cudowna kryjówka. Właśnie się zastanawiałam, co z nimi zrobimy.

- Tu ich nie będzie widać.

Przywiązał konie do gałęzi, tak by miały odrobinę ruchu i mogły dojść do przepływającego przez polanę strumyka. Kiedy skończył, zobaczył, że Maisy kiwa z uznaniem głową.

- I co? Może być? - spytał. Ponownie skinęła głową.

- Świetnie. - Pogładziła Siwka po szyi. - Nie są spocone. Ani za bardzo zmęczone, bo jechaliśmy dość wolno. Noc zapowiada się ciepła... Tak, powinno być im tu dobrze. - Poklepała konia po zadzie i spojrzała na Zacha. - Nieźle sobie radzisz w głuszy.

- Zdaję się na instynkt.

- Pozazdrościć takiego instynktu.

- Czy ja wiem?

- Odzyskaliśmy wolność. Morderca erotoman uzbrojony w sztucer i wściekłego psa już nas nie więzi w swoim domu... A to wszystko twoja zasługa.

Wciągnął do niej rękę, ona podała mu swoją, i razem wrócili przez sosnowy las do stromego zbocza góry.

- Idź pierwsza - powiedział, puszczając ją. - Jeśli się potkniesz, będę za tobą i cię złapię. Trudno znaleźć oparcie dla stóp, trzeba macać, szukać... Po prostu się nie spiesz. Wspinaj się powolutku i pamiętaj, że jestem tuż obok.

Ruszyła pod górę. Od czasu do czasu Zach wskazywał jej szczeliny, miejsca, o które mogła zahaczyć stopę. Skaliste zbocze stawało się coraz bardziej strome, wędrówka coraz trudniejsza.

Szedł za nią, gotów w każdej chwili ją złapać, gdyby straciła równowagę. W pewnym momencie faktycznie się pośliznęła, na tym

samym kamieniu co on, gdy schodził. Błyskawicznie wyciągnął ręce i przytrzymał ją za biodra.

- Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić - powiedział, nie puszczając jej. - Akurat w tym miejscu jest strasznie mokro.

- To prawda. - Zmrużyła oczy. - Bije tu źródło, wiesz? Woda wypływa spomiędzy kamieni. - Schyliwszy się, przysunęła dłoń do ust. - Mmm, pyszna. Słodka i zimna.

- Dzięki Bogu. Strasznie mi się chce pić. Maisy wznowiła wędrówkę. Po chwili dotarła do skalnego występu przed wejściem do groty.

Przystanąwszy przy źródle, Zach zaspokoił pragnienie, po czym dołączył do niej.

- Dziwnie tu - szepnęła, zaglądając do środka. - Nie grozi nam żadne spotkanie trzeciego stopnia?

- Z kim, pani doktor? Z niedźwiedziem? W tej części Stanów nie ma niedźwiedzi.

- Wiem. Ale żyją tu pumy... O tym nie pomyślał.

- Zapuściłem się dość głęboko. - Wzruszył ramionami. - Nic mnie nie pożarło.

- To już coś. - Weszła ze dwa metry do środka, gdzie już nie sięgało światło księżyca. - Dalej nie dam rady.

- W porządku. Tyle starczy. Jesteśmy osłonięci przed wiatrem i wzrokiem ludzkim.

Usiadł i oparł się plecami o chłodną ścianę. Maisy wzięła z niego przykład i usiadła obok.

- Szkoda, że nie możemy rozpalić ogniska, podgrzać sobie czegoś do jedzenia. Nawet nie mamy koca.

Przepraszam, powinienem był pomyśleć o tym, zanim ruszyliśmy w drogę.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Oboje wiemy, do czego się Bob przymierzał - powiedziała cicho. - Uratowałeś mnie od gwałtu, Zach. Może nawet od śmierci.

Otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Może rano zorientujemy się, gdzie jesteśmy i w którą stronę iść.

- Sądysz, że ruszyli za nami w pościg? Skinął głową.

- Tak. Myślę, że wiadomość o moim zniknięciu dostała się do prasy. Brat i ja rozmawiamy z sobą prawie codziennie. Na pewno zaniepokoił się, kiedy nie oddzwoniłem do niego. Normalnie prasa by o mnie nie pisała, ale ponieważ Jake pomaga w rozwikłaniu tej afery z Bankiem Światowym... Agnes z Oliverem musieli się skapować, że mają niewłaściwego faceta. Jeżeli to oni wrócili na ranczo...

- Nawet jeśli to nie byli oni, Bob i tak o wszystkim już wie. W gazecie, którą niósł ze stodoły, wydrukowano tę wiadomość na pierwszej stronie. - Maisy zadrżała i przytuliła się mocniej do Zacha. - Nie zamierzali puścić cię wolno, prawda?

- Sądząc po materiale wybuchowym w twoim samochodzie, ciebie też nie - odparł.

- Zabiliby nas, a potem staraliby się dopaść twojego brata.

- Muszę go uprzedzić. Jeśli oni pierwsi do niego dotrą...



Utkwiła w nim zatroskane spojrzenie.

- Nie pomyślałam o tym. Boże, Zach, wyobrażam sobie, co przeżywasz.

- Na szczęście Jake to twardziel. I ma na tyle rozumu, że będzie uważał. Zwłaszcza teraz, gdy wie o moim porwaniu.

- Miejmy nadzieję.

- Nic innego nam nie pozostało. No dobra, spróbujmy się przespać, zebrać na jutro siły.

Skinęła w ciemności głową. Zach wyciągnął się na twardej ziemi, Maisy również. Leżeli razem, przytuleni. Obejmując ją, powtarzał sobie, że jest dżentelmenem, że wartości, jakie wyniósł z domu, nie pozwolą mu na żadne nieprzystojne zachowanie. Jednakże instynkt mówił mu co innego.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zgodnie z instrukcją, o północy Jake stał w ciemności na mostku, czekając na pojawienie się tajemniczej autorki pachnącego fiołkami listu. Był to nieduży drewniany mostek, niemalże kładka, nad strumykiem w parku Greenlaurel, mniej więcej trzy kilometry od parkingu. Wsiadłszy z samochodu, zauważył, że wokół jest pusto. Teraz, gdy stał na mostku, zastanawiał, czy mądrze zrobił, przyjeżdżając tu sam jeden w środku nocy.

Był silny, wysportowany; wydawało mu się, że gdyby do czegoś doszło, dałby sobie radę. Na wszelki wypadek wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wcisnął przycisk, oświetlając ekranik. Znajdował się poza zasięgiem operatora sieci.

Wyciągnął antenę, podniósł telefon wyżej, opuścił go. Bez rezultatu. Powinien był się domyśleć, że w lesie nie będzie mógł korzystać z komórki.

Nagle usłyszał za sobą szelest. Obrócił się. Stał bez ruchu, czekając w napięciu. Na niebie świecił księżyc, ale w jego mlecznym blasku widać było tylko kilka metrów ścieżki; resztę skrywały gałęzie drzew.

Znów rozległ się szelest. Potem kroki i trzask nadepniętej gałązki.

Psiakrew, może powinien był zabrać z sobą broń.

Kroki, kilka szybszych i znów wolniejsze. I... tak, sapanie. Właściwie węszenie. Kolejny krok, jeszcze jeden. Powoli w mroku ukazał się kształt.

Jake odprężył się. Wypuścił z płuc powietrze - nawet nie zdawał sobie sprawy, że je wstrzymuje - i uśmiechnął się pod nosem. Sarna. Przestraszył się sarny!

No dobrze, ale gdzie się podziewa autorka listu? Kobieta, która wyznaczyła mu spotkanie? Spojrzał na zegarek. Żałując, że nie ma fosforyzujących wskazówek, próbował ustawić rękę tak, by w świetle księżycy odczytać godzinę.

Dwadzieścia po dwunastej. Jest dwadzieścia minut spóźniona. A może obserwuje go z ukrycia? Może chce się upewnić, że przyszedł sam, tak jak go o to prosiła? Wiedział, że ryzykuje, zjawiając się bez obstawy. Zwłaszcza że nikomu nie mówił o liście ani o tym, dokąd się wybiera.

Jeżeli jednak spotkanie w lesie ma związek z porwaniem brata, Jake gotów był podjąć ryzyko.

Naraził się, między innymi, na gniew Tary. Boże, ależ ona była wściekła. Wpadła w szal, kiedy powiedział jej, że prawdopodobnie znów będą musieli przełożyć datę ślubu. Spodziewał się, że słysząc o porwaniu Zacha, Tara choć trochę się opamięta, że zrozumie, ile on, Jake, ma na głowie i w jakim żyje stresie. Nie zrozumiała.

Właściwie nie powinien się jej dziwić. Nie pierwszy raz przesuwiał termin ślubu. Ale cały świat liczył na niego, na to, że zdoła rozwikłać sprawę kradzieży. Porażka może pociągnąć za sobą groźne skutki ekonomiczne, załamanie się rynków finansowych. Jakby tego było mało, zniknął bez śladu jego ukochany brat. On, Jake, zbyt wiele miał na głowie; z czegoś musiał zrezygnować.

Mógł zrezygnować tylko ze ślubu.

Tara uważała, że przesunięcie terminu oznacza, iż małżeństwo znajduje się na samym końcu jego listy priorytetów. Może i tak. Kolejnej rewolucji w swoim życiu na pewno by w tej chwili nie zniósł.

Wzdychając ciężko, oparł się o barierkę. Zamierzał czekać do skutku.

Nie była pewna, jak długo spała, ale że udało jej się zasnąć, nie ulegało wątpliwości. W przeciwnym razie nie owinęłaby się wokół Zacha. Leżeli na bokach, twarzami do siebie. Jedną nogę miała wsuniętą pomiędzy jego kolana, drugą zarzuconą na jego udo. Stykali się brzuchami, biodrami. Twardość, jaką wyczuwała przy swoim podbrzuszu, uzmysłowiła jej, że Zach również się obudził.

Otworzywszy oczy, zobaczyła, że badawczo się w nią wpatruje. Żadne z nich się nie ruszyło. Maisy bała się drgnąć. Jednak wiedziała, że powinna. Pozycja, w jakiej leżeli, była niezwykle intymna.

- Maisy? - szepnął Zach.

- Tak?

- Muszę cię pocałować.

- Mmmm.

Przycisnął usta do jej ust. Nie był to niewinny, delikatny pocałunek. Był gorący, namiętny.

Odwzajemniała pieszczoty, ruchy bioder. Całym ciałem informowała Zacha, że nie chce dłużej walczyć sama z sobą; że jest

gotowa i pragnie się z nim kochać. W ciemności groty zdzierali z siebie ubranie.

- Chryste, dlaczego tu tak ciemno! Chciałbym cię nie tylko czuć, ale i widzieć.

Ona jednak cieszyła się z mroku, choć nie powiedziała tego na głos. Zresztą nie miałyby czasu nic powiedzieć, bo Zach przywarł ustami do jej piersi. Leżeli całkiem nadzy, chłodzeni nocnym powietrzem, a jednocześnie rozgrzewani żarem własnych ciał.

- Tak dawno... tak długą miałam przerwę - wyszeptała.

Gdy w nią wszedł, na moment wstrzymała oddech. Po chwili wszedł głębiej. Ruszali się razem, jednym wspólnym rytmem. Miała wrażenie, że traci kontrolę nad własnym ciałem. Że jest instrumentem, na którym Zach gra melodię. A był wspaniałym muzykiem, sprawnym, niezwykle utalentowanym. Wiedział, kiedy pociągnąć jaką strunę i kiedy nacisnąć jaki przycisk, aby wywołać pożądany efekt. Maisy wiła się z rozkoszy, zduszonym głosem wołając jego imię. Przeżyła najcudowniejszą rozkosz na świecie. Zach zadrżał, po czym szybko wysunął się z niej. Zdumiona, chciała go w sobie zatrzymać, ale nagle zrozumiała. Chroni ją przed niepożądaną ciążą. Sturlał się obok na ziemię i obejmując Maisy, gładził ją po ramionach, plecach, biodrach.

- Dziękuję - szepnęła. Przytulił ją mocniej.

- Nie, kotku. To ja dziękuję.

- Zach...

- Słucham, maleńka?

- Wiesz, ja... nie chcę... nie jestem gotowa... Odsunął się i popatrzył jej w twarz, chociaż w otaczającym ich mroku prawie nic nie widział.

- Na co nie jesteś gotowa? Na związek ze mną?

- Nie chodzi o ciebie. To się stało tak nagle... po prostu potrzebuję czasu...

Przez dłuższą chwilę milczał, wreszcie spytał:

- Czyli to była jednorazówka? Seks dla sportu? Zraniły ją jego słowa. Zesztywniała.

- Nie wiem o jednorazówce ani nie uprawiam seksu dla sportu. To był mój pierwszy raz od trzech lat.

- Przepraszam, nie powinienem był tego mówić. Wiem, że nie traktujesz tych spraw lekko. Ja też nie. Nie powinienem był cię...

- Nie, Zach. - Przytknęła palec do jego warg. - Nie zrozum mnie źle. Nie żałuję tego, co się stało. Pragnęłam cię równie mocno, jak ty mnie. Martwię się jedynie, co dalej.

Pogładził ją po włosach.

- Co dalej? To znaczy martwisz się, że mógłbym wziąć cię w ramiona i znów się z tobą kochać?

Pocałował ją; żarliwie odwzajemniła pocałunek.

- Nie - szepnęła, przerywając na moment. - Tym się nie martwię. O tym marzę.

- Zatem martwisz się przyszłością? Zmianami, które uczucie za sobą pociąga? Tym, kim dla siebie będziemy?

- Tak. Bo kiedy wrócimy do prawdziwego świata, do normalnego życia, w którym nie czyhają żadne niebezpieczeństwa, to... to może się okazać, że...

- Nic się nie okaże, Maisy. Będzie pięknie, zobaczysz. A kim dla siebie będziemy? To zależy tylko od nas.

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Masz rację - przyznała, całując go w obojczyk, po czym westchnęła głęboko. - Ale na razie musimy się skupić na sprawach bieżących. Na tym, żeby wydostać się stąd bezpiecznie i ostrzec twojego brata. Wszystko inne musi poczekać. Nie umiem teraz myśleć o nas, o uczuciach, o...

- Boisz się, prawda? Wcale ci się nie dziwię. Też się boję. Ale wiem, że to, co nas łączy, nie jest ulotną fascynacją. - Pogładził ją lekko po policzku. - Pewnie gdybym przeżył to, co ty, również miałbym opory i wahania. Dlatego nie będę cię ponaglał. Po prostu będę czekał, aż zrozumiesz, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Naprawdę? Zrobiłbyś to dla mnie?

- Tak, maleńka. Więc jeśli chcesz się przytulić i iść spać, to śmiało. Nie musisz się mnie obawiać.

Pocałowała go w usta.

- Wcale nie jestem śpiąca - szepnęła kusząco.

Nadszedł świt. W nocy, kiedy ich rozgrzane ciała ostygły, ubrali się pośpiesznie i ponownie w siebie wtulili. Maisy zasnęła kamiennym snem.

Zach już do rana nie zmrużył oczu. Leżał, trzymając ją w ramionach i zastanawiając się, jak sobie poradzą. Czy zdołają bezpiecznie dotrzeć do jakiejś wioski i zatelefonować po pomoc, czy przeciwnie, będą błądzić po bezdrożach, aż wreszcie padną głodni i wyczerpani. Czy zdołają umknąć swym prześladowcom, czy też wrogowie odnajdą ich i zabiją?

A jeżeli wyjdą cało z opresji, to co wtedy? Czy strach, jaki Maisy odczuwa przed bliskością i zaangażowaniem, nie zaważy negatywnie na ich losie? Czy nie okaże się silniejszy od miłości?

Patrzył na śpiącą kobietę, jakby chciał ją zahipnotyzować, przez sen zmusić, aby mu zaufała. Zdawał sobie sprawę, że ktoś taki jak ona, boleśnie doświadczony przez los, potrzebuje czasu na wyleczenie swych ran. I że zdobycie jej zaufania będzie wymagało od niego nie lada wysiłku. Choć w kontaktach z porywaczami i gwałcicielami sprawiała wrażenie silnej, wiedział, że w głębi duszy jest krucha i delikatna. I nie wytrzymałaby kolejnego rozczarowania.

Może miała rację, bojąc się tempa, w jakim się to wszystko dzieje. Może powinien zwolnić, rozejrzeć się wkoło, mieć sto procent pewności, że jego uczucie jest autentyczne, zanim przystąpi do natarcia.

Choć sądząc po ostatniej nocy...

Zamknął oczy, starając się stłumić falę pożądania. Na samo wspomnienie pocałunków i pieszczot miał ochotę rzucić się na Maisy, zapomnieć o problemach, o otaczającym ich świecie. Wiedział, że



czeka go ciężka przeprawa, że niełatwo mu będzie zapanować nad pożądaniami.

Otworzywszy ponownie oczy, wyrżał na zewnątrz. Gdy tak leżał, obejmując Maisy, horyzont stawał się coraz bardziej wyraźny. Wreszcie nad jego krawędzią wychyliła się ognista kula, barwiąc niebo na wschodzie zapierającymi dech w piersi kolorami. Nawet pojedyncze chmury, musnięte promieniami słońca, przybrały odcień fioletu, różu i żółci.

- Pani doktor...

- Mmm?

- Przewróć się, musisz to zobaczyć. Zdziwiona uniosła powieki, po czym posłusznie obróciła się na bok.

- Och - szepnęła zachwycona.

Siedzieli objęci, podziwiając wspaniały spektakl. Widok był tak porywający, że Zach prawie całkiem zapomniał o pożądanym, które towarzyszyło mu przez pół nocy.

Kiedy słońce wyłoniło się znad widnokregu i zawisło na niebie, swymi ciepłymi promieniami oświetlając wnętrze groty, Zach cofnął rękę z talii Maisy i dźwignął się na nogi.

- Pewnie jesteś głodna?

- A ty nie?

- I to jak! Mógłbym zjeść konia z kopytami. Roześmiała się.

- Wprawdzie konia mamy, a nawet dwa, ale szkoda byłoby ich na śniadanie. - Po chwili spoważniała. - Ciekawe, jak daleko jesteśmy od cywilizacji?

Podszedł na skraj groty i wyrzwał na zewnątrz. Maisy stanęła obok. Niczego nie widział, tylko drzewa, drzewa i jeszcze raz drzewa. Zadarł głowę. Grota znajdowała się mniej więcej w połowie zbocza.

- Mógłbym wspiąć się na szczyt...

- To niebezpieczne.

- Będę ostrożny. Wiesz co? Ty zejź do koni, a ja sprawdzę widok z góry.

Chciała się sprzeciwić. Ale nie było sensu krążyć w kółko po lesie, nie wiedząc, w którą stronę się udać. Gdyby zdołał cokolwiek z góry dojrzeć, zorientować się, gdzie się kończy las...

Skinęła zrezygnowana głową, po czym wolno ruszyła w dół, po drodze zatrzymując się przy źródelku. Śledził ją wzrokiem, dopóki nie stanęła na równym gruncie. Napotkała jego spojrzenie. Nie zamierzała przedzierać się przez gąszcz sosen, by dojść do koni na polanie, dopóki on bezpiecznie nie dotrze na szczyt.

Wysunął się ostrożnie na skalny występ i zaczął się wolno wspinać. Od czasu do czasu wydawało mu się, że to już koniec, że wyżej nie da rady, że nie ma gdzie zahaczyć nogi, ale potem znajdował kolejne oparcie i podciągał się kolejny metr do góry.

Żmudna, powolna wspinaczka zakończyła się sukcesem. Zach wyprostował się, po czym spojrzwał w dół na Maisy, która wciąż stała z zadartą głową. Pomachała. Pomachał w odpowiedzi, a następnie odwrócił się i popatrzył w przeciwną stronę.

Liczył na to, że gdzieś w oddali zobaczy wieżę kościelną albo stodołę. Zabudowań żadnych nie było, dostrzegł natomiast... Tak, to

jest droga, nie asfaltowa, raczej polna, używana przez drwali. Albo tak zwany pas przeciwpożarowy, czyli pas wykarczowanej lub zaoranej ziemi utrudniającej rozprzestrzenianie się ognia.

W każdym razie łatwiej będzie jechać tędy, pomyślał Zach, niż przedzierać się przez iglasty gąszcz. Przypuszczalnie droga doprowadzi ich na skraj lasu. Nagle wyteńczył wzrok. Coś się tam porusza...

Samochód. Zielony wóz terenowy.

Ten sam, który stał na podjeździe przed domem, kiedy uciekali z rancza.

Obejrzał się za siebie, ale nie dojrzał nigdzie Maisy. Niewiele się zastanawiając, ruszył pośpiesznie w dół zbocza; chciał ją uprzedzić, że wróg się zbliża.

Na dole też jej nie było. Widocznie uznała, że z zejściem nie będzie miał problemów i poszła do koni.

Skierował się w stronę sosnowego muru. Przedzierając się między drzewami, po chwili wyszedł na polanę. Na widok Maisy stanął jak wryty. Do skroni miała przytknięty rewolwer.

Osobą trzymającą rewolwer był Bob. Drugą ręką obejmował Maisy w pasie.

- Nie doceniłem cię, Bob - rzekł Zach, starając się stłumić wściekłość i strach. - Nie sądziłem, że jesteś na tyle inteligentny, aby nas wytropić.

- Miałeś rację - oznajmił żeński głos. Obróciwszy się w lewo, Zach ujrzał Agnes, która szła w jego stronę, także ściskając w ręce

broń. Z prawej zaś dostrzegł Olivera, który stał bez ruchu, uzbrojony, lecz z miną jednoznacznie wskazującą na to, że wolałby teraz być daleko stąd.

- Miło cię znów widzieć, panie Ingram - powiedziała Agnes. -  
Panie Zachary Ingram.

Zach skupił na niej uwagę, instynktownie wyczuwając, że Agnes Smith jest znacznie bardziej groźna i nieobliczalna aniżeli towarzyszący jej mężczyźni. W wolnej ręce trzymała gazetę.

- Wszyscy o tym trąbią. O zniknięciu Zacha, brata słynnego finansisty Jake'a. Policja nie wyklucza porwania.

- Czyli słusznie podejrzewałem, że chodzi wam o mojego brata.  
Ale dlaczego?

Agnes wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Gdybym ci powiedziała, musiałabym cię potem zabić. -  
Przechyliła w bok głowę. - Właściwie to i tak muszę cię zabić. Ale mimo to nie powiem ci. Za dużo sprawiasz mi kłopotów. Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak bardzo jestem zajęta.

Zach wzruszył ramionami.

- Trzeba było wynająć lepszych pomocników.

- To prawda - przyznała Agnes, spoglądając z pogardą na Boba.  
- Na miłość boską, przestań macać jej cycki i zwiąż ją. Nie mamy całego dnia!

Zach przesłał bandziorowi mordercze spojrzenie. Bydlak zaciskał łapę na piersi Maisy. Zapłaci za to! Już on, Zachary Ingram, się o to postara.

- Rusz się! - warknęła kobieta do swego męża. - Pomóż mu.

Zbliżając się do Maisy, Oliver wycelował w nią broń. Bob tymczasem schował rewolwer za pasek u spodni, po czym wyjął z plecaka kajdanki. Po chwili skrepował jej ręce na plecach.

- Jak nas znaleźliście? - spytał Zach.

- Och, mamy swoje sposoby - odparła Agnes. Na widok niedużego samolotu Zach zadarł głowę.

Nagle przypomniał sobie, że kiedy wczoraj wędrowali konno, kilkakrotnie widział przelatujący samolot. Czyli w całą sprawę zamieszanych było więcej osób. Przypuszczalnie ktoś dojrzał ich - lub raczej ich konie - z powietrza i poinformował o tym Smithów.

- Taki kawał pokonaliście pieszo?

- Pieszo pokonaliśmy tylko krótki odcinek od sa-mqchodu. Strasznie krętą trasę obralście, Ingram. Myśmy po prostu wsiedli w auto, przyjechali na miejsce, doszli do polanki i czekali, aż wrócicie po konie. Dziecko by się lepiej schowało.

Czyli tak jak się obawiał, zielona terenówka, którą widział ze szczytu wzgórza, należała do nich.

- No, ruszamy. Macie iść grzecznie, cicho, nie biec. Słyszysz, Ingram? Jeżeli choć kichniesz, każę Bobowi strzelić miłej pani doktor prosto w łeb.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. Puśćcie ją -poprosił.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Zamierzacie nas zabić, prawda? Czy będziemy posłusznie wykonywać rozkazy, czy nie, i tak zginiemy?

- Brawo, Ingram! Co za przenikliwość. Wolałabym jednak załatwić was na ranczu. Tam przynajmniej mamy łopaty, żeby was zakopać. Ale jeśli mnie zmusicie, możecie rozstać się z życiem i tutaj.

Popatrzył Agnes prosto w oczy.

- Wiesz, Agnes, nie lubię cię. I nie widzę powodu, aby ci cokolwiek ułatwić. Dlatego wybieram drugą opcję. Zginiemy w lesie. Strzelaj.

Scandalous

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Maisy nie mogła uwierzyć własnym uszom, a tym bardziej własnym oczom. W jednej chwili Oliver trzymał ją na muszce, Bob usiłował skuć jej ręce kajdankami, Agnes zaś mierzyła z broni w Zacha. A w następnej Zach z taką siłą pociągnął za lufę, że kobieta z głośnym krzykiem upadła na ziemię. Słyszając jej ryk, Oliver odwrócił głowę i rewolwer w kierunku żony. W tym samym momencie Zach wycelował sztucer w stojącą nieopodal trójkę. Maisy instynktownie osunęła się na kolana, a Zach pociągnął za spust.

Usłyszała za sobą jęk: Bob zwałił się z hukiem na ziemię. Wystraszone konie stanęły dęba. Oliver tkwił bez ruchu, z bronią skierowaną w drzewo. Lufa sztucera wycelowana była w jego pierś.

- Oliver, rzuć broń! - warknął Zach.

Oliver posłusznie wykonał polecenie. Agnes usiłowała się podnieść. Zach nie mógł patrzeć w prawo i w lewo naraz, pilnując oboje małżonków. Maisy poderwała się szybko na nogi, chwyciła leżący na trawie rewolwer Olivera i podbiegłszy do Zacha, wycelowała broń w Agnes.

- Przejdź tam, do niego! - rozkazała. Agnes zastygła z ręką zaciśniętą na kamieniu.

- Zostaw kamień i wstawaj! - krzyknęła Maisy. -No już!

Agnes w końcu dźwignęła się z ziemi, otrzepała spodnie i podeszła do Olivera, mamrocząc pod nosem coś o bezużytecznych pomocnikach.

- Nie spuszczaaj ich z oczu - powiedział do Maisy Zach. - Chcę sprawdzić, co z Bobem.

- Ostrożnie, Zach. On wciąż ma broń.

Skinąwszy głową, Zach podszedł do wielkiej, nieruchomej góry mięsa. Bob leżał z twarzą wciśniętą w ziemię.

Agnes drgnęła, jakby chciała postąpić krok naprzód. Maisy natychmiast skupiła na niej uwagę.

- Stój! Dokąd to?

- A ty się w ogóle umiesz posługiwać gnatem? -W głosie Agnes pobrzmiwała drwina.

Maisy nie umiała, ale nie zamierzała się do tego przyznawać. Przesunęła rękę z rewolwerem nieco w prawo i pociągnęła za spust. Rozległ się ogłuszający huk. Przerażone konie znów wierzgnęły - sznur, którym były uwiązane do drzewa, zerwał się - i po chwili znikły z pola widzenia. Z drzewa tuż obok Agnes i Olivera posypała się kora. Oczywiście Maisy nie celowała w drzewo, a tym bardziej w drzewo, pod którym stali Smithowie, ale do tego też się nie przyznała.

- Przekonałam cię, Agnes?

Zach zwolnił na moment i obejrzał się za siebie, po chwili jednak skoncentrował się na swoim zadaniu. Celując z broni w nieruchomą postać, trącił ją czubkiem buta.

- Bob? Obudź się. No, stary, nie udawaj trupa. Nie doczekawszy się reakcji, westchnął głośno, po czym schylił się i przewrócił bandziora na wznak. Maisy wiedziała, że nie powinna spuszczać oczu z Agnes, ale nie potrafiła powściągnąć ciekawości. Dobrze, że



zerknęła na mężczyznę, bo Zach wpatrzony w powiększającą się plamę krwi na piersi Boba, nie zauważył, jak ten podnosi lewą rękę z rewolwerem.

- Zach, uważaj!

Wycelowała w Boba, ale bała się strzelić, by nie trafić w Zacha. Widząc, że Bob w niego mierzy, Zach czym prędzej odskoczył w bok. Zdażył w ostatniej chwili. Maisy dłużej się nie wahała. W ciągu zaledwie paru minut po raz drugi pociągnęła za spust. Zach przetoczył się dwa metry po trawie i na wszelki wypadek sam również wycelował.

Nie było to potrzebne. Kula Maisy przedziurawiła Bobowi czoło i wyszła z tyłu głowy.

Maisy zaczęła dygotać na całym ciele. Nogi miała jak z waty. Po chwili kolana się pod nią ugięły i niczym szmaciana lalka osunęła się na ziemię.

W okamgnieniu znalazł się przy niej Zach. Wyjąwszy jej z dłoni rewolwer, wsunął sobie za pasek u spodni.

- Spokojnie, pani doktor, .wszystko będzie dobrze. Nie denerwuj się. Nie miałaś wyboru.

- Zabiłam go - szepnęła. - Boże, Zach, zabiłam go. Poglaskał ją po włosach, po czym zwrócił się do

Smithów:

- Gdzie macie kluczyki do samochodu?

- Zostawiliśmy w stacyjce - odparła Agnes.

- Mam cię przeszukać?

Oliver szybko wsunął rękę do kieszeni i wydobył klucze.

- Cholera jasna! - zezłościła się Agnes. - Coś ty taki posłuszny?

Oliver zmierzył żonę gniewnym wzrokiem.

- To oni, kochana, mają broń. Nie my.

W odpowiedzi Agnes westchnęła ciężko i skrzyżowała ręce na piersi.

Zach wrócił do Boba, podniósł z ziemi kajdanki, którymi ten chciał skuć Maisy, następnie podszedł do zagniewanych małżonków. Jedną obręcz założył na przegub Agnes, po czym skierował na nią broń.

- Przerzuc rękę nad gałęzią - rozkazał. - No, rusz się.

Z nachmurzoną miną wykonała polecenie. Zach skinął na Olivera.

- Teraz ty. Podejdz tam i zatrzaśnij drugą obręcz na swojej ręce.

Sprawdziwszy, czy kajdany są dobrze zapięte, Zach wrócił do Maisy, która siedziała na trawie, w milczeniu obserwując wszystkie jego poczynania. Dopiero kiedy kucnął obok niej, zobaczyła krew na jego ramieniu. Natychmiast ocknęła się z letargu, w jaki popadła po zabiciu Boba.

Przerażona, poderwała się z miejsca.

- Zach! Rany boskie, krew!

- To nic takiego. Kula lekko mnie drasnęła w ramię. Nic się nie stało.

- Jak to nic?

Oderwała pasek materiału z koszuli Zacha i obwiązała nim krwawiące ramię.

- Nic mi nie jest, Maisy. Chodź. Musimy się stąd wydostać.

- Mógł cię zabić - szepnęła.

- Mógł. Ktoś musiał zginąć. Albo on, albo my. Nie mieliśmy wyboru.

- Wiem.

Patrząc w oczy Zacha, uświadomiła sobie, co zrobił. Że zaryzykował własne życie, aby ona mogła żyć. Gdyby nie on, oboje byliby już martwi.

Zabrawszy ze sobą całą broń, ruszyli przez las.

- No proszę, jak ładnie wytyczyli nam ścieżkę - powiedziała Maisy, drepcząc za Zachem.

Faktycznie, gdzieś tam leżały na ziemi gałęzie ścięte przez trójkę przestępców.

- Raczej sobie. Liczyli, że będą tędy wracać do samochodu. Prowadząc nas pod bronią. Albo sami bez nas.

- Boże, nie mogę uwierzyć... O mały włos... - Westchnęła ciężko.  
- Niewiele brakowało, a leżelibyśmy tam martwi. Może za pół roku, a może za rok jakiś myśliwy przypadkiem odkryłby nasze szczątki.

Przystanawszy, obrócił się do niej twarzą.

- Staraj się o tym nie myśleć. Masz rację, mogło się dla nas źle skończyć, ale na szczęście tak się nie stało. I to jest najważniejsze. - Uścisnął ją za ramię, chcąc jej dodać otuchy. - Żyjemy, pani doktor.

Przymknęła powieki.

- Wiem.

- I będziemy żyli.

Skinęła energicznie głową. Nagle zmarszczyła czoło.

- Słyszysz? Wytężył słuch.

- Psiakrew, to ten samolot, który wcześniej przelatował.

- Myślisz, że pilot zorientował się, że coś jest nie tak?

- Nie mam pojęcia - powiedział Zach, biorąc ją za łokieć. -

Chodźmy.

Ruszyli szybkim krokiem. Ścieżka, którą wędrowali, połączyła się z inną, chyba bardziej uczęszczaną, bo stała się szersza. Warkot samolotu przybierał na sile. Kiedy maszyna pojawiła się im nad głowami, Zach wciągnął Maisy pod najbliższe drzewa, tak by z góry nie było ich widać.

Po chwili mały żółty samolot służący do opryskiwania pól znikł im z oczu. Puścili się biegiem. Samolot zatoczył w powietrzu łuk i ponownie skierował się w ich stronę.

- Cholera, musieli się skapować - zdenerwował się Zach. - Nigdy wcześniej nie wracali.

Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyli zielony wóz terenowy. Gnali ile sił w nogach. Kiedy nadleciał samolot, tym razem Maisy wiedziała, jak postąpić. Przykleiła się do pnia drzewa. Zach również. Liczyli na to, że gałęzie skutecznie skryją ich przed wzrokiem pilota.

Samolot znów się oddalił. Maisy z Zachem rzucili się pędem, nie zwalniając, dopóki nie dobiegli do terenówki. Był to duży samochód z napędem na cztery koła, z mocno przyciemnionymi szybami, przez

które w ogóle nie było widać wnętrza. Zachowi przemknęło przez myśl, że tak ciemne szyby są chyba niedozwolone.

W górze znajomy warkot znów przybrał na sile. Pilot wracał, by po raz trzeci zobaczyć, co się dzieje w dole.

Zach nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Czym prędzej wyciągnął z kieszeni kluczyki. Warkot stawał się coraz głośniejszy. Wsunął klucz do zamka. Pierwszy nie pasował. Spróbował drugi. Udało się. Samolot był coraz bliżej.

- Szybciej, szybciej - ponaglała Zacha Maisy, podskakując nerwowo.

Otworzył drzwi, wepchnął Maisy do środka; sam wsunął się za nią. Po chwili samolot przeleciał im nad głowami.

Czy pilot ich widział? Zresztą czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Kiedy samochód ruszy, i tak wszystko będzie jasne.

Tym samym kluczykiem, którym otworzył zamek w drzwiach, zapalił silnik. Następnie zaczął zawracać; wymagało to niemałych umiejętności, bo wóz był sporych rozmiarów, a droga wąska. Zawróciwszy, wyciągnął szyję, by sprawdzić, co się mieści w części bagażowej: czy przypadkiem nie leży tam ktoś, kto mu zaraz poderżnie gardło. Zobaczył wykonaną szydełkiem narzutę w kolorach niebiesko-fioletowo-białym, gazetę, do połowy pełną butelkę wody mineralnej. Nagle znów usłyszał nadlatujący samolot.

- Cholera jasna! - Wcisnął nogą pedał gazu. Pruli po wybojach, a nad głową towarzyszył im głośny warkot; w pewnym momencie

przerwała go seria z karabinu maszynowego. Kilka kul trafiło w ziemię tuż przed maską wozu, kilka w karoserię.

- Gdzie on się podział? - spytał po chwili Zach, Maisy wyjrzała przez okno.

- Zawraca. Zaraz nas dogoni.

- Psiakrew! Idź na tył! Najdalej jak się da. On ce luje w kierowcę lub w silnik, czyli w przód pojazdu No, idź!

- Ale...

- Idź!

Odpięła pas i nieszczęśliwa, przeszła przez siedze nie.

- Jeśli cię trafi, nie zdołam stąd przytrzymać kie rownicy.

- I dobrze. Wtedy wyskakuj. A teraz kładź się i ni wystawiaj głowy.

- Zach, ja...

- Kładź się!

Posłuchała. Nie widział jej w tylnym lusterku.

Jechał szybko, kręcąc kierownicą raz w prawo, raz w lewo, żeby utrudnić strzelcowi zadanie. Kiedy samolot przeleciał nad nimi, Zach z całej siły wcisnął pedał hamulca. Po czym znów przyśpieszył.

Pilot zawrócił. Zach powtórzył numer z hamowaniem, ale kiedy znów chciał dodać gazu, silnik zacharczał i zgasł.

Kłęby dymu i pary wodnej wydobywały się z podziurawionej maski. Zach przekręcił kluczyk, silnik jednak konsekwentnie odmawiał posłuszeństwa.

- Musimy wysiąść. Chodź.

Akurat otworzył drzwi, kiedy doleciał go dziwny dźwięk: jakby dzwoniła komórka.

Maisy wydostała się tylnymi drzwiami i podała Zachowi rękę. Samolot znów nadlatywał. Musieli się ukryć, drzewa jednak zostawili daleko za sobą. Odruchowo rzucili się w stronę dużego głazu.

Kucnęli. Zach wyciągnął broń, którą zabrał Smithom.

- Siedź tu. Nawet nie drgnij. Mam pewien pomysł.

- Chcesz spróbować zestrzelić samolot?

Skinał głową. Z rewolwerem w każdej ręce uważnie wpatrywał się w niebo.

- Czytasz w moich myślach.

- Rewolwerem? Chcesz strzałem z rewolweru rozwalić samolot?

Ponownie skinął głową.

- Zach, chyba oszalałeś. Zgoda, dwa razy pokonałeś faceta trzykrotnie większego od siebie i raz przechytrzyłeś trójkę uzbrojonych przestępców. Ale to nie znaczy, że zwykłą pukawką zdołasz zestrzelić wielką maszynę, w której siedzi gość z karabinem maszynowym.

- Wiesz, normalnie bym nie próbował, ale w chwili obecnej nie mamy innej szansy.

Samolot przybliżał się, warcząc niczym ogromny komar złąkniony krwi.

Raptem Zach poczuł z tyłu szarpnięcie; uświadomił sobie, że Maisy wyciągnęła mu zza paska pistolet.

- Nie, Maisy. Zostań.

- Guzik! A co, ja jestem gorsza?

Samolot leciał nad ziemią, zamieniając w sito porzucony na drodze samochód. Leciał tak nisko, że bez trudu można było w niego trafić. Zach z Maisy wyłonili się zza głązu i strzelali raz po raz. W bebeczach maszyny pojawiły się dziury. Dopiero po dłuższej chwili bandzior w górze zorientował się, co się dzieje. Obrócił karabin w stronę śmiałków. Widząc to, Zach rzucił rewolwery na ziemię i pociągnął Maisy z powrotem za głaz, osłaniając ją własnym ciałem.

Nagle usłyszał dziwny terkot i krzyk. Wychyliwszy ostrożnie głowę, zobaczył, że samolot spada. Nikt już do nich nie strzelał. Wstał, Maisy również. Patrzyli, jak nos maszyny uderza w ziemię, potem skrzydło. Nastąpiła potężna eksplozja, kawałki blachy poszybowały wkoło.

Oboje instynktownie skulili się. Zach zasłonił rękami twarz, Maisy upadła na ziemię. Zdziwił się, że się nie rusza. Ale wtem zobaczył krwawą ranę w jej głowie i kawał blachy leżący nieopodal.

- Pani doktor. - Potrząsnął ją za ramiona. - Maisy, hej, obudź się! Żadnej reakcji.

- Obudź się, Maisy - szepnął błagalnie. - Nie rób mi tego, proszę cię. Nawet nie zdążyłem ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Wciąż nie było reakcji.

Wiedział, że musi się wziąć w garść, zastanowić, co dalej i w jaki sposób może ją uratować. Na szczęście dużo krwi nie straciła. I chyba więcej ran - poza tą jedną - nie odniosła. Psiakrew, należy jak najprędzej dotrzeć do szpitala!



Zgarnawszy Maisy w ramiona, ruszył przed siebie, w stronę dymiącego, bezużytecznego pojazdu. Otworzył tylne drzwi i ułożył ją na siedzeniu. Następnie otworzył przednie.

- Słyszałem telefon. Cholera, na pewno słyszałem dzwonienie...

Faktycznie, w niedużej przegrodce między siedzeniami znalazł komórkę. Modlił się w duchu, by zadziałała. Na ekranie dostrzegł sygnał, słaby, ale jednak...

Czym prędzej wcisnął numer alarmowy. Przyłożył telefon do ucha. Wydawało mu się, że czeka nieskończenie długo, ale wreszcie na drugim końcu linii odezwał się kobiecy głos.

- Słucham?

- Mam tu osobę ranną w głowę. Jest nieprzytomna. Krwawi, na szczęście nie straciła dużo krwi.

- Oddycha?

- Tak. Tętno ma słabe, ale równomierne.

- Dobrze. Gdzie ranna obecnie przebywa?

- Leży na tylnym siedzeniu wozu. Silnik jest uszkodzony. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

- Niech się pan nie denerwuje - powiedziała dyspozytorka. - Proszę się rozejrzeć, opisać, co pan widzi.

- Jakieś wzgórze. Prowadzi przez nie wąska droga.

Dziesięć minut temu, tuż obok nas, rozbił się nieduży samolot. Może ktoś widział wybuch?

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Chyba nie... Całe szczęście, że komórka ma tu zasięg.

- Dzwoni pan z telefonu komórkowego?

- Tak.

- Doskonale. Niech pan się nie rozłącza. Wyśledzimy sygnał. - Ściszym głosem przekazała komuś informację, po czym ponownie zwróciła się do Zacha: - Może mi pan opisać, co się stało?

Zawahał się. Miał powiedzieć, że został uprowadzony, że porywacze go codziennie truli, podawali środki odurzające, torturowali? Że uciekli z Maisy na skradzionych koniach, spędzili noc w skalnej grocie, a rano ledwo uszli z życiem trójce uzbrojonych porywaczy, którzy zdołali ich odnaleźć? Że odebrali bandytom broń, związali ich i zostawili w lesie na polanie, a sami wsiedli do wozu bandytów i ruszyli w drogę? Że nagle nadleciał samolot, z którego ktoś zaczął ich ostrzeliwać? Że z broni ręcznej zestrzelili maszynę? I

- Halo, proszę pana. - Głos dyspozytorki wyrwał go z zadumy. - Czy może mi pan powiedzieć, co się stało?

- Lepiej nie; pomyśli pani, że ma do czynienia z wariatem. Ale... hm, czy oprócz pogotowia mogłaby pani zawiadomić policję? Skoro państwo mogą wyśledzić sygnał, inni pewnie też mogą.

- Inni?

- Błagam, niech się pani pośpieszy.

- Karetka już jest w drodze.

Czterdzieści pięć minut wydawało się wiecznością, ale wreszcie pojawiła się policja. Zach opowiedział pokrótce, co się wydarzyło. Pewnie starszy z dwóch policjantów wziąłby go za wariata, gdyby nie

dowody w postaci podziurawionej kulami karoserii i leżącego na ziemi, wciąż dymiącego kadłuba samolotu.

- W środku są dwa ciała - oznajmił młodszy policjant, który wrócił z oględzin wraku. - Zbyt zwęglone, aby można było je zidentyfikować. I broń, chyba karabin maszynowy, za gorący, żeby go ruszać. Trzeba poczekać na straż pożarną. Poleją maszynę zimną wodą, wtedy przyjrzymy się wszystkiemu dokładnie.

Jego starszy kolega skinął głową i poprosił Zacha, by kontynuował.

Zach wyjaśnił, że w bagażniku podziurawionego wozu leżą rewolwery i pistolet. Wrzucił je tam, kiedy usłyszał nadjeżdżający radiowóz; nie chciał denerwować policjantów widokiem broni. Opowiedział też o skutych kajdankami Smithach w lesie i zabitym Bobie.

Nie był przekonany, czy policjanci mu wierzą. Im więcej szczegółów podawał, tym bardziej mieli powątpiewające miny. Ale dowody wskazywały na to, że mówi prawdę.

Niedługo potem przyjechała karetka. Lekarz natychmiast zajął się Maisy. Zach nie spuszczał z niej oczu. Patrzył, jak lekarz z sanitariuszem badają jej tętno, podłączają ją do kroplówki, układają na noszach.

Ruszył za nimi do karetki.

- Chwileczkę - powiedział policjant nazwiskiem Dillon; przynajmniej takie nazwisko widniało na plakietce, którą miał

przypiętą do piersi. - Pana zabierzemy na komisariat. Musimy spisać pańskie zeznania, sprawdzić je...

Zach obrócił się do niego twarzą.

- Jestem bratem Jake'a Ingrama, którego FBI prosiło o pomoc w rozwiązaniu kradzieży w Banku Światowym. Na pewno pan o tym czytał.

Oficer Dillon wymienił spojrzenie ze swoim młodszym kolegą, po czym ponownie wbił wzrok w Zacha.

- A więc to pan jest tym Zacharym Ingramem z Greenlaurel, którego porwano przed paroma dniami?

- Tak, ale tym kretynom chodziło o Jake'a. Pomylili się i porwali nie tego brata. Muszę ostrzec Jake'a. I muszę jechać do szpitala z tą kobietą. Jeśli pan chce, może pan kogoś ze mną wysłać. Ale nie pojedę na żaden komisariat. Muszę jechać do szpitala. Nie mogę jej stracić.

Policjanci ponownie wymienili spojrzenia. Dillon skinął głową.

- W porządku. Oficer Sprague pojedzie z panem. Tom - zwrócił się do młodszego kolegi - usiądziesz z przodu koło kierowcy. Zadzwońisz do biura Jake'a Ingrama i sprawdzisz, czy ten człowiek jest tym, za kogo się podaje. Dopóki cię nie zwolnię, masz go nie odstępować na krok. Ja sprawdzę polanę, na której została tamta trójka.

Sprague ruszył w stronę karetki. Zach również, po chwili jednak przystanął.

- Oficerze Dillon...

- Słucham?

- Niech pan nie idzie tam sam. To... to niebezpieczne typy.

Przebiegłe i bezlitosne. Wydaje mi się, że...

- Że?

- Że są częścią dużej, dobrze zorganizowanej szajki. Że jest ich więcej, nie tylko Smithowie z Bobem i tych dwóch w samolocie. Jeśli pan tam pójdzie, nie wiadomo, na kogo jeszcze się pan natknie.

Scandalous

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Szpital znajdował się pół godziny od miejsca strzelaniny, w miasteczku tak małym, że pewnie nawet nie figurowało na mapie. Sanitariusze wwieźli Maisy pośpiesznie do środka, podczas gdy dwie pielęgniarki zaprowadziły Zacha do niedużej poczekalni.

Głowa mu pękała z bólu, a raczej ze strachu, troski, niepokoju. Jeszcze nigdy nie czuł się tak paskudnie. Drżał na całym ciele.

Pomyślał sobie, że pewnie tak organizm reaguje, kiedy życie ukochanego człowieka jest w niebezpieczeństwie.

Na ścianie naprzeciwko wejścia do poczekalni wisiał telefon na żetony.

- Oficerze Sprague? Dodzwonił się pan do mojego brata?

- Prosiłem o to oficera dyżurnego. Pan Ingram jest w drodze do nas.

Zach westchnął. Nie czuł jednak ulgi. Kłopoty jeszcze się nie skończyły. Skończą się dopiero wtedy, gdy Maisy Jane Dalton opuści szpital, zdrowa jak rydz i z uśmiechem na twarzy.

- Ktoś powinien pana opatrzyć - powiedział nagle policjant.

Zach zerknął na swoje ramię. Plama krwi się powiększyła.

- Całkiem o tym zapomniałem...

- Wydawało mi się, że to krew pańskiej znajomej. - Policjant skierował się do drzwi. - Siostró, można panią tu prosić?

Pielęgniarka skrzywiła się, oglądając ranę.

- Nic mi nie jest - zaprotestował Zach. - Jak się Maisy czuje?

- Nie mam pojęcia, dopiero ją tu przywieziono. A pana proszę ze mną.

Nie protestował. Obaj mężczyźni wyszli na korytarz za chudą jak trzcina, tlenioną blondynką, której włosy i figura zadawały kłam jej metryce. Wprowadziwszy ich do gabinetu zabiegowego, kobieta kazała Zachowi zdjąć koszulę i usiąść na kozetce, następnie przystąpiła do czyszczenia rany.

Kilka razy syknął z bólu.

- Trzeba to zszyć.
- Niech siostra po prostu przyklei opatrunek.
- Kiedy miał pan robiony zastrzyk przeciwtężcowy?
- Pracuję na uniwersytecie. Oni tam na pewno pilnują terminów wszystkich badań i szczepień.

Pielęgniarka skinęła głową.

- Mimo to uważam, że warto nałożyć kilka szwów.
- Nie zgadzam się.
- Ależ wy, mężczyźni, jesteście uparci. Przewracając oczami, sięgnęła do szafki po środki opatrunkowe. Ledwo obandażowała mu ramię, Zach wstał z kozetki, wciągnął koszulę i wyszedł z gabinetu, ignorując instrukcje, aby smarował ranę maścią z antybiotykiem i zmieniał opatrunek. Też mi coś, pomyślał; lekkie draśnięcie i tyle krzyku?

Miał nadzieję, że skoro udało mu się wymknąć z poczekalni, uda mu się również sprawdzić, jak się Maisy czuje. Ruszył w kierunku pokoju, za którego drzwiami zniknęła.

Zobaczył stół, a wokół niego tłum ludzi - lekarzy, pielęgniarek. Zasłaniali mu widok.

- Tętno zanika!

- Defibrylator! Dwieście amperów. Gotowe?

Wszyscy się odsunęli poza jednym mężczyzną, który przyłożył do piersi nieprzytomnej kobiety dwie płaskie elektrody. Rozległ się pojedynczy, zduszony trzask. Ciało Maisy podskoczyło, po czym znów opadło na stół.

- Panie Ingram, musi pan...

Strząsnął ze swojego ramienia rękę policjanta.

- Jeszcze raz! Trzysta! Gotowe?

Ciało Maisy ponownie wygięło się w łuk i znów opadło na stół. Zach poczuł, jak łyzy pieką go w oczy.

- Psiakrew, Maisy! - krzyknął. - Nie poddawaj się! Walcz!

Dobrze wiesz, że mamy niedokończone sprawy!

- Jeszcze raz!

- Maisy, wracaj!

- Niech ktoś go stąd wyrzuci! - rozkazał lekarz.

- Doktorze, mamy tętno!

Wszystkie pary oczu zwróciły się w stronę niedużego monitora, który przecinała zielona linia. Linia, przed chwilą prosta, niemal płaska, zaczęła gwałtownie unosić się i opadać. Po chwili tętno stało się silne, równomierne. Zach odetchnął z ulgą.

- Jestem tu, Maisy - powiedział cicho. - Czekam na ciebie.



Czując, jak ktoś mu kładzie dłoń na ramieniu, obrócił się, ale tym razem to nie był oficer Sprague. Tym razem to był jego brat Jake.

Jake bez słowa zgarnął Zacha w ramiona i przytulił mocno do piersi. Puścił go, gdy ten odruchowo skrzywił się z bólu. Cofnąwszy się o krok, popatrzył na zakrwawioną koszulę brata, po czym przeniósł wzrok na jego nieogoloną twarz.

- Wyglądasz koszmarnie.

- Ale żyję - oznajmił z uśmiechem Zach i zerknął przez szklane drzwi do sali obok.

Personel medyczny otaczający Maisy wydawał się znacznie spokojniejszy niż przed chwilą, a dochodzące z monitora pykanie brzmiało cicho i jednostajnie.

- To ktoś dla ciebie ważny? - spytał Jake.

- Bardzo. - Wiedząc, że kryzys minął, Zach ujął brata pod łokieć i poprowadził w stronę poczekalni. - Ta kobieta uratowała mi życie.

- Lepiej zacznij od początku.

- Słusznie. - Usiadł na plastikowym krześle i zamknął oczy.

Jake przystanął przy automacie z napojami. Po chwili podał bratu styropianowy kubeczek z parującym napojem. Zach pociągnął łyk.

- Kakao?

- Tak. Kawa parzona w takiej maszynie musi być paskudna.

- Fakt.

- No więc?

- No więc skończyłem wykład, wyszedłem na parking i wsiadłem do samochodu, kiedy nagle wyjazd zablokowała mi poczciwie wyglądająca kobieta. Poprosiła o pomoc. Zaczęliśmy rozmawiać, gdy wtem od tyłu zaszedł mnie potężnie zbudowany facet i dziabnął igłą w nogę. Straciłem przytomność. Kiedy się obudziłem, leżałem w jakimś domu na wsi, przywiązany do łóżka i otoczony trojgiem obcych ludzi, którzy nazywali mnie Jakiem.

Jake zmarszczył czoło.

- Coś z tego rozumiesz? - spytał brata Zach.

- Nie. Ale wczoraj dostałem anonimowy list od kobiety, która twierdziła, że ma dla mnie ważne informacje. Prosiła, żebym się z nią spotkał w parku o północy. Nie pojawiła się. Czekałem do wschodu słońca. - Pokręcił głową. - Niech to na razie pozostanie między nami. Kontynuuj.

- Codziennie wstrzykiwali mi *sodium pentotal* -podjął swoją opowieść Zach. - Oczywiście dopiero później dowiedziałem się, co było w strzykawce. Świecili mi w oczy jaskrawym światłem i zadawali pytania, na które nie umiałem odpowiedzieć. Pytania o moje dzieciństwo, o braci, siostry, rodziców. W przerwach między pytaniami czytali mi dziecięce bajki i rymowanki.

- Bajki i rymowanki?

- Tak. Dziwne, nie? O trzech świnkach, o Czerwonym Kapturku, o kotce. „Kiciu, kiciu, gdzieś się podziewała...”

- „Byłam w Anglii, Londyn zwiedzałam” - dokończył Jake. - „Kiciu, kiciu, co żeś tam robiła? Ganiałam po murkach, myszy straszyłam”.

- Jake?

- Sam nie wiem, skąd to znam.

Zach odstawił kubek z kakao i wyprostowawszy się na krześle, uważnie przyjrzał się bratu. Po jego minie widział, że coś go niepokoi. Coś, co nie ma związku z porwaniem z parkingu i domkiem na wsi.

- Wiesz, Jake - rzekł po chwili. - Jestem pewien, że chodziło im o ciebie. Myśleli, że ja to ty. I niestety obawiam się, że tak łatwo się nie poddadzą.

Jake pokiwał głową; nawet nie próbował protestować.

- Przypuszczam, że to ma coś wspólnego z kradzieżą w Banku Światowym - ciągnął Zach.

- Niewykluczone. Ale diabli wiedzą. Może chodzi o coś zupełnie innego.

- O co?

Wzruszywszy ramionami, Jake zaczął przemierzać poczekalnię.

- Ostatnio znów miewam te sny. Są bardziej intensywne niż dawniej. Niemal jak wspomnienia. Śni mi się mężczyzna, duży, krępawy, który bawi się z gromadką dzieci na plaży. Śni mi się kobieta, piękna, młoda, delikatna. No i tłumek dzieciaków, wśród nich ja. Cały czas czuję zapach fiołków... - Urwał zde gustowany sobą. - Cholera, ale ze mnie egoista! Nawijam o sobie, a ty jesteś ranny i w

szpitalu. Powiedz: jak się wydostałeś z tego domu, jak uciekłeś tym pomyślnie?

Zach niepokoił się o brata. Przeczynał, że dzieje się coś niedobrego, ale nie umiał odgadnąć co. Ponownie zerknął do sali za szklanymi drzwiami. Na razie najważniejsze było zdrowie Maisy.

- Z pomocą doktor Maisy Jane Dalton. - Wskazał brodą w kierunku sąsiedniego pokoju. - Ściągnęli ją do mnie. Okłamali, że jestem ich siostrzeńcem wyciągniętym z jakiejś groźnej sekty, którego trzeba koniecznie deprogramować. Maisy jest psychiatrą, specjalistką od hipnozy i deprogramacji. Uwierzyła oszustom i przyjechała mnie leczyć.

Na czole Jake'a pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Czyli co? Myśleli, że jesteś mną i sprowadzili lekarkę, aby wydobyła ze mnie jakieś informacje?

- Chyba tak. Informacje o twojej przeszłości. O twoim dzieciństwie. - Nagle Zach strzelił palcami. - W pokoju, w którym mnie trzymali, stale paliła się lampka z olejkiem fiołkowym. Boże, Jake, to musi mieć coś wspólnego z twoją przeszłością! Ale jaki związek ma twoja przeszłość z Bankiem Światowym?

- Nie wiem, mów dalej. Może na coś wpadniemy.

- W porządku. Więc udało mi się przekonać Maisy, że nie jestem tym, za kogo mnie biorą. To właśnie ona znalazła skrytkę z *sodium pentotalem*. Opróżniła ampułki, po czym napełniła je solą fizjologiczną, żeby moi oprawcy niczego nie zaczęli podejrzewać. Dalej robili mi zastrzyki, a ja udawałem nieprzytomnego.

Potrzebowałem paru dni, żeby pozbyć się trucizny z organizmu, odzyskać jasność myślenia i siłę potrzebną do ucieczki.

- Czyli ona, ta lekarka, też była więźniem? - spytał Jake.

- Tak. Przyczepili jej do podwozia materiały wybuchowe. Gdyby chciała odjechać, wyleciałaby w powietrze. Przecięli linię telefoniczną. Zamierzaliśmy przygotować zapasy na drogę i wymknąć się w nocy. Musieliśmy jednak zmienić plany...

- Dlaczego?

- Bandzior, który nas pilnował, zaatakował Maisy. Wymierzył jej parę ciosów i pewnie by ją zgwałcił, gdybym mu nie przeszkodził. A że mu przeszkodziłem, postanowił rozprawić się ze mną. Tyle że to ja jemu w końcu przywaliłem.

Jake popatrzył z uśmiechem na brata.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś facet z jajami.

- Wcześniej taki nie byłem.

- Nie wygłupiaj się. I co? Potem rzuciliście się do ucieczki?

- Tak, konno. Ale nazajutrz rano łobuzy dopadły nas w lesie.

Znów zrobiło się groźnie. O mało nie dostałem kulki w łeb, na szczęście Maisy pierwsza pociągnęła za spust i zabiła bandziora. Dwójkę pozostałych zakułem w kajdanki. Zostawiliśmy ich w lesie, na polanie, a sami wsiedliśmy do ich terenówki. Niestety, mieli wspólników, którzy latali nam nad głowami i strzelali do nas z karabinu maszynowego.

- Policja powiedziała, że rozwaliliście samolot...

- To nie był normalny samolot, tylko taki mały do opylania pól, w dodatku leciał tak nisko, że trudno było w niego nie trafić. W każdym razie eksplodował w powietrzu, potem spadł na ziemię, a kawałek blachy czy innego świństwa uderzył Maisy w głowę. -  
Ponownie spojrzął w stronę pokoju zastawionego aparaturą medyczną.  
- Wezwałem pomoc przez komórkę. Przyjechała policja, karetka... To wszystko.

Do poczekalni wszedł oficer Dillon.

- No i jak się czuje pańska znajoma?

- Nie wiem, jeszcze nie rozmawiałem z lekarzami - odparł Zach, po czym dokonał prezentacji. - Przedstawiam panu mojego brata, Jake'a Ingrama. Jake, to jest oficer Dillon, który pierwszy przybył nam z pomocą.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

- Czy ma pan przy sobie jakiś dokument, panie Ingram? - spytał policjant.

- Oczywiście.

Jake wyjął portfel i podał Dillonowi swoje prawo jazdy. Ten je obejrzał i po chwili zwrócił właścicielowi.

- I może pan potwierdzić, że ten człowiek - wskazał na Zacha - to pański brat, Zachary Ingram?

- Absolutnie.

- Podobieństwo widać gołym okiem - przyznał policjant - ale musiałem się upewnić.

- No i co, znalazł ich pan? - spytał Zach. - Tych troje w lesie?

- To dziwne, ale nie. Polana była pusta. Znikł nawet ten, którego uznał pan za trupa. Nie znaleźliśmy nic, żadnych odcisków stóp, żadnych śladów krwi. Tylko konie.

- Czyli uciekli. - Zach wbił wzrok w brata. - Jeżeli tak dobrze potrafią zacierać za sobą ślady, to znaczy, że są lepiej zorganizowani i o wiele groźniejsi, niż podejrzewałem. Musisz uważać, Jake.

- Nic mi nie będzie, braciszku. Całymi dniami przesiaduję z agentem federalnym, a noce spędzam z narzeczoną, która potrafi być równie zatrważająca jak Lennox. - Po chwili spoważniał. - Przepraszam cię, stary. Za to, że z mojego powodu ty i ta niewinna kobieta musieliście tyle wycierpieć. Zaraz, zaraz... W zeszłym tygodniu byłem u ciebie na uniwersytecie.

- No tak. Z odczytem.

- Pewnie mnie widzieli, ci twoi oprawcy. Może mnie śledzili? Tak czy owak, musieli nas pomylić.

- To nie twoja wina, Jake. Nie jesteś niczemu winien.

Jake spuścił wzrok, jakby miał odmienne zdanie. Zanim jednak Zach mógł cokolwiek więcej powiedzieć, z pokoju za szklanymi drzwiami wywieziono na łóżku Maisy. Leżała przykryta cienkim prześcieradłem, z rurkami podłączonymi do rąk, nosa, klatki piersiowej.

Zach rzucił się w jej kierunku. Drogę zagroził mu lekarz.

- Muszę z panem porozmawiać.

- Chcę się z nią zobaczyć.

- Za kilka minut. Niech pielęgniarki przewiozą ją na salę.

- To chyba nie najlepszy pomysł. - Zach popatrzył pytająco na Jake'a.

- To prawda, panie doktorze - poparł brata Jake. - Musimy ją przewieźć do Greenlaurel. Tam FBI zapewni jej ochronę, dopóki chora nie wydobrzeje.

Lekarz umknął w bok spojrzeniem. Nie uszło to uwagi Zacha.

- Panie doktorze... Maisy wyzdrowieje, prawda? Lekarz skierował wzrok na pytającego.

- Nie wiem - odparł. - Nastąpiło zatrzymanie akcji serca, co się zdarza przy poważnych urazach głowy. Przywróciliśmy ją do życia, ale na razie jest w śpiączce. Nie sposób przewidzieć, kiedy się obudzi i czy w ogóle odzyska przytomność. Dopóki to się nie stanie, żadna diagnoza nie jest możliwa. Przykro mi.

Maisy unosiła się, może w powietrzu, może na wodzie - nie była pewna. Nie czuła bólu. Całkiem się jej tu podobało; było ciepło, wygodnie. Nie tak jak przedtem. Przedtem wszystko było za ostre, za jaskrawe, za bolesne. Tak, nowe miejsce jest zdecydowanie lepsze. Otaczała ją cisza, spokój, łagodny półmrok. Poza wszystkim innym nic jej tu nie grozi, żadne niebezpieczeństwo.

Michael. On też tu jest. Uświadamiała to sobie powoli, stopniowo. Dziwne, ale nie widziała jego sylwetki, raczej wyczuwała obecność. Bił od niego cudowny blask. Michael, jej piękny Michael. Wyciąga do niej rękę...

Uśmiechnęła się; z Michaeliem zawsze było jej dobrze, ciepło, miękko, bezpiecznie.



Potem nagle Michael zburzył ten ich cudowny, spokojny świat; wprowadził do niego mrok, ryzyko, śmierć.

Teraz mówił jej - bez słów, jakby telepatycznie - że wszystko znów jest dobrze. Że odnalazł spokój. Że tam, gdzie obecnie przebywa, nic złego się nie dzieje. Panuje cisza, błogość. Wyciągał rękę, jakby chciał ją zaprosić do swojego cichego, spokojnego świata.

Zawahała się; w głębi duszy coś ją dręczyło, nie pozwalało przekroczyć granicy...

- Pani doktoro, proszę się obudzić.

Głos docierał z oddali. Ale wydawał się znajomy. Na jego dźwięk serce zaczęło jej bić mocniej.

- Słyszysz mnie? Obudź się. Maisy, wróć do mnie. Obraz Michaela rozplynał się. Wyteżyła wzrok.

Szukała człowieka, który ją wołał. Zach. Tak, przypomniała sobie. To jest głos Zacha.

- Maisy, masz się natychmiast obudzić. Słyszysz? Wiem, że potrafisz to zrobić.

Skrzywiła się, bo wraz z głosem pojawiła się jasność - ostry blask, który boleśnie raził ją w oczy. Pojawiły się też nowe doznania - nie spokój, cisza, miękkość, które kojarzyła z Michaelem, lecz strach, niepokój, pożądanie. Ktoś ją gonił; gonił ich oboje. Bała się. Czuła strach przed niebezpieczeństwem, przed siłą własnych emocji, przed setkami decyzji, które należało podjąć.

Skołowana, przystanęła i ponownie obejrzała się za siebie, szukając Michaela. Pojawił się, gdy tylko o nim pomyślała. Wciąż

wyciągał do niej rękę. Postąpiła krok bliżej. Ostre światło zgasło, a wraz z nim zbladły strach, niepokój, tęsknota i pożądanie.

- Maisy, przecież oboje chcieliśmy spróbować życia we dwoje. Wracaj do mnie. Daj nam szansę, proszę cię.

Jakaś ręka otarła się o jej szyję. Dotyk parzył.

Maisy poruszyła się. Żar przenikał jej ciało. Trawił wnętrzności. Serce jej łomotało, z trudem łapała powietrze. Ponownie ogarnął ją strach. Obróciła głowę w stronę ręki, w stronę mężczyzny, który gładził ją po szyi. Nikogo nie zobaczyła. Wiedziała, że on tu jest, że stoi obok, czuła go, ale wokół była pustka.

- Świetnie, pani doktor. Jesteś na dobrej drodze. Walcz. Próbuj. Proszę cię, wróć do mnie.

Chciała tego. Ale nie była pewna, czy zdoła wytrzymać. Ten blask. I ból, który z coraz większą siłą dudnił jej w skroniach i rozsadzał głowę. Dyszała ciężko, usiłując wciągnąć powietrze. Słyszała buczenie, jakieś pykanie, głośnie i nieprzyjemne, które raniło ją w uszy. Czuła też zapachy. Nie podobały się jej. Zmarszczyła z obrzydzeniem nos.

Jeszcze raz obejrzała się za siebie na Michaela; stał w przyćmionym świetle, które nie raziło oczu, pośród miękkiej mgły, która nie powodowała bólu, i podawał rękę, której dotyk nie parzył. Michael. Niczego od niej nie wymagał, żadnych decyzji prócz jednej: aby ruszyła w jego stronę, tam gdzie jest ciepło, miękko, wygodnie, bezpiecznie.

- Maisy, nie poddawaj się. Walcz.

Głos Zacha wdarł się do jej świadomości. Dotyk jego ręki sprawił, że zadrżała.

- Wiem, że to trudne, ale dasz radę. Musisz się tylko postarać. No, bądź dzielna. Zbierz się w sobie i walcz. Jesteś mi potrzebna, Maisy. Kocham cię, wiesz?

Michael odsunął się krok do tyłu i nagle znikł w skłębionej mgle. A potem mgła zaczęła rzednąć, ustępować.

Powzięła decyzję. Nie pójdzie za Michaeliem. Wróci do świata ostrych, rażących blasków, nieprzyjemnych dźwięków, koszmarnych zapachów i rozdzierającego bólu.

- Zach! - krzyknęła.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie odstępował jej dzień i noc, od sześćdziesięciu dwóch godzin, jakie minęły, odkąd przewieziono ją karetką do szpitala w Greenlaurel. Posiłki jadał, siedząc na krześle obok łóżka. Kiedy musiał, korzystał z jej łazienki. Znikał dosłownie na moment i zaraz wracał. Nie chciał zostawiać Maisy samej; policjant za drzwiami mu nie wystarczał. Dopiero kiedy pojawił się Jake, Zach pozwolił sobie na parominutową nieobecność: wziął prysznic, ogolił się, umył zęby.

Cały czas do niej przemawiał, próbował ją namówić, żeby się obudziła, wróciła do niego i świata żywych. Kilka razy, kiedy na dźwięk jego głosu obraz na monitorze się zmieniał, wstępowała w niego nadzieja. Serce biło jej mocniej, oddychała głębiej, a ostatnim razem nawet poruszyła głowę. Ale po chwili wszystko wracało do poprzedniego stanu. Przystawała się ruszać, oddech znów stawał się płytki, serce spowalniało.

Zrozpaczony westchnął głośno, ale zaraz wziął się w garść; nie może się poddać! Wstawszy z krzesła, skierował się do drzwi; miał zamiar poprosić kogoś o przyniesienie mu kawy z bufetu.

Naciskał kłamkę, kiedy nagle, całkiem wyraźnie, usłyszał głos Maisy.

- Zach!

Zastygł bez ruchu, po czym wolno się odwrócił.

Oczy miała zamknięte, ale wstrząsały nią dreszcze.

Wymachiwała rękami. Zach złapał pręt od kroplówki, który potrąciła, odsunął go na bok, po czym schyliwszy się, ujął Maisy za nadgarstki.

- Spokojnie, maleńka, już dobrze. Jestem przy tobie. - Specjalnie mówił głośno, żeby go słyszała ponad dźwiękami wydawanymi przez aparaturę rejestrującą pracę serca. - Jestem tutaj. Spokojnie, jestem przy tobie.

Nagle znieruchomiała. Ręce, którymi przed chwilą wymachiwała, opadły na łóżko, oddech ucichł, tętno zwolniło. Zach puścił nadgarstki i, niepocieszony, odgarnął jej włosy z czoła.

W tym momencie zauważył, że Maisy patrzy na niego otwartymi oczami.

- Maisy? - Przycisnął dłonie do jej policzków. - Słyszysz mnie? Zmrużyła oczy.

- Światło...

- Światło? Razi cię, tak? - Wyciągnął z kontaktu sznur. Lampa zgasła. - Lepiej?

- Hałas... - szepnęła, krzywiąc się z niezadowoleniem.

- Zaraz, chwileczkę...

U dołu monitora znalazł gałkę i maksymalnie ściszył dźwięk. Maisy westchnęła z ulgą.

- Ból...

- Poproszę, żeby ci coś dali. Nacisnął przycisk koło jej poduszki.

- Słyszałam, jak mnie wołasz - powiedziała, przelękając się. -

Więc wróciłam.

- Cieszę się. - Usiadłszy na brzegu łóżka, ścisnął jej dłoń. -

Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

- Byłam daleko... Jakby w kokonie, miękkim, ciepłym, bezpiecznym. Podobało mi się, ale... - Zmarszczyła czoło, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

- Ale co?

Czoło jej się wygładziło.

- Ciebie tam nie było.

Wzruszenie odjęło mu mowę; oczy stały się podejrzanie lśniące, kontury zamazane. Zanim zdążył się otrząsnąć, do pokoju wpadła pielęgniarka. Rzuciwszy na nich okiem, wcisnęła przycisk na ścianie.

- Wezwij doktora Wallace'a - powiedziała do słuchawki. -

Pacjentka się obudziła.

Po chwili z głośnika popłynął cichy kobiecy głos:

- Doktor Wallace pilnie proszony do pokoju dwieście dziewiętnaście.

Zach uniósł rękę Maisy do ust. W jej oczach ujrzał strach.

- Nie odchodź - szepnęła.

- Będę tuż za drzwiami. Wrócę, jak tylko lekarz skończy cię badać - obiecał.

Łzy popłynęły jej z oczu. Ścisnęła jego dłoń.

- Nie. Błagam, nie zostawiaj mnie!

- Spokojnie, Maisy, niech się pani nie denerwuje - powiedziała pielęgniarka. - Może poprosimy pana Ingrama, żeby poczekał przy oknie. Dobrze? Może tak być?

Nie odrywając spojrzenia od twarzy mężczyzny, Maisy skinęła głową na znak, że się zgadza. Dolna warga jej drżała. Jeszcze nigdy w życiu Zach nie czuł się tak jak teraz: tak potrzebny i tak kochany.

Ponownie uniósł rękę Maisy do ust. Tym razem nie ścisnęła go tak kurczowo. Oswobodziwszy się, przeszedł do stojącego pod oknem krzesła i usiadł. Cały czas jednak wpatrywał się w Maisy bez słowa, samymi tylko oczami przysięgając jej, że nie wyjdzie. Że nigdy jej nie opuści.

Nie potrafiła odwrócić od niego wzroku. Nie wiedziała dlaczego. Po prostu miała takie uczucie, że jeśli na moment spojrzy gdzie indziej, Zach zniknie na zawsze. A właśnie teraz, w tym momencie, w pełni sobie uświadomiła, ile on dla niej znaczy i że za nic w świecie nie chce go stracić.

Pielęgniarka obiecała, że poda jej środek przeciwbólowy, ale dopiero po badaniu. Lekarz zadał Maisy kilka prostych pytań, połaskotał ją w stopy, kazał jej dotknąć palcem nosa, poświecił małą latarką w oczy i wykonał dziesiątki innych czynności, zanim skinął głową.

Ból dosłownie rozsadał jej czaszkę. Mimo to odruchowo cofnęła rękę, kiedy pielęgniarka pochyliła się nad nią z zastrzykiem.

- Zrobię się po tym senna?

- Możliwe.

- W takim razie dziękuję. Nie mam zamiaru dłużej spać.

Mówiąc to, patrzyła Zachowi w oczy. Zastanawiała się, czy on rozumie, o co jej chodzi. Że nie ma na myśli dzisiejszego dnia, lecz swoje życie. Że nie chce dłużej przesypiać życia.

- Ale to złagodzi ból - próbowała argumentować pielęgniarka.

- Nie. Nie życzę sobie żadnych zastrzyków - oznajmiła stanowczym tonem Maisy.

Pielęgniarka cofnęła się od łóżka, zerkając pytająco na lekarza. Ten zapisał coś w karcie choroby.

- W takim razie proponuję zwykłą tabletkę przeciwbólową z domieszką kodeiny. Dobrze? - Uśmiechnął się do chorej. - Na korytarzu czekają panowie z policji. Chcieliby z panią porozmawiać.

- Nie mogliby poczekać trochę dłużej? - spytała Maisy, posyłając lekarzowi błagalne spojrzenie.

- No dobrze - zgodził się. - Dam państwu godzinę, ale nie więcej.

Otworzywszy drzwi, skinął na pielęgniarce. Opuściły pokój, on za nimi.

Chociaż każdy ruch sprawiał jej ból, Maisy usiło wała obrócić się w stronę Zacha. Szybko poderwał się z krzesła i stanął przy łóżku. Ściskając ją za rękę, po chylił się i złożył na jej rozgrzanym czole delikatny pocałunek.

- Nie chcę dłużej spać.

- Wiem, maleńka.

- Nie, nic nie wiesz.

Wyprostowawszy się, utkwiał wzrok w jej twarz.



- Więc powiedz mi - poprosił.

- Od śmierci Michaela cały czas śpię - rzekła. - Prosto przesypiam życie. Kiedy umarł, zamknęłam się w kokonie... W podobnym kokonie tkwiłam teraz, po wybuchu samolotu. - Zmarszczyła czoło. - Zach, jak długo mnie nie było?

- Trzy dni - odparł wolno, jakby sama myśl o tym, co się z nią działo, sprawiała mu ból. - Trzy dni znajdowałeś się w stanie śpiączki. Tak bardzo się bałam.

- Niepotrzebnie. Dobrze mi tam było. Ciepło, bezpiecznie, wygodnie. Niczego nie czułam, żadnego strachu, bólu, niepokoju. Widziałam Michaela...

Na twarzy Zacha pojawił się wyraz zakłopotania.

- Chciał, żebym do niego przyszła, żebym z nim została - ciągnęła. - Ale nagle usłyszałam, jak mnie wołasz.

- Naprawdę? Słyszałaś mój głos?

Skinęła głową i zaraz skrzywiła się z bólu. Przez moment oddychała głęboko, starając się zrelaksować.

- Tak - odparła cicho. - Ale kiedy zawróciłam, znów poczułam ból i strach. Wszystko wokół było twarde, ostre, jaskrawe. I chyba wtedy zrozumiałam, że od śmierci Michaela nie pozwalałam sobie na żadne intensywne uczucia. Że tkwię w kokonie. Że cały czas żyję jakby w śpiączce, z dala od tego, co mnie otacza. Że ocknęłam się ze snu dopiero kilka dni temu, kiedy weszłam do pokoju w tym domu na wsi i zobaczyłam ciebie.

Jego twarz opromienił uśmiech.

- Kiedy otworzyłem oczy, byłem pewien, że jesteś aniołem. A gdy dotarło do mnie, że jesteś kobietą z krwi i kości, a ja wcale nie umarłem, poczułem... dziwne klucie w sercu. Chyba od razu wtedy się w tobie zakochałem. Wystarczyło jedno spojrzenie. Nic ci o tym mówiłem, bo nie chciałem cię wystraszyć.

- Bałam się ciebie - przyznała. - A raczej swoich uczuć. Tego, że znów mogę się rozczarować, cierpieć.

- Takie ryzyko zawsze istnieje. Po prostu miłość czasem niesie z sobą ból. Ale niesie również radość, szczęście, namiętność.

- Wiem.

- Nigdy cię nie skrzywdzę, Maisy. Nie wyobrażam sobie, abym mógł spojrzeć na inną kobietę, mając ciebie u boku. - Zawahał się. - Ale... nie chciałbym cię do niczego zmuszać. Wcześniej, w grocie, mówiłaś, że nasze uczucie może wynikać z sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, ze strachu i poczucia osamotnienia. Że musimy być razem w normalnym świecie, żeby się przekonać...

Przycisnęła palec do jego ust, nakazując mu ciszę.

- Nie muszę się do niczego przekonywać, Zach. Wiem, co czuję. To miłość sprawiła, że wyrwałam się ze śpiączki. Miłość sprawiła, że wróciłam do świata żywych. Kocham cię, Zach. Z całego serca.

Delikatnie, jakby bał się ją uszkodzić, wziął Maisy w ramiona, i pocałował czule w usta.

W tym momencie Maisy Dalton urodziła się na nowo.

**KONIEC**